

RAFAŁ WIETRZYŃSKI

**NIEZNANA
HISTORIA
ŚWIEBODZIC**

ŚWIEBODZICE 2010

ISBN 83-930401-10

Tytuł:
Nieznana historia Świebodzic

Autor:
Rafał Wietrzyński

Rok wydania:
Świebodzice 2010

Druk i łamanie:

Strona tytułowa okładki:

© wszystkie prawa zastrzeżone

OD AUTORA

Ciesząca się dużym powodzeniem moja pierwsza praca pt: "Największe tajemnice Świebodzic" (wydana w 2005 r.), nakłoniła mnie do kontynuacji powyższego tematu o naszym mieście i napisania kolejnej książki, poświęconej również mało znanym wydarzeniom i ciekawostkom historycznym, związanym z tymi okolicami.

Czytelnik otrzymuje w niej plon wysiłku badawczego, jaki podjąłem na przestrzeni kilku ostatnich miesięcy. Opisy historycznych postaci, faktów, wydarzeń i obiektów zabytkowych, zawartych w tym opracowaniu, zazwyczaj nie są znane przeciętnemu mieszkańcowi naszego miasta, stąd tytuł tego dzieła.

Pisząc tą książkę chciałem jej nadać bardzo wszechstronny charakter, selekcyjując zebrany w niej materiał w trzy znaczące działy. Sądzę, że niniejsza książka zdobędzie również szacunek Czytelników, a co najważniejsze - zwiększy zainteresowanie przeszłością tego regionu. Życzę pożytecznej i krytycznej lektury.

Autor

LUDZIE I MIASTO

I

Ktoś kiedyś powiedział, że *wielcy geniusze rodzą się tylko w małych miasteczkach*. Gdyby słowa te skierować pod adresem Emila Krebsa, to z całą pewnością była by to prawda. Nie ma chyba w całej historii ludzkości drugiej takiej osoby, która by z taką łatwością przyswajała języki obce. Bez wątpienia we wszystkich źródłach literatury dotyczącej językoznawstwa, Krebs uchodzi za przykład doskonałości językowej, dzięki której udało mu się opanować do poziomu biegłości ponad 60 języków obcych. Nic więc dziwnego, że z takim wyzaniem jest on obecnie uważany za największego poliglotę wszech czasów.

Emil Krebs urodził się 15 listopada 1867 r. oczywiście w Świebodzicach. Jego ojciec - Gottlob Krebs - był mistrzem ciesielstwa i prowadził niewielki zakład w podświdnickiej Opczce (niem. Esdorf), do której cała rodzina sprowadziła się w 1870 r. Tutaj też przyszły poliglota zaczął uczęszczać do szkoły wiejskiej, gdzie pobierał pierwszą naukę w swoim życiu. W latach 1878-1880 Emil Krebs był uczniem szkoły realnej w Świebodzicach, zaś od 1880 r. uczęszczał do gimnazjum w Świdnicy, które zakończył zdaniem matury w 1887 r.

Trudno dziś powiedzieć, co było powodem pasji poznania jak największej liczby języków świata przez młodego Krebsa, jednak zamiar ten towarzyszył naszemu bohaterowi już od najmłodszych lat. A przyznać tu trzeba, że talent do tego miał naprawdę niebywały, a natura obdarzyła jego umysł w nadzwyczajne zdolności. Już jako 7-letnie dziecko nauczył się biegle francuskiego. W latach gimnazjalnych opanował jeszcze parę innych języków, tak więc kiedy zdawał maturę, potrafił już płynnie mówić po łacinie, starogrecku, nowogrecku, angielsku, włosku, hiszpańsku, rosyjsku, polsku, hebrajsku, arabsku i turecku (nie licząc oczywiście francuskiego, który opanował już wcześniej). Przy czym warto tu wspomnieć, że dał się on poznać nie tylko jako znakomity poliglota. Poza łatwym przyswajaniem języków obcych, był on również zdolnym prawnikiem i dobrym matematykiem.

W 1887 r., po zdaniu egzaminu maturalnego, Krebs wstępuje na Uniwersytet Wrocławski by studiować teologię. Dziedzina ta jednak nie pociąga go, toteż już w następnym semestrze przenosi się do Berlina, by na tutejszym uniwersytecie studiować prawo. Właśnie w Berlinie dochodzą go wieści o nowo otwartym seminarium języków orientalnych. Krebs postanawia więc spróbować swoich sił podejmując się studiowania języka chińskiego, gdyż był on najtrudniejszy jaki wówczas miano do zaoferowania. Anegdota głosi, że kiedy Krebsowi podano ankietę z podziałem na grupy języków z zapytaniem, które zamierza studiować, bez wahania zaznaczył czerwonym ołówkiem - wszystkie! Wkrótce dostał nowy formularz, z którym postąpił tak samo. Pomyślano więc początko-

wo, że Krebs stroi sobie żarty, jednak kiedy poddano go testom językowym, okazało się, iż ma on niebywały talent do języków.¹

Trzyletni okres pobytu na orientalistyce zakończył się dla zdolnego poligloty egzaminem na tłumacza języka chińskiego, który zdał 24 lipca 1890 r. na ocenę "dobrą". Ale na tym nie koniec. Przez następne dwa lata *nauczył się on tak posługiwać chińskim, że opanował wszystkie wytworności tego języka, które są znane tylko wykształconym tubylcom*. Pomimo ciężkich studiów orientalistycznych, Krebs niezaniebyszał również prawa, które studiował jednocześnie. 12 czerwca 1891 r. zdał on egzamin państwowy z prawa, by następnie podjąć pracę jako aplikant w sądzie okręgowym - najpierw w Gottesbergu, a później w samym Berlinie. Niedługo potem został on również członkiem seminarium do języków orientalnych na uniwersytecie w Berlinie (1892).

Przełomowym momentem w życiu młodego Krebsa okazał się 1893 r. Został on wówczas powołany na placówkę dyplomatyczną w Chinach (jako tłumacz-aspirant), w której - jak się później okazało - przyszło mu pracować blisko ćwierćwiecze. Wyprawa morska na Daleki wschód zajęła Krebsowi kilka miesięcy, podczas której zdążył się nauczyć kilku nowych języków. Tak więc gdy 5 grudnia 1893 r., po długiej podróży nasz bohater meldował się na placówce w Pekinie, potrafił już wtedy biegle się posługiwać 40 językami, a miał zaledwie 26 lat.

Dzięki swoim wybitnym umiejętnościom językowym Krebs bardzo szybko zdobył sobie szacunek wśród Chińczyków. Niejednokrotnie zdarzało się, że chińskie władze zasięgały u niego rad dotyczących gramatyki ich własnego języka. Był on również chętnie zapraszany na salony chińskiej arystokracji, a sama cesarzowa bardzo często przyjmowała go jako partnera wielu rozmów dyplomatycznych.

Wraz z rosnącym uznaniem, Emila Krebsa nie omijały również zaszczytne awanse zawodowe. W lipcu 1901 r. został mianowany pierwszym tłumaczem niemieckiego poselstwa w Pekinie, w lutym 1912 dostał kolejną nominację na tzw. "radcę językowego", a w sierpniu 1914 r. przyznano mu uprawnienia cywilne przy poselstwie.

Swoją pracę zawodową Krebs starał się zawsze pogodzić z pasją do ciągłego doskonalenia swojej wiedzy o językach. A poświęcał na to wcale nie mało czasu - nawet 11 godzin dziennie! Mozolny wysiłek jednak się opłacał i przynosił zaskakujące wyniki. Np. język armeński nasz genialny poliglota opanował do perfekcji w przeciągu 9 tygodni, poświęcając 2 tygodnie na gramatykę, 3 tygodnie na naukę staroarmeńskiego i 4 tygodnie na obycie się z samą wymową. Podobnie było z językiem baskijskim, który jest trudny i znacznie się różni od pozostałych języków europejskich. Krebs opanował go również w krótkim czasie i *został postawiony przez baskijską gazetę "Argia" za wzór do naśladowania dla młodych Basków*. Ale to nie wszystko. Swój największy talent Krebs przejawiał do języków azjatyckich, toteż nie bez przyczyny starano się go zatrud-

¹ Zresztą talent ten Krebs potwierdził bardzo szybko, gdyż w okresie studiów uczęszczał on aż na 24 lektoraty.

niać na wiele sposobów. Na przykład jego świetna znajomość wielu dialektów azjatyckich powodowała, że brał on udział w wielu spotkaniach dyplomatycznych jako tłumacz, zaś w okresie I wojny światowej jego nadzwyczajna znajomość japońskiego przyczyniła się do złamania japońskich szyfrów wojskowych (1917).

W 1917 r., z powodu napięć politycznych, Chiny zerwały stosunki dyplomatyczne z Niemcami. Ambasada niemiecka w Pekinie została zamknięta i Krebs zmuszony został wracać do Berlina. Jego olbrzymi zasób zdolności językowych nie był na razie nikomu potrzebny, toteż od 1918 r. został on przeniesiony na wcześniejszą emeryturę.

O genialnym poliglocie przypomniano sobie dopiero po 3 latach, w 1921 r. Dostał on wtenczas posadę w agencji informacyjnej przy urzędzie spraw zagranicznych, zaś w 1923 r. pełnił on dodatkową funkcję jako specjalista "ds. języka". Tutaj też pewnego dnia zaszło zdarzenie, które dość głośnym echem odbiło się w ówczesnej prasie. Wszyscy referenci, którzy byli wówczas zatrudnieni w urzędzie spraw zagranicznych mogli starać się o dodatki do płacy, których wysokość uzależniona była od ilości znanych języków. Emil Krebs wystąpił również o tego rodzaju dofinansowanie, domagając się przeszło 60 dodatków. Początkowo sądzono, że wpadnięto na trop oszusta, jednak kiedy poddano go próbie na znajomość języków obcych, wszystko okazało się jasne. Był on największym geniuszem językowym swoich czasów i takim pozostał do dziś.

Emil Krebs zmarł nagle 31 marca 1930 r. w swoim mieszkaniu w Berlinie. Przyczyną jego śmierci był udar mózgu. Jego zwłoki spoczęły na cmentarzu Suedwest-Friedhof w stolicy Niemiec. Śmierć wielkiego poligloty nie minęła jednak bez echa. O jego nagłym zejściu zaczęły pisać dzienniki i gazety w wielu krajach na świecie, a nowojorski "Times" zamieścił nekrolog, w którym informował, że *zmarł człowiek, który swymi umiejętnościami potrafił zastąpić 30 urzędników.*²

Pomimo tak genialnego umysłu, Krebs nigdy nie był naukowo czynny. Nie pozostawił po sobie żadnych znaczących dzieł naukowych, które mógłby przekazać potomnym. Udało mu się za to zgromadzić potężny księgozbiór liczący ponad 3,5 tys. tomów w około 120 językach, który obecnie jest przechowywany w Bibliotece Narodowej w Waszyngtonie.

Nadzwyczajne zdolności językowe Krebsa już od dłuższego czasu wzbudzały zainteresowanie w świecie nauki. Nic więc dziwnego, że po jego śmierci jego mózg stał się częścią tzw. kolekcji Vogta i obecnie jest przechowywany na uniwersytecie w Duesseldorfie.

² Dnia 20 kwietnia 1930 r. w słynnym *New York Times* ukazał się nekrolog informujący amerykańskie społeczeństwo o śmierci wybitnego świebodziczana. Tytuł tego nekrologu brzmiał: *Niemcy optakują śmierć lingwistycznego geniusza, znającego 65 języków...*

W 2003 r. grupa niemieckich naukowców-neurologów postanowiła zbadać mózg wielkiego poligloty i porównać go z 11 innymi mózgami osób płci męskiej. Badaniu poddano tzw. region Broca, a więc część mózgu, która jest odpowiedzialna za ośrodek mowy (i oczywiście umiejętności językowe). Jak się okazało właśnie ta okolica w mózgu świebodziczana ma całkiem inną asymetrię budowy niż u pozostałych badanych osób. Naukowcom nie udało się natomiast wyjaśnić, czy ta różnica była spowodowana ciężkim studiowaniem języków u Krebsa, czy też może nasz bohater został w momencie narodzin obdarzony przez naturę taką niezwykłością ludzkiego mózgu.

Wśród historyków i językoznawców zajmujących się historią życia najwybitniejszego poligloty wszech czasów do dzisiaj panuje wiele rozbieżności co do samej liczby języków, jakimi władał Emil Krebs. Na ogół wiadomo, że przez cały swój żywot zajmował się on około 120 językami, jednak ile z nich udało mu się opanować do stopnia biegłości? Obecnie opinie na ten temat są podzielone.

Większość badaczy przyznaje, że Krebs władał biegle aż 68 językami świata, ale są i takie osoby (jak na przykład jego przybrana córka), które twierdzą, iż było tych języków nieco mniej - 59. Przy czym i tutaj zdania mogą być odmienne, gdyż dokładna liczba języków zależy również od tego, które z nich można uznać za języki oddzielne, a które z kolei za dialekty. A jak nam wiadomo, w swoim życiu Emil Krebs posługiwał się wieloma dialektami - jak choćby azjatyckimi - które trudno uznać za odrębny język!

Nie mniej jednak wyczyn, jaki udało się osiągnąć rodowitemu świebodziczanie, należy uznać za wyjątkowy w dziejach ludzkości. Nic zatem dziwnego, że jemu właśnie przyznano pałeczkę pierwszeństwa i tytuł najwybitniejszego poligloty wszech czasów.

II

Emil Krebs był bez wątpienia jedną z największych indywidualności jaka na trwałe zapisała się w historii naszego miasta, ale nie jedyną. Tak się jakoś złożyło, że na ostatnie dziesięć lat swojego życia związał się ze Świebodzicami również **Jan Mikulicz-Radecki**, jedna z najwybitniejszych postaci światowej chirurgii przełomu XIX i XX w. To właśnie w Świebodzicach znajduje się jego grób oraz pałac, w którym mieszkał niegdyś wielkiej sławy uczony.

Mikulicz był światowej sławy chirurgiem. *Uczonym - jak pisze o nim W. Roszkowska - o którego ubiegały się Wiedeń i Halle, którego wykładów słuchano w Ameryce, stał się dla chirurgii tym kim dla dermatologii był Neisser. Dokonał jednej z pierwszych resekcji żołądka, autor cenionych prac z zakresu ortopedii, wychowawca, sprawił przewrót w swej dyscyplinie, domagając się wszechstronnych badań chorego organizmu, współpracy różnych gałęzi me-*

dycznych.³Jego prace i badania naukowe przyczyniły się do powstania licznych metod operacyjnych z różnych dziedzin chirurgii, jak i do zastosowania wielu nowych narzędzi chirurgicznych. Jako jeden z pierwszych przyczynił się do rozwoju nowych nauk medycznych - czofagoskopii i gastroskopii, mających istotne zastosowanie przy badaniu i obserwowaniu przełyku oraz żołądka. Przewadzone przez niego badania w zakresie antyseptyki przyczyniły się m.in. do zastosowania jodoformu przy leczeniu ran. Mikulicz był również wspaniałym organizatorem. Przyczynił się do wprowadzenia podczas operacji nicianych rękawiczek, białych fartuchów, masek zakrywających usta oraz czepków na głowę, używanych w medycynie po dziś dzień. Był również prekursorem w zwalczaniu złośliwych nowotworów oraz właściwej sterylizacji, pod którą stworzył fundamenty naukowe.

Jan Antoni Mikulicz-Radecki urodził się 16 maja 1850 r. w Czerniowcach w byłym Cesarstwie Austro-Węgierskim. W dzieciństwie był pod przemożnym wpływem swojej matki - Austriaczki, która starannie zadbała o wychowanie syna (oczywiście w tradycji niemieckiej).

Rodzice widzieli w nim studenta prawa Wiedeńskiej Akademii Orientalistyki i przyszłego dyplomate, jednak sam Mikulicz postanowił, wbrew ich woli, rozpocząć studia medyczne na uniwersytecie wiedeńskim. Jego wykładowcą był wówczas Teodor Billroth, ceniony chirurg austriacki, twórca nowoczesnej chirurgii krtani, przełyku i jamy brzusznej. Studia Mikulicz zdał z wyróżnieniem, toteż niedługo potem zaproponowano mu pracę w tutejszej Klinice Chirurgicznej Uniwersytetu Wiedeńskiego. Podczas pierwszych lat pobytu w klinice, załusnął po raz pierwszy jego talent. Odznaczał się zarówno w pracach organizacyjnych jak i czysto naukowych. Udało mu się znacznie zreorganizować powierzoną mu klinikę, do której wprowadził nowe działy medyczne. Tutaj również wydał kilka swoich pierwszych rozpraw naukowych, które przyniosły mu uznanie wśród ówczesnych naukowców.

W 1882 r. Jan Mikulicz-Radecki otrzymał propozycję objęcia Katedry na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Mikulicz propozycję przyjął, jednak senat uczelni był w pewien sposób zirytowany w powoływaniu na tą katedrę człowieka, który zdaniem tutejszego środowiska naukowego (Polaków), nie znał dobrze języka polskiego. Mikulicz więc postanowił udowodnić swoje umiejętności w posługiwaniu się polszczyzną. Bardzo szybko przypomniał sobie - w ciągu jednego tygodnia - jak się mówi po polsku, a w ciągu jednej nocy przetłumaczył na polski swoją rozprawę habilitacyjną, którą wygłosił w dniu otwarcia kliniki.

Pobyt Mikulicza na Uniwersytecie Jagiellońskim zbiegł się z ogromnym rozwojem medycyny na tej uczelni. Wydział lekarski tutejszego uniwersytetu skupiał wówczas tak wybitne osobistości jak Ludwika Teichmanna - współtwórcę nowoczesnej medycyny sądowej i znakomitego badacza układu limfatycznego, Napoleona Cybulskiego - fizjologa, odkrywcę pierwszego hormonu - adrenali-

³ Z. Antkowiak: *Pomniki Wrocławia*, Wrocław 1985, s.63

ny, czy też Tadeusza Browicza, prof. anatomii patologicznej, odkrywcę zarazka tyfusu brzuszego. Poza tym wykładali tu również inni badacze i klinicyści, których sława znacznie przekraczała mury tejże uczelni. Swoją karierę naukową w Krakowie Mikulicz kontynuował przez 5 lat, do 1887 r. W tymże roku dostrzegł go senat uniwersytetu w Królewcu, na którym przebywał przez kolejne trzy lata swojego życia.

W 1890 r. doceniając zasługi Mikulicza w reorganizacji poszczególnych klinik na wydziałach medycznych wielu uniwersytetów, powołano go na Katedrę Chirurgii Uniwersytetu Wrocławskiego. Jak się później okazało, na uniwersytecie tym Mikulicz spędził najwięcej swojego naukowego czasu. Obejmując w 1890 r. Katedrę Chirurgii we Wrocławiu, polski uczonec od samego początku przystąpił do budowy i wyposażenia całego zespołu budynków oraz do organizacji tutejszych klinik. Wyrazem wdzięczności za dokonanie tego dzieła jest poświęcenie prof. Mikuliczowi kamiennej płaskorzeźby znajdującej się przy wejściu do jednej z wrocławskich klinik. Płaskorzeźba ta, wykonana w cztery lata po śmierci uczonego, przez niemieckiego rzeźbiarza Artura Volkmana, przedstawia naszego bohatera, na którego skroni jedna z dwóch stojących przed nim bogiń greckich kładzie wieniec laurowy.

Na lata pobytu Mikulicza we wrocławskiej klinice przypada również największe pasmo jego naukowych sukcesów. Przeprowadzając skomplikowane operacje oraz poświęcając się pracy badawczej, Mikulicz z roku na rok zyskuje międzynarodową sławę. Jako jeden z pierwszych przeprowadził resekcję żołądka oraz skutecznego wycięcia raka krtani, a wyodrębniony i opisany przez niego twardy, symetryczny obrzęk gruczołów łzowych i ślinianek przeszedł do historii medycyny pod nazwą "choroby Mikulicza". Będąc doskonałym wykładowcą i nauczycielem, stworzył pokolenie wspaniałych lekarzy, swoich następców.

W 1895 r. Jan Mikulicz chcąc kontynuować swoje prace naukowe w zaciszu domowym, postanawia zamieszkać w pałacyku na Pełcznicy nieopodal Świebodzic.⁴ W tym też okresie powstają podstawowe dzieła z zakresu chirurgii, których jest współautorem (m.in. klasyczne dzieło "Podręcznik praktycznej chirurgii").

Pod koniec swojego życia Mikulicz był wielokrotnie wyróżniany za swoje zasługi w medycynie. Otrzymał tytuł szlachecki, a Akademia Nauk w Rzymie przyjęła go w poczet swoich członków honorowych. Jan Mikulicz-Radecki

⁴ Około 1960 r. w willi Mikulicza na Pełcznicy pojawił się prof. Zdzisław Wiktor (1911-1970), pracownik Zakładu Historii Medycyny Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Wrocławskiego, a zarazem wybitny biograf Jana Mikulicza-Radeckiego. Celem jego wizyty było szukanie materiałów i źródeł do pracy naukowej, która w późniejszym czasie nosiła tytuł: *Jan Mikulicz. Działalność naukowa i rys życia ze szczególnym uwzględnieniem okresu wrocławskiego*. Przyjazd Wiktora do Świebodzic okazał się bardzo owocny. Udało mu się wtenczas odnaleźć na poddaszu willi wiele pamiątek i cennych dokumentów związanych z osobą Mikulicza. Były to rysunki, rękopisy, prace naukowe, notatki i korespondencja wielkiego uczonego. Obecnie cała ta kolekcja jest przechowywana w Muzeum Uniwersytetu Wrocławskiego pod nazwą „zbiór Mikuliczianów”.

zmarł na raka 14 czerwca 1905 r., będąc u szczytu powodzenia. Pochowany został na cmentarzu komunalnym w Świebodzicach.⁵

W literaturze przedmiotu w ostatnim czasie pojawiło się wiele opracowań poświęconych życiu i działalności naukowej Jana Mikulicza-Radeckiego i to zarówno ze strony niemieckich, jak i polskich autorów. Jednak obie strony - polska i niemiecka - próbują dziś podkreślić wpływy własnych kultur na samą postać wielkiego chirurga. Powstał więc z tej prostej przyczyny spór o samą narodowość Mikulicza. Jednak nikomu nie udało się ostatecznie ustalić czy był on bardziej Polakiem czy też Niemcem.

Jednym z głównych powodów uznania Mikulicza za Polaka jest oczywiście jego pochodzenie i nazwisko rodowe, które wywodzi się z rusińskiej (słowiańskiej) szlachty. Ojciec Jana - Andrzej, był oczywiście Polakiem. Posiadał polskie szlachectwo i herb Gozdawa, który został przyznany jednemu z jego przodków za udział i męstwo w słynnej bitwie pod Wiedniem (1683). Wprawdzie matka naszego bohatera była Austriaczką, to jednak w domu rodzinnym Mikulicza oprócz języka niemieckiego i ruskiego, mówiło się również oczywiście po polsku. Zresztą ojciec Jana zawsze czuł się przywiązany do polskich korzeni, a jego pierwszą żoną była Wincenzja Dąbrowska, bliska krewna Jarosława Dąbrowskiego - słynnego polskiego patrioty i działacza rewolucyjnego.

Jan Mikulicz-Radecki posiadał liczne rodzeństwo. Jeden z jego braci został generałem armii austriackiej, natomiast siostra Emilia Zborowska była polską patriotką i mieszkała w Myślenicach pod Krakowem, gdzie w późniejszym czasie Mikulicz bywał jej częstym gościem. To m.in. siostra - która miała duże wpływy w polskim środowisku intelektualnym - pomagała w późniejszym czasie uzyskać bratu nominację na kierownika Kliniki Chirurgii UJ w Krakowie.

Zresztą sama walka Mikulicza o nominację na kierownika krakowskiej kliniki dowodzi jego determinacji i chęci udowodnienia przez niego polskiego pochodzenia. Wprawdzie Rada Wydziału Lekarskiego UJ umieściła kandydaturę naszego uczonego na ostatnim miejscu (a wszystko dlatego, iż zarzucano mu, że nie zna dobrze polskiego), to jednak Mikulicz nie poddał się. Z chęci przypomnienia sobie języka polskiego *Mikulicz rozpoczął w Wiedniu konwersację polskim z dr Dobrzańskim, a następnie pojechał w celu doskonalenia umiejętności językowych do siostry do Myślenic. Ta wyjednała mu audiencję u ówczesnego namiestnika Galicji hr. Potockiego, który ostatecznie uznał jego znajomość języka za wystarczającą. W ten sposób został Mikulicz wbrew Radzie Wydziału*

⁵ Trzeba tutaj stwierdzić fakt, że przez pierwsze lata po zakończeniu II wojny światowej, nikt sobie nie zdawał sprawy, że właśnie w Świebodzicach może znajdować się grób Jana Mikulicza Radeckiego. Dopiero w 1956 r. grupa uczniów z miejscowego liceum im. Marii Konopnickiej, dokonała na nowo odkrycia miejsca pochówku światowej sławy lekarza. Być może wynikało to z faktu, że na grobie znajdował się wówczas sam napis Mikulicz, co nie każdy mógł kojarzyć z nazwiskiem wielkiego chirurga.

mianowany przez Ministerstwo w Wiedniu kierownikiem kliniki".⁶Oczywiście warto tu wspomnieć, że do samej nominacji rękę przyłożył również nie kto inny jak sam prof. Billroth, który miał duże wpływy w austriackich sferach rządowych.

Znaczącym epizodem w życiorysie naukowym prof. Mikulicza było inauguracyjne otwarcie roku akademickiego 1882/83 na Wydziale Lekarskim UJ. Nasz bohater wygłosił wówczas wykład, w którym m.in. powiedział: *"Zarzucano mi, że nie znam języka polskiego, który jest przecież tak samo mową ojczystą dla mnie, jak dla każdego z Panów"*. Te historyczne słowa wielu biografów Mikulicza uważa dziś za jego deklarację narodową, której sam uczony nigdy nie odwołał ani też żadnej innej nie ogłosił. Mikulicz wypowiadał się na ten temat również na łamach polskojęzycznego "Przeglądu Lekarskiego", tłumacząc swoje problemy z polszczyzną tym, że cały czas obracał się w środowisku niemieckojęzycznym.

Jan Mikulicz-Radecki spędził w Krakowie 5 lat, a jego okoliczności odejścia z uczelni krakowskiej do dzisiaj nie zostały dokładnie poznane. Przypuszcza się, że duży wpływ na tą decyzję miała jego żona Henrietta, która niezbyt chętnie odnosiła się do Polaków. Wprawdzie środowisko krakowskie namawiało Mikulicza do pozostania, ten niestety decyduje się przenieść do niemieckiego Królewca, za co niektórzy polscy biografowie zarzucają mu brak poczucia patriotyzmu.

Jednak Mikulicz kontaktów z polskim środowiskiem nigdy nie zerwał, a w późniejszym czasie pod jego skrzydłami we Wrocławiu szkoliło się wielu polskich lekarzy-specjalistów. Jeden z nich, Bronisław Kader, tak po latach wspominał pracę u swojego nauczyciela: *Profesor Mikulicz był w tym czasie najślawniejszym i najwięcej znanym chirurgiem na świecie (...) Wielkie dla mnie miało znaczenie i to, że prof. Mikulicz był przede wszystkim profesorem w Krakowie i że był Polakiem. W początkach 1893 r. mianowano mnie etatowym asystentem, a w 1895 r. zostałem I-szym asystentem i bezpośrednim zastępcą prof. Mikulicza. Nigdy nie tałem swojej narodowości i było to (...) tym większym dla mnie odznaczeniem, że to był pierwszy i jedyny przypadek w całej Rzeszy Niemieckiej, że obcokrajowiec, zwłaszcza Polak został etatowym i to I-szym asystentem w rządowej uniwersyteckiej klinice.*⁷

W 1903 r. Jan Mikulicz-Radecki został zaproszony do Stanów Zjednoczonych, gdzie miał odczytać swoje wykłady na 20 klinikach uniwersyteckich. Oczywiście podczas tego pobytu uczony deklarował swoje polskie pochodzenie, czego przykładem jest pewien przypadek. Pewnego wieczoru Mikulicz został zaproszony na przyjęcie do amerykańskiego milionera. Na przyjęciu tym uczony został rozpoznany (po spinkach od mankietów, na których widniał herb

⁶ K. Wronecki: *Jan Mikulicz-Radecki. Wielki chirurg wrocławski, [Materiały z Symposium Naukowego: 150 Rocznica urodzin prof. Jana Mikulicza-Radeckiego, Świebodzice 19-20 maja 2000 r.]*;

⁷ W. Wojtkiewicz-Rok: *Jan Mikulicz-Radecki w opinii swojego niemieckiego mistrza i polskich asystentów [Materiały z Symposium Naukowego...]*

Gozdawa) za potomka polskiej szlachty. Dlatego też nasz bohater jest od tego momentu postrzegany w literaturze anglojęzycznej za polskiego chirurga.

O przywiązaniu Mikulicza do polskiej mowy, a tym samym do polskości, są również zachowane listy, które pisał piękna polszczyzną, a także szereg prac naukowych, które wielki uczony opublikował w języku swoich przodków. W sumie prof. Radecki napisał 29 rozpraw po polsku.

Oczywiście Mikulicz doczekał się także wielu publikacji biograficznych wśród niemieckich autorów, którzy starali się naświetlić jego związek z kulturą ich kraju. Ale to bynajmniej nie dziwi, gdyż postać sławnego profesora zapisała się znacząco również w historii niemieckiej medycyny.

Mikulicz już od najmłodszych lat swojego dzieciństwa był poddany wpływom germanizacyjnym. Duży nacisk na to kładła jego matka - Emilia Ludwika Damnitz, która pomimo, że była Austriaczką, wszystkie swoje dzieci próbowała wychować w duchu niemieckim. Drugą osobą, która miała ogromny wpływ na życie naszego uczonego, była jego żona (oczywiście także austriackiego pochodzenia!) - Henriette Pascher. Słynęła ona z wrogiego podejścia do wszystkiego co polskie. Zresztą to ona prawdopodobnie zmusiła swojego męża do opuszczenia Krakowa i przeniesienia się do niemieckiego Królewca.

Obejmując Katedrę Chirurgii w Królewcu Mikulicz musiał przyjąć obywatelstwo pruskie, gdyż tylko jako Niemiec mógł on być honorowanym naukowcem na tej uczelni. Ale podejmując się tego kroku Mikulicz zamykał przed sobą drzwi na uniwersytety Austrii, a zwłaszcza Wiedni, o którym marzył od wielu lat.

Zresztą swojego utalentowanego ucznia na pruskiej uczelni chętnie widział też prof. Billroth pod skrzydłami, którego Mikulicz kształcił się w Wiedniu w latach wcześniejszych (jako student i asystent). W dniu 29 listopada 1886 r. Billroth udzielając rekomendacji Mikuliczowi na uczelnię w Królewcu, skierował w związku z tym list do ówczesnego pruskiego ministra oświaty, w którym pisał: *Mikulicz wywodzi się z rusińskiej (...) rodziny, która austriackiemu państwu dostarczyła wielu utalentowanych urzędników, oddalony zaś od swojej ojczyzny, uległ całkowicie germanizacji. Jego ojciec był urzędnikiem w Czerniowcach na Bukowinie, dzieci, zaś obok języka niemieckiego, uczyły się też polskiego, na Bukowinie bowiem żyje ludność słowiańsko-niemiecka zmieszana ze sobą w bardzo wielkim stopniu. Późniejsze swoje wykształcenie profesor Mikulicz odebrał, chwałą Bogu, w niemieckim jeszcze całkiem Wiedniu, przez wiele lat był asystentem w mojej klinice. Dzięki wprawie w polskim narzeczu (!) otrzymał katedrę w Krakowie. Jest on całkowicie niemieckiego usposobienia, dlatego też jego sytuacja wśród nacjonalistycznie nastawionego kraju profesorów w Krakowie jest bardzo przykra, tęskni przeto bardzo za posadą na niemieckim uniwersytecie. Nie to jednak zdecydowało o tym, że polecam go Panu do Królewca; piszę o tym dlatego, aby zaprzeczyć sugestiom jakoby Mikulicz był Polakiem. W*

*żadnym wypadku to nie jest zgodne z prawdą, nie życzyłby sobie wtedy, ani nie mógłby odejść z Krakowa, gdzie jego położenie materialne, ze względu na szeroka, kultywowaną praktykę, jest bardzo dobre.*⁸

To prawda, że większość swojego naukowego życia (i nie tylko) Mikulicz spędził obracając się w środowisku niemieckim. Najpierw w Wiedniu, a potem - pomijając 5-letni pobyt na UJ w Krakowie - w Królewcu i Wrocławiu. Na wszystkich tych ośrodkach dał się poznać jako nieprzeciętny uczony, publikując swoje naukowe rozprawy oraz modernizując i udoskonalając metody leczenia. Pod skrzydłami Mikulicza wykształciło się wielu wybitnych lekarzy-naukowców, wśród nich m.in. F. Sauerbruch i W. Kausch, którzy chwalebnie zapisali się w dziejach niemieckiej medycyny. Zresztą za zasługi dla niemieckiej nauki i kultury cesarz niemiecki i król pruski Wilhelm II przyznał prof. Radeckiemu tytuł szlachecki (1899). Dzięki tej nominacji Mikulicz mógł od tego momentu stawiać przed swoim nazwiskiem przedrostek "von".

Spór o narodowość Jana Mikulicza-Radeckiego nie został i oczywiście nie może być rozstrzygnięty, albowiem jego osoba miała ogromny wpływ na kulturę obu narodów. Zresztą sam zainteresowany pytany o narodowość zawsze odpowiadał: *Jestem po prostu chirurgiem*. Rację więc mają Ci biografowie wielkiego uczonego, którzy próbują podkreślić obopólne korzyści, zarówno dla polskiej jak i niemieckiej medycyny, które wniósł swoją pracą prof. Mikulicz. M.in. Z. Wiktor w swoim rozważaniu na temat narodowości Mikulicza pisał: *Należał (Mikulicz) do kultury dwóch narodów; do polskiego z powodu pochodzenia, mowy ojczystej i działalności w Krakowie; do niemieckiej, przez studia i pracę w Wiedniu, a także przez zawarcie związku małżeńskiego z Henriettą Pascher, z którą założył niemiecką rodzinę.*⁹ Podobnego zdania jest W. Kozuszek, autor obszernej monografii poświęconej wrocławskiemu uczonemu: *Mikulicz czuł się w równym stopniu Polakiem co Niemcem, jest chlubą medycyny, a przede wszystkim chirurgii obu tych narodów, wyprzedził o sto lat toczący się obecnie proces zjednoczenia Europy, był jednym z pierwszych świadomych Europejczyków.*¹⁰

III

W zacisznym zakątku świebodzickiego cmentarza, tuż obok grobu Jana Mikulicza-Radeckiego, jest pochowana kolejna wielka postać światowej chirurgii z początku XX stulecia - prof. **Walther Kausch**. Przyćmiony przez osobowość swojego wielkiego mistrza i nauczyciela - prof. Mikulicza, Walther Kausch nie

⁸ Tamże;

⁹ Z. Wiktor: *W sprawie narodowości Mikulicza*, [Polski Tygodnik Lekarski, 1957,12,7];

¹⁰ W. Kozuszek: *Jan Mikulicz-Radecki 1850-1905. Współtwórca nowoczesnej chirurgii*, Wydanie Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2003 r.;

jest powszechnie znanym i rozpamiętywanym naukowcem w historii medycyny. Niemniej jego dorobek naukowy oraz wkład i udział w pionierskich badaniach z zakresu chirurgii wewnętrznej, znalazły szerokie uznanie w świecie lekarskim i przyczyniły się do przyznania mu poczesnego miejsca w gronie wybitnych lekarzy-naukowców przełomu XIX i XX w.

Walther Carl Eduard Kausch przyszedł na świat 17 lipca 1867 r. w Królewcu (obecnie Kaliningrad w Rosji) w domu urzędnika kolejowego. Był osobą bardzo utalentowaną, nic więc dziwnego, że już w wieku 18 lat wstąpił na Uniwersytet Fryderyka Wilhelma w Strassburgu i zaczął studiować medycynę. Studia zajęły mu 5 lat i zakończyły się przyznaniem mu licencji na uprawianie zawodu lekarza w dniu 8 lipca 1890 r.

Pierwsze lata swojej kariery zawodowej Kausch spędził w Strassburgu, gdzie praktykował w klinice psychiatryczno-neurologicznej pod kierunkiem dwóch wybitnych niemieckich profesorów: Fryderyka Jolly i Karola Furstnera, zaś w 1892 r. zaczął pracę w klinice medycznej prof. Bernarda Naunyna, którą kontynuował do 1896 r.

W tym też okresie pojawiają się pierwsze awanse w życiu naukowym młodego, zdolnego lekarza. W 1891 r. uzyskał on tytuł doktora, a w 1896 r. został habilitowany w zakresie medycyny wewnętrznej. Niedługo potem Kausch postanowił zmienić zakres swoich specjalizacji i przeszedł do chirurgii. Jak się potem okazało, dziedzina ta przyniosła mu największe sukcesy w jego czterdziestoletniej karierze naukowej.

Przełomowym momentem w życiu Kauscha okazał się 1887 r. Wówczas to, jeszcze jako 20-letni student, spotkał się on po raz pierwszy z Janem Mikuliczem-Radeckim. Polski chirurg, który w tym czasie objął posadę ordynatora Kliniki Uniwersyteckiej w Królewcu, zrobił duże wrażenie na młodym i utalentowanym studencie. Mikulicz pod opieką, którego wykształciło się pokolenie wybitnych lekarzy, od razu wykrył talent do nauk medycznych u młodego Kauscha. On to również - jak się później okazało - będzie miał największy wpływ na dalsze losy kariery zawodowej niemieckiego chirurga.

W 1896 r. Mikulicz, będąc już wtenczas kierownikiem Chirurgicznej Kliniki Uniwersyteckiej we Wrocławiu, postanawia ściągnąć również do siebie Kauscha. Praktykując pod kierunkiem znakomitego naukowca, Kausch zdobywa kolejne laury w zakresie medycyny. W 1899 r. uzyskuje habilitację z chirurgii, a w grudniu 1902 r. - tuż przed Bożym Narodzeniem - tytuł samego profesora (20 XII). W następnym roku, czyli w 1903 r., Walther Kausch wchodzi w związek małżeński z córką swojego promotora - Marią Mikulicz. Dzięki temu przyjaźń między nauczycielem i jego zdolnym uczniem zacieśnia się jeszcze mocniej.

W życiu prywatnym Kausch okazał się także przykładnym mężem i ojcem. Ze swojego związku małżeńskiego doczekał się aż dziewięcioro dzieci. Jednak życie czasami przyprawiało go o osobiste tragedie, jak chociażby śmierć 7-letniego syna Wolfganga, którego nie udało mu się uratować pomimo własno-

ręcznie przeprowadzonej operacji. W swojej działalności naukowej zajmował się również radiologią (rentgenografią), do tego stopnia, że poprzez szkodliwe promieniowanie uszkodził lewą dłoń. Dolegliwość ta towarzyszyła mu potem aż do końca jego życia. W okresie I wojny światowej Kausch służył w armii niemieckiej jako lekarz oddziałowy, ale w wyniku odniesionej rany przeniesiony został po 1,5-letniej służbie do rezerwy.

Kolejne wielkie sukcesy zawodowe Kausch zanotował w 1905 r., kiedy to po śmierci swojego teścia stał się ordynatorem Kliniki Wrocławskiej, a nieco później objął on również stanowisko dyrektora Szpitala Miejskiego Augusty-Victorii w Berlinie-Schonebergu (będącego wówczas w budowie). Tą ostatnią placówką przyszło mu kierować aż do śmierci. Walther Kausch zmarł w nocy 24 marca 1928 r. w Berlinie w wyniku zapalenia wyrostka robaczkowego. Pomimo przeprowadzonej operacji, nie udało się go uratować. Odszedł w 12 dni po przeprowadzonym zabiegu. Na prośbę rodziny zwłoki jego zostały przetransportowane i pochowane na cmentarzu komunalnym w Świebodzicach, tuż obok grobowca Jana Mikulicza-Radeckiego.

Pomimo bogatego życia intelektualnego, Walther Kausch pozostaje w znacznym stopniu nieznany ze swojego dorobku naukowego. Również na jego dzieła powoływano się sporadycznie. Ale to właśnie Kausch jest uznawany w świecie medycznym za pioniera w obrębie chirurgii wątroby, żółci, czy trzustki, zaś przeprowadzona przez niego w dniu 21 sierpnia 1909 r. resekcja raka głowy trzustki okazała się pierwszym tego typu zabiegiem w historii medycyny - stąd często w definicji lekarskiej można spotkać zwrot "Kauscha-Whipple'a operacja" (drugi człon nazwy pochodzi od amerykańskiego chirurga, Allena O. Whippla, który równo 25 lat po Kauschu dokonał podobnego wyczynu operacyjnego).

Pionierskie badania Kauscha zostały natomiast docenione w jego ojczyźnie - Niemczech. Co dwa lata jest tam przyznawany medal jego imienia, jako wyróżnienie dla lekarzy-naukowców, których badania doprowadziły do znaczących osiągnięć medycznych w obrębie chirurgii narządów wewnętrznych (wątroby, trzustki i żółci). Na przykład w 2004 r. Medal Walthera Kauscha został przyznany szwedzkiemu prof. Ingemarowi Ihse, za jego zasługi w leczeniu schorzeń trzustki.

IV

Śledząc biografie wybitnych postaci, które w jakiś sposób związały się na stałe z naszym miastem, nie sposób tu nie zauważyć, że Świebodzice jak dotąd miały szczęście do przedstawicieli dwóch zawodów: lekarzy i prawników. Podobnie ma się rzecz z kolejnym naszym bohaterem, doktorem nauk prawnych, **Martinem Kirschnerem**, który urodził się i spędził najmłodsze lata swojego dzieciństwa w Świebodzicach.

Martin Kirschner, przyszły burmistrz Berlina oraz ceniony adwokat i polityk, przyszedł na świat 10 listopada 1842 r. Był jedynym dzieckiem znanego świebodzickiego lekarza Juliusza Kirschnera oraz jego żony Matyldy z domu Langemayr. W naszym mieście młody Martin spędził 10 lat swojego życia, by następnie – w 1852 r. przenieść się wraz z rodzicami do stolicy Dolnego Śląska. We Wrocławiu nasz bohater wstępuje do Gimnazjum Św. Marii Magdaleny, które kończy – ze względu na nienajlepszy stan zdrowia – dopiero w 1863 r. Pomimo problemów zdrowotnych i śmierci ojca, Kirschner postanawia kontynuować swoją edukację i robi to z dużym powodzeniem. W ciągu kilku następnych lat kończy wydziały prawa aż na trzech uniwersytetach: we Wrocławiu, Heidelbergu i Berlinie. W 1868 r. udaje mu się zdobyć posadę miejskiego urzędnika Trybunału we Wrocławiu, a w trzy lata później asesora w tutejszym sądzie (1871). W 1872 r. Martin Kirschner zawiera związek małżeński z Margaret Kalbeck, siostrą znanego pisarza i krytyka wrocławskiego Maxa Kalbecka. Z małżeństwa tego doczekał się pięcioro dzieci: czterech córek oraz jedynego syna, również Martina, który w późniejszym czasie dał się poznać jako jeden ze zdolniejszych chirurgów niemieckich przełomu XIX i XX stulecia.

Przez następne lata Martin Kirschner nie się powoli po szczeblach kariery zawodowej we władzach Wrocławia. W 1873 r. zostaje wybrany radnym tegoż miasta, sześć lat później mianowano go syndykiem miejskim, a niedługo potem został obrany na posiedzeniu Rady Miasta jej wiceprzewodniczącym oraz przedstawicielem władz miasta Wrocławia na Śląsk. W tym też okresie zostaje zauważony i doceniony przez ówczesnego burmistrza stolicy Dolnego Śląska, Maxa Forckenbecka, który w 1878 r. zostaje wybrany na urząd Burmistrza Berlina. Jak się niedługo potem okaże, w ślady Forckenbecka pójdzie również nasz bohater.

Poza działalnością we władzach Wrocławia, Kirschner czynnie uczestniczy również w Niemieckiej Partii Postępu (DFP) - założonej w czerwcu 1861 r, by w 1887 r. zostać wybranym na jej głównego przewodniczącego. DFP uchodziła swego czasu za jedną z pierwszych nowoczesnych partii politycznych w Niemczech.

Przełomowym momentem w życiu Kirschnera okazał się 1892 r., kiedy to na zaproszenie Maxa von Forckenbecka nasz bohater przybywa do Berlina, by niedługo potem, w wyniku wyboru, objąć urząd vice burmistrza tego miasta. Stanowisko to Kirschner piastował przez kolejne sześć lat - do 1898 r. W dniu 23 czerwca tegoż roku, po rezygnacji Roberta Zelle z funkcji Burmistrza Berlina, został powołany na jego miejsce jako następcy. Powołanie Kirschnera na urząd burmistrza największej niemieckiej metropolii, a zarazem stolicy Cesarstwa Niemieckiego, stanowiło kulminacyjny punkt w długoletniej karierze wybitnego świebodziczana. Nie mniej na samo potwierdzenie tego stanowiska przez cesarza Wilhelma II, Kirschner musiał czekać przez kolejne 18 miesięcy (do końca 1899 r.), co było wyrazem sporu jaki wówczas panował między monarchą a radą miasta.

Obejmując urząd burmistrza stolicy Niemiec, Kirschner stawał przed ogromnym wyzwaniem, jakie na niego czekało. Przede wszystkim trzeba było nadać za ogromnym przyrostem ludności miasta, będącego następstwem uprzemysłowienia. Już w 1877 r. liczba mieszkańców Berlina przekroczyła 1 mln obywateli, by w trzy dekady później dojść do ponad 2 mln (1905). Za tak postępującym ożywieniem miasta starano się przede wszystkim nadać z problemem kanalizacji Berlina oraz wzmożonego ruchu komunikacyjnego. To właśnie za kadencji Kirschnera stolica Niemiec doczekała się nowoczesnej sieci kanalizacyjno-wodociągowej, którą ostatecznie ukończono w 1894 r., po niespełna 20 latach budowy. W lutym 1902 r. Berlin doczekał się otwarcia swojej pierwszej linii metra, w 1905 r. wprowadzono do komunikacji miejskiej autobusy, a nieco wcześniej przeprowadzono także elektryfikację linii tramwajowej.

W okresie rządów Kirschnera metropolia berlińska doczekała się również wielu innych inwestycji. Wybudowano m.in. nowy szpital im. Rudolfa Virchowa oraz oddano do użytku szpital psychiatryczny. Nowy budynek otrzymała też Akademia Sztuk Pięknych oraz wybudowano gminne sierocińce, obiekty służby ubogim, a także kilka miejskich szkół. Przebudowano w tym czasie tzw. East Harbour ("Port Wschodni"), Plac Paryski oraz Muzeum Historii Berlina (tzw. Markische Museum). Oddano również do użytku kilka obiektów rekreacyjnych dla mieszkańców metropolii jak np. Park Schillera, Victoria Park czy Ogrody Botaniczne (przebudowane w latach 1897-1903 na całkiem nowe). W sferze społecznej Kirschner wprowadził również nowe uregulowania w szkolnictwie wyższym oraz zawodowym.

Martin Kirschner za swoje osiągnięcia w życiu zawodowym i społecznym został w 1910 r. odznaczony tytułem doktora honoris causa Wydziału Prawa na Uniwersytecie Berlińskim. W marcu 1911 r. ponownie wybrano go na burmistrza Berlina. Jednak rok później, ze względu na zły stan zdrowia, zrezygnował z piastowania tego stanowiska, udając się na zasłużoną emeryturę. Martin Kirschner zmarł w wyniku choroby serca 13 września 1912 r. w kurorcie Ehrwald w Tyrolu. Po jego śmierci władze Berlina przyznały mu honorowe obywatelstwo miasta, a od 1967 r. jedna z ulic stolicy Niemiec nosi również jego imię.

Oczywiście Martin Kirschner nie jest jedyną osobą urodzoną w Świebodzicach, która po wyemigrowaniu we wczesnym dzieciństwie z naszego miasta, zrobiła zawrotną karierę poza jego granicami. Nie możemy tutaj zapomnieć o innym świebodziczaninie – Pawle Fleischmannie, który podążając mniej więcej tymi samymi ścieżkami co Kirschner, również odniósł znaczący sukces w sferze politycznej, gospodarczej i społecznej.

Paul Theodor Fleischmann przyszedł na świat 23 września 1889 r. w Świebodzicach. Zanim jednak odegrał jedną z pierwszoplanowych ról w powojennych dziejach Berlina, sprawował różne funkcje w swojej karierze zawodowej. Między innymi w latach 1921-1928 był pracownikiem Generalnego Towarzy-

stwa Niemieckich Związków Zawodowych, od 1925 do 1933 r. pełnił rolę przewodniczącego Rady Miejskiej w Poczdamie-Nowawes, a w 1928 r. został dyrektorem Departamentu Pracy w Nowawes (dziś część Poczdamu). Był również jednym z ważniejszych działaczy w Niemieckiej Partii Socjaldemokratycznej (SPD) w szeregi, której wstąpił już jako 18-latek.

Jednak największe pasmo swoich sukcesów zawodowych Paul Fleischmann zanotował po II wojnie światowej, zasiadając we władzach berlińskiego ratusza. To właśnie świebodziczanie wraz z ówczesnym pierwszym powojennym burmistrzem Ernestem Reuterem oraz Paulem Hertzem – senatorem ds. Gospodarki i Finansów Berlina, mieli największy wpływ na życie gospodarcze i społeczne niemieckiej metropolii. A przyznać tu trzeba, że czasy nie były wtedy łatwe. O Berlin toczył się spór (tzw. jego blokada) między Związkiem Radzieckim a aliantami, co zaowocowało początkiem zimnej wojny.

Niemniej Fleischmann w latach 40-tych i 50-tych XX stulecia był tą postacią, która odpowiadała za Departament Pracy w Berlinie. Pełnił on wtenczas funkcje dyrektora tegoż wydziału, by następnie zostać senatorem ds. zatrudnienia (1951-1953) oraz Prezesem Pracy Berlina (1954-1956). A trzeba tu przyznać, że świebodziczanie dość ambitnie sprawował swoją funkcję, skoro o jego sukcesach pisał nawet w 1950 r. amerykański *New York Times*.¹¹

Za swoje osiągnięcia w sferze politycznej i gospodarczej na rzecz metropolii berlińskiej Fleischmann został między innymi odznaczony medalem Ernesta Reutera (1959) oraz Wielkim Krzyżem Zasługi z Gwiazdą Zasługi Republiki Federalnej Niemiec (1957), zaś w 1964 r. – rok przed swoją śmiercią – stał się honorowym członkiem listy tzw. „Mędrców Berlina”. Paul Theodor Fleischmann zmarł 7 czerwca 1965 r. Pochowany został na berlińskim cmentarzu Zehlendorf.

V

Gdyby dzisiaj przyszło nam rozstrzygnąć, który z mieszkańców naszego miasta miał największy wpływ na ratowanie ginących gatunków zwierząt na naszej planecie oraz ochronę przyrody, to z całą pewnością byłby to **Kurt Priemel**.

Postać doktora Priemela zasługuje tutaj na szczególny szacunek. Pomimo wielu przeciwności losu, był on tą osobą, która z wielkim zaangażowaniem, uporem i wytrwałością potrafiła zabiegać o przetrwanie ginących gatunków zwierząt. To właśnie między innymi dzięki jego staraniom możemy dziś zawdzięczać fakt uratowania od całkowitego wyginięcia europejskiego żubra – króla kontynentalnej puszczy.

Kurt Priemel urodził się 22 lipca 1880 r. oczywiście w Świebodzicach. Już od najmłodszych lat swojego dzieciństwa przejawiał różne zainteresowania otaczającym go światem, toteż kiedy pod koniec XIX stulecia wybrał się na studia,

¹¹ Chodziło tu o wdrożenie ambitnego planu zatrudnienia dla 50 tysięcy Berlińczyków.

postanowił się poświęcić aż 4 kierunkom. Studiował we Wrocławiu i Bernie, a jego zainteresowania objęły zoologię, paleontologię, geologię oraz chemię. W wieku 26 lat udało mu się obronić tytuł doktora, a w roku następnym został zatrudniony jako asystent we frankfurckim ogrodzie zoologicznym.

Już od samego początku swojej pracy zawodowej Priemel dał się poznać jako doskonały organizator. Jego pierwszy projekt obejmował stworzenie 40 zbiorników w tzw. „Reptile Hall” (budynku dla gadów), zaopatrzonych w ciepło i światło. Zaowocowało to tym, że w 1908 r. powierzono mu funkcję dyrektora naukowego tutejszego ZOO, zaś w 1913 r. został dyrektorem generalnym i pełnił tę funkcję aż do momentu przejścia na emeryturę (01.04. 1938 r.).

W przeciwieństwie do swojego poprzednika, który dążył do stworzenia jak największej kolekcji zwierząt, Priemel obrał całkiem inny model organizacji ZOO. Chciał on przede wszystkim wyselekcjonować grupę zwierząt (gatunków najbardziej atrakcyjnych dla rzesz zwiedzających) i pokazać w ten sposób każdą formę życia i środowiska naturalnego na naszej planecie. To podejście zaowocowało tym, że już w 1908 r. udało mu się stworzyć we frankfurckim ZOO naturalny i tropikalny krajobraz bagienny dla żyjących tu krokodyli. Ale na tym nie koniec. W swoich planach i postanowieniach Priemel dążył do tego, aby każda grupa zwierząt miała swojego opiekuna i była jak najbardziej oswojona. Nasz bohater starał się również zmodernizować tutejszą placówkę pod względem jak największej atrakcyjności dla zwiedzających. W 1924 r. otwarto na terenie ogrodu kino, gdzie prezentowano filmy przyrodnicze. W 1928 r. odnowiono akwarium, które swego czasu było jednym z najnowocześniejszych na świecie, a pod koniec lat 20-tych otwarto pomieszczenia dla goryli, które uchodziły wtenczas za sensację w tutejszym ZOO.

Jednak wraz z kryzysem gospodarczym, który na przełomie lat 20-tych i 30-tych ubiegłego stulecia objął niemal cały świat, ciężkie czasy nastąpiły również dla frankfurckiego ogrodu zoologicznego. Rosnąca inflacja oraz stały brak pieniędzy spowodowały, że miejscowe ZOO zostało przejęte przez miasto. Ale Kurt Priemel nie poddał się. Zrestrukturyzował ogród na potrzeby rolnictwa (zwłaszcza w zakresie poprawy hodowli zwierząt), co pozwoliło przetrwać trudny okres.

Zarządzanie i dbanie o interesy frankfurckiego ogrodu nie było jednak jedynym zajęciem, na którym dał się poznać nasz bohater. Kurt Priemel zapisał się w historii przede wszystkim jako gorący propagator ratowania ginących gatunków zwierząt, a nade wszystko restytucji żubra. A warto tu przyznać, że czasy dla tego gatunku nie były wtenczas łatwe. 9 lutego 1921 r. został zabity ostatni dziki żubr w Puszczy Białowieskiej, w cztery lata później ubito ostatniego bizona górskiego na Kaukazie, zaś pozostała globalna populacja, którą udało się wówczas policzyć, liczyła zaledwie kilkadziesiąt osobników¹². Nic zatem dziw-

¹² W spisie przedstawionym na dzień 31 grudnia 1924 r. przez Groebena figurowało łącznie 66 zwierząt. Nie uwzględniono w nim żubrów żyjących jeszcze w tym czasie na Kaukazie, z braku jakiegokolwiek wiarygodnej informacji o nich.

nego, że w sierpniu 1923 r. odbył się na terenie berlińskiego ogrodu zoologicznego zjazd przedstawicieli 15 krajów europejskich i Stanów Zjednoczonych, których zadaniem było opracowanie projektu ratowania żubra przed totalnym wyginięciem. Zawiązano wówczas Międzynarodowe Towarzystwo Ochrony Żubra, którego prezesem został właśnie nasz bohater. Projekt ratowania osobników tego gatunku polegał na zaangażowaniu w niego doświadczonych hodowców i powołaniu specjalnych delegatów w tym zakresie. Zdecydowano również o stworzeniu tzw. Księgi Rodowodowej, w której znalazłyby się wszystkie informacje o całej populacji żubra żyjącego wówczas na świecie. *Zjazd berliński – jak zanotowano w późniejszym czasie - był historycznym wydarzeniem. Po raz pierwszy dyrektorzy ogrodów zoologicznych zdali sobie sprawę, że wzajemna współpraca i zaangażowanie mogą uchronić od całkowitej zagłady wiele gatunków zwierząt.*

Za swoje wybitne osiągnięcia Kurt Priemel został w 1953 r. odznaczony Orderem Zasługi Republiki Federalnej Niemiec. Nasz bohater zmarł we Frankfurcie nad Menem w dniu 21 lutego 1959, w wieku 79 lat i pochowany został na tamtejszym cmentarzu.

VI

Przed ostatnią wojną światową z naszym miastem był także związany inny niemiecki przyrodnik – F.W. Niepelt, którego dom oraz warsztat naukowy znajdowały się pobliskich Cierniach.

Fryderyk Wilhelm Niepelt urodził się 10 listopada 1862 r. w nieodległym Strzegomiu, jednak znaczną część swojego życia spędził właśnie na przedmieściach naszego miasta. Jak zapisała jedna z poniemieckich kronik Świebodzic: *Wilhelm Niepelt pomimo ,iż zaczynał swoją karierę zawodową jako praktykant introligatorski, stał się wkrótce słynnym na cały świat biegłym entomologiem.* Niemiecki przyrodnik dosyć sporo czasu poświęcił badaniu motyli. To właśnie pod Świebodzicami – w pobliskiej wsi Ciernie – poza prywatnym mieszkaniem, znajdował się sklep z okazami, fabryczka osprzętu oraz niewielkie wydawnictwo naszego uczonego.

Dzięki swojej życiowej pasji Niepeltowi udało się zgromadzić dosyć okazałą kolekcję motyli egzotycznych, której znaczną grupę stanowiły okazy z Ameryki Południowej, Sumatry i tropikalnej Afryki. Niemiecki uczoney utrzymywał również szerokie kontakty z gronem innych naukowców z branży, o czym świadczy zachowana korespondencja. Pisał chociażby ze spółką Bang-Haas, ojcem i synem, którzy w tamtych latach prowadzili największy na świecie sklep entomologiczny w Dreźnie. Warto tutaj wspomnieć, że ów spółka była blisko spokrewniona z Ottonem Staudingerem (1830-1900), najwybitniejszym niemieckim badaczem owadów. To właśnie Staudinger stanowił niejako autorytet w swojej dziedzinie dla mieszkańca Świebodzic.

Fryderyk Wilhelm Niepelt zmarł 26 maja 1936 r. w Cierniach. Jego kolekcja zaś stała się częścią zbiorów Muzeum Historii Naturalnej Uniwersytetu Wrocławskiego.

VII

Tak się jakoś złożyło, że do tej pory pisałem o ludziach kultury, nauki i polityki, którzy poprzez swoją działalność społeczną i życie prywatne, na trwale złączyli się z historią naszego miasta. Jednak nie ma wątpliwości co do tego, że największe piętno na przeobrażeniach jakie w XIX stuleciu dokonały się w krajobrazie architektonicznym i przemysłowym Świebodzic, położyła **rodzina von Kramsta** - wielkich przemysłowców niemieckich, którzy swego czasu stali się jedną z najbogatszych i najbardziej wpływowych rodzin Dolnego Śląska.

Kariera Kramstów jest naprawdę zdumiewająca.¹³W ciągu kilku pokoleń z przeciętnej i niczym nie wyróżniającej się rodziny, Kramstowie stali się wielkimi magnatami finansowymi w posiadaniu, których znajdowała się większość przedsiębiorstw mechanicznych na Dolnym Śląsku (przedsiębiorstwa te przynosiły ogromne zyski). Dzięki swojej ogromnej fortunie Kramstowie, niekiedy nazywani ŚLĄSKIMI ROCKEFFELERAMI, stali się bardzo szybko głównymi inicjatorami wielu rozwojowych inwestycji na terenie Śląska. Możemy m.in. zawdzięczać im fakt, że linia kolejowa z Wrocławia w kierunku Sudetów, budowana na początku lat 40-tych XIX w., kończyła się właśnie w Świebodzicach (w okolicach naszego miasta znajdowała się wówczas większość ulokowanego przez nich kapitału). W Świebodzicach Kramstowie wywarli również decydujący wpływ na społeczność, która je zamieszkiwała. Jednak ten wpływ był bardziej negatywny niż pozytywny. Wyzysk, nędza, głód i bunty tkaczy, to podstawowe przejawy rozwoju fabryk Kramstów oraz pomnażania ich rodzinnej fortuny (za zarobione pieniądze rodzina kupiła sobie nawet w 1862 r. tytuł szlachecki).

Swój przemysłowy debiut rodzina rozpoczęła na samym początku XIX w., kiedy to w 1809 r. Fryderyk Kramsta postanowił założyć w Świebodzicach fabrykę płótna. Pracowało w niej 1300 tkaczy, co na dwutysięczne miasto stanowiło zdecydowaną większość mieszkańców zatrudnionych w świebodzickim przemyśle włókienniczym. Podczas kilkunastoletniej działalności firmy, zawiązała się pierwsza spółka rodzinna (Spółka Akcyjna "Kramsta i Synowie"), która w 1827 r. decyduje się na otwarciu nowego zakładu nieopodal Bramy Strzegomskiej (spółce przewodniczył wtenczas Georg Gottlob Kramsta).

Lata 30-te przynoszą kolejny etap kariery przemysłowej Kramstów, który ściśle powiązany jest z rozwojem włókiennictwa na Dolnym Śląsku. Już w 1818 r. w Wałbrzychu, przy pomocy kredytów państwowych, uruchomiono pierwszą w Europie mechaniczną (parową) przedsiębiorstwo Inu. Jej założycielem był znany dol-

¹³ Potomkowie rodziny przybyli do Świebodzic w XVII w. z Czech. Wówczas nazywali się Kramsta-Slobodnik.

nośląski przedsiębiorca J.G.W. Alberti. Kramstowie idąc śladem swojego poprzednika decydują się na uruchomienie kolejnej przędzalni tego rodzaju. Realizacja planu ma miejsce w 1832 r., kiedy to Chrystian Gottlieb Kramsta postanawia założyć w Marciszowie koło Bolkowa swoją pierwszą przędzalnię mechaniczną, opartą o najnowszą - jak na tamte czasy - technologię angielską. W przeciągu kilkunastoletniej działalności nastąpił bardzo szybki (pomimo pożaru) rozwój fabryki, w której w 1849 r. było zatrudnionych 141 robotników, a sama przędzalnia liczyła blisko 2300 wrzecion.

W trzy lata po otwarciu fabryki w Marciszowie, Kramstowie decydują się na kolejną inwestycję, która tym razem ma miejsce na terenie naszego miasta. W 1835 r. otwierają swoją drugą, a trzecią na Śląsku przędzalnię mechaniczną, której lokalizacja nastąpiła przy dzisiejszej ul. Strzegomskiej (dawny zakład "Silena", będący niegdyś spadkobiercą dawnych tradycji włókienniczych w naszym mieście).

W początkach lat 50-tych XIX w. świebodzicka fabryka Kramstów zatrudniała już 1000 pracowników, a jej wyposażenie stanowiły 3 maszyny parowe o mocy 100 KM oraz 13.200 wrzecion. Była to więc największa fabryka przędzalnictwa na terenie ówczesnego Śląska.

Druga połowa XIX w. przynosi dalszy rozwój przemysłu tkackiego w dobrach rodziny Kramstów. Oprócz kilku fabryk przędzalnictwa lnu (Świebodzice, Bolków, Marciszów), Kramstowie byli również właścicielami innych zakładów przemysłowych. W samych tylko Świebodzicach kapitał rodzinny składał się z kilku fabryk, w których pracowało ponad 1000 robotników. Poza wyżej wspomnianymi przędzalniami rodzina była również w posiadaniu fabryki maszyn budowlanych (zatrudniała 62 pracowników), wykańczalni (59 osób) i krochmalni (20 robotników).

Dzięki szybkiemu rozwojowi i unowocześnianiu produkcji, dokonywało się przejście z produkcji manufakturowej do czysto przemysłowej, rozwijanej tutaj na szeroką skalę. Jednak rozwijający się w Świebodzicach przemysł był przyczyną wyzysku i nędzy tysięcy zwykłych robotników. Sam rozwój zakładów w Świebodzicach odbywał się kosztem zatrudnionych w nich blisko tysięcy tkaczy. W przeciągu kilku lat (1842-1844) zarobki pracowników w fabrykach rodziny Kramstów spadły z 23 do 15 groszy tygodniowo. Ten pogłębiający się kryzys i głód wśród pracowników dolnośląskich był przyczyną wielkiego buntu, jaki miał niebawem nadejść. W 1844 r. całym światem wstrząsnęły wypadki, jakie rozegrały się na Pogórzu Sudeckim. Tysiące tkaczy z okolic Pieszyc i Bielawy (ok 30 km. na pld.-wsch. do Świebodzic) odmówiło świadczenia swoich usług pracowniczych, niszcząc przy tym sprzęt fabryczny i domagając się podwyższenia swoich nędznych zarobków. Powstanie bardzo szybko rozniosło się do innych ośrodków przemysłowych, docierając także do granic Świebodzic. Dopiero na wezwanie nielicznej grupy bogatych kapitalistów, garnizony pruskie stłumiły krwawo bunt. Jedną z rodzin, która się przyczyniła do tych tragicznych wydarzeń byli Kramstowie.

W 1871 r. wszystkie zakłady włókiennicze rodziny zostały przejęte przez Spółkę Akcyjną Śląskiego Przemysłu Lniarskiego z głównym oddziałem we Wrocławiu. Pomimo, iż filie spółki działały w wielu miejscowościach Dolnego Śląska i nie tylko, to jednak największy udział w spółce miały przedsiębiorstwa ze Świebodzic. Na samym początku XX w. kapitał zakładowy spółki wynosił ponad 9 mln 300 tys. marek, a ponad 75% tego udziału przypadało na fabrykę w Świebodzicach. Posiadała ona 15 tysięcy wrzecion i nadal zaliczała się do największych przedsiębiorstw na Dolnym Śląsku.

Dzięki ogromnej fortunie, jaką udało się zebrać Kramstom w ciągu kilkudziesięcioletniej kariery przemysłowej, rodzina ta przyczyniła się do rozwoju wielu fundacji na rzecz mieszkańców Świebodzic. Szczególnie hojna w tym udziale okazała się Maria Kramsta¹⁴, toteż nic dziwnego, że w 1899 r. przyznano jej tytuł honorowego obywatela miasta. W 1877 r. ufundowała ona zakład opiekuńczy dla małych dzieci przy obecnej ul. Piłsudskiego. W dziesięć lat później, zakład dla dziewcząt, a w 1911 r. przeznaczyła na miejski szpital 35 tys. marek. Natomiast w 1874 r. Edward Kramsta podarował miastu nowe budynki szpitalne. Warto tu również wspomnieć, że w 1835 r. z inicjatywy Kramstów odbyły się w naszym mieście wielkie manewry (pokazy) wojskowe, w których uczestniczyli przedstawiciele do spraw wojskowych z Rosji, Austrii i Anglii, a przewodził im car rosyjski Mikołaj I wraz z małżonką.

Kariera Kramstów w Świebodzicach kończy się wraz z wybuchem i przebiegiem I wojny światowej. W ciągu swojej stułetniej działalności Kramstowie odegrali bardzo doniosłą rolę w dziejach XIX-wiecznych Świebodzic. Dzięki nim nasze miasto, podobnie jak wiele innych ośrodków miejskich w Europie, weszło na drogę rozwijającego się wówczas kapitalizmu, stając się w ten sposób jednym z najbardziej uprzemysłowionych miast Dolnego Śląska.

Po I wojnie światowej przedstawiciele rodziny Kramstów spotykamy w okolicach Jeleniej Góry i Legnicy. Już w 1913 r. Emma Kramsta, pod naciskiem rodziny, zakupiła jeden z najpiękniejszych pałaców renesansowych na Dolnym Śląsku, który położony był w Maciejowcu nieopodal Jeleniej Góry. Obiekt ten został nabyty od gen. Oldwiga von L'Estocq i pozostawał w dobrach rodzinnych do końca II wojny światowej. Pod koniec XIX w. inny z kolei przedstawiciel rodziny, Jerzy Kramsta (brat Emmy), zaczął budowę wspaniałego pałacu w Chwalimierzu (na wschód od Legnicy). Projekt według, którego wzniesiono rezydencję wykonał K. Schmidt, autor m.in. Belwederu na Wzgórzu Partyzantów we Wrocławiu.

¹⁴ Maria von Kramsta (o której będzie mowa nieco później), zasłynęła w historii z dobrego serca i hojności. Była fundatorką kościołów, przedszkoli i szkół. W testamencie zapisała swój majątek Hansowi Christophowi von Wietersheim, który dołączył nazwisko Kramsta do własnego. Kontynuował on działalność dobroczynną Marii.

Chwalimierz przypominał schowanego w trawie ślimaka. Głowa - wieża wystawała daleko poza czubki drzew. Ślimak ciągnął powoli swój domek, manewrując pomiędzy stawem, strumieniami, bażanciarnią, młynówką i domem kąpielowym. Z inicjatywy Emmy, niektóre zakątki parku nazwano jej imieniem, np. Zacisze Emmy. Postawione nieopodal pałacu stajnie i domek zarządcy przypominały malutkie zamki z Disneylandu. Kramstowie dbali, aby wszystko było tu lepsze, większe i bogatsze niż w rezydencjach starej szlachty. I chociaż pałac pobudowano jedynie z cegły klinkierowej, to czubek wieży właściciele kazali ozdobić kawałkiem...czystej platyny.¹⁵

Ostatni przedwojenny właściciel pałacu w Chwalimierzu (oczywiście z magnackiej rodziny Kramstów), nie skończył żywota najlepiej. W 1942 r. został aresztowany przez Gestapo pod zarzutem pomocy Żydom, a następnie zesłany do obozu zagłady w Oświęcimiu, gdzie zmarł zaraz po jego opuszczeniu pod koniec 1943 r.

VIII

Rodzinę von Kramsta, która uchodziła za dość wpływową w historii naszego miasta i dokonała znaczących przeobrażeń w jego sylwetce, można scharakteryzować w dwóch obliczach. Pierwsze z nich to przedsiębiorczość, budowanie wizerunku własnej rodziny oraz pomnażanie ogromnej fortuny. Z drugiej jednak strony można wśród przedstawicieli tego rodu doszukać się osób szlachetnych, nie nastawionych wyłącznie na dobra materialne, lecz potrafiących z bezinteresownym poświęceniem nieść pomoc innym oraz dzielić się własnymi dobrami. Do takich właśnie ludzi należała **Maria von Kramsta** słynąca z dobrego serca i hojności, fundatorka kościołów, przedszkoli oraz szkół.

Urodzona w Świebodzicach w dniu 25 lutego 1843 r., była trzecim dzieckiem znanego świebodzickiego przedsiębiorcy Eduarda Kramsta oraz jego żony Emilii. Dzięki majątności swojej rodziny udało się jej – w odróżnieniu od innych kobiet tamtej epoki – zdobyć dość solidne wykształcenie. Zresztą w swoim życiu nasza bohaterka wcale nie stroniła od nauki i książek, *które – jak wspomina jej biograf – były najmilszym towarzystwem Marii*¹⁶ Poza Biblią, która zajmowała honorowe miejsce w jej życiu, nasza bohaterka czytała z uwielbieniem Goethego, Kanta i Schopenhauera. Wiele też czasu spędzała na studiowaniu historii i kultury rosyjskiej, a także na nauce języków obcych, które były dla niej niezbędne ze względu na częste podróże zagraniczne. A przyznać tu trzeba, że podróżowała dużo. Dzięki odbytym wjazdom, udało się jej zobaczyć prawie wszystkie kraje europejskie. Poza podróżami i studiowaniem literatury, Maria wspierała charytatywnie ludzi kultury i sztuki, a przede wszystkim śląskich poetów. W jej rodowej posiadłości – podstrzegomskiej Morawie, którą odziedzi-

¹⁵ J. Lamparska: *Tajemnice, zamki, podziemia*, Wrocław 1998, s. 296-301;

¹⁶ Większość faktów z życia Marii von Kramsta zaczerpnąłem z: A. Hoffmann: *Maria von Kramsta* (Świebodzice. Dzieje miasta, nr 3 (65) marzec 2003 r., s.6);

czyła po śmierci ojca – gościł często Karl Hauptmann (brat słynnego noblisty Gerharda) oraz powieściopisarz Richard Voss.

Pomimo dość bogatego dziedzictwa, Maria nie była zanedo szczęśliwa w swoim życiu. W wieku trzech lat została osierocona przez matkę. W roku 1870 i 1875 zmarły dwie kolejne jej najukochańsze osoby – brat i ojciec. Jej jedyną najwierniejszą towarzyszką życia stała się teraz Emma Patthoff, która przez 35 lat wiernie wspierała Marię w jej szlachetnych poczynaniach. A trzeba tu podkreślić, że niesienie pomocy najbardziej potrzebującym mieszkańcom tych okolic było bardzo szczytnym celem i działaniem, z którego zasłynęła nasza bohaterka. To właśnie jej mogą mieszkańcy Świebodzic zawdzięczać utworzenie w 1877 r. zakładu opiekuńczego dla małych dzieci, a w dziesięć lat później zakładu dla dziewcząt-robotnic zatrudnionych w jej fabrykach oraz szpitala. Również pobliskie miejscowości, które leżały w jej dobrach, doczekały się szczytnych fundacji w postaci przytułków, mieszkań robotniczych, kościołów, kaplic czy szkół. Przy czym sam *sposób jej działalności charytatywnej miał w istocie „ręce i nogi”*, ona dawała nie tylko by dawać, lecz w każdym przypadku rozważała dokładnie jak trwałe to przyniesie efekty.¹⁷

W swoim życiu Maria nigdy nie okazywała na zewnątrz swojego bogactwa, którego została spadkobierczynią. Starła się prowadzić skromny tryb życia nacechowany niesieniem pomocy ludziom potrzebującym. Sama zresztą mówiła o sobie: *całe moje życie jest czynieniem dobra*. Maria von Kramsta zmarła 27 lipca 1923 r. w Jeleniej Górze. Pochowana zaś została na wiejskim cmentarzu w Morawie u boku swojej najwierniejszej towarzyski życia – Emmy Patthoff.

IX

Pomimo, że od śmierci Marii von Kramsta minął dość spory kawałek czasu, jej dzieło przetrwało do dziś. Mam tu na myśli fundację świętej Jadwigi z podstrzegomskiej Morawy, która nawiązując do dobroduszości Marii, została założona po to, by także wspierać w potrzebie. Tak więc chęć niesienia pomocy innym sprawiła, że Maria von Kramsta dość chwalebnie zapisała się w historii tych okolic. Jednak trzeba tu podkreślić, że nie była ona jedyną kobietą w tamtych czasach, której dobre uczynki przetrwały w pamięci potomnych. Do takich osób zaliczała się też księżna Daisy, która związana była z pobliskim zamkiem Książ.

Księżna Daisy (właściwie Maria Teresa Olivia Cornwallis-West) przyszła na świat w Anglii w 1873 r. w rodzinie lorda pułkownika Wiliama Cornwallis-West z hrabiów de la Warr i jego 20 lat młodszej żony Patsy.¹⁸ Była najstarszą córką z tego małżeństwa, które poza Daisy (Stokrotką) doczekało się jeszcze

¹⁷ Tamże;

¹⁸ Większość faktów z życia Daisy oparłem o J. Szczepankiewicz: *Ostatnia Pani zamku Książ* [Pielgrzymy'87, s. 20-29] ;

syna Georga i córki Shelagh. Wprawdzie rodzice Daisy nie należeli do najbogatszych ludzi w Anglii, to jednak młoda Stokrotka nie musiała się wstydzić swojego pochodzenia. Wywodziła się przecież z arystokratycznego rodu, blisko skoligaconego z ówczesnymi domami panującymi. Księżna Daisy za młodu otrzymała bardzo staranne wykształcenie. Znana była przede wszystkim ze swoich literackich umiejętności (pisała pamiętniki) oraz wspaniałego śpiewu.

W wieku 17 lat przyszła dama zamku Książ poznała swojego męża. Był nim radca ambasady niemieckiej w Wielkiej Brytanii – Jan Henryk XV Hochberg – wywodzący się z jednej z najbogatszych wówczas rodzin w Europie. Dobra rodziny Hochbergów szacowano na 170 milionów marek, w skład których wchodziły zamki, pałace, kopalnie, kamieniołomy, cegielnie, browar, elektrownie i kilka rezydencji rozsianych po Europie. Młoda para od razu przypadła sobie do gustu, chociaż – jak pisała po latach księżna – *wcale nie kochałam swojego męża*. Ślub odbył się 8 grudnia 1891 r. w Opactwie w Westminster. Po podróży poślubnej, której szlak prowadził przez Paryż, Egipt i Morze Czerwone, świeżo upieczeni małżonkowie zamieszkali na Książu.

„Nie wszystko jednak z tego, co stało się udziałem Daisy od momentu jej zamążpójścia, wprawiało ją w taki zachwyty. Wychowaną swobodnie i liberalnie Walijkę szybko zaczęła denerwować sztywna etykieta obowiązująca na dworze Hochbergów. Złościła ją usłużni, wszędobylscy lokaje, pokojówki, które wyręczały swą panią w najprostszych czynnościach. Nie mogła pogodzić się z faktem, że na najkrótszym chociażby spacerze czy przejażdżce miała obowiązek towarzyszyć jej kilkunastoosobowa świta. Raził ją pruski, liberalny blichtr, który coraz częściej dostrzegała nawet u własnego męża.

Pierwsze lata małżeństwa Daisy i Jana Henryka to pasmo nieustających podróży po całej Europie i bujnego życia towarzyskiego. Młoda, piękna, inteligentna i pełna wdzięku księżna von Pless stała się ozdobą dworów królewskich i cesarskich. Wydarzeniem roku 1897 w rodzinie Hochbergów była wizyta w Pszczynie posiadłości rodzinnej) samego cesarza Wilhelma II. Na zamku Książ odwiedzali młodą parę księżęcą najznakomitsi arystokraci (...)

Powróciwszy na Śląsk Daisy zapoznawała się coraz częściej z ciężką sytuacją mieszkańców majątności Hochbergów – tak chłopów, jak i robotników. W szczególnie trudnym położeniu znajdowali się górnicy z kopalń wałbrzyskich. Postępowo wychowana w Anglii (jej ojciec też był właścicielem kilku kopalń w zagłębiu walijskim) księżna musiała brać wielokrotnie w obronę strajkujących górników, z którymi mąż Daisy targował się o każdego feniga. Energicznie zabrała się za szeroko planowaną działalność, która miała polepszyć warunki bytowe mieszkańców Wałbrzycha. W każdej z dzielnic miasta założyła ochronkę dla dzieci i przychodnię dla pracujących matek. Często urządzała koncerty dobroczynne, z których dochód był przeznaczony na najuboższych robotników (czasem nawet sama na nich śpiewała). Założyła też kilka szkół koroniarских dla dziewcząt z ubogich wiejskich rodzin, sprowadzając do nich z całej Europy najlepszych nauczycieli. Była też Daisy prekursorką ochrony środowiska – to

ona zainicjowała i sfinansowała akcję regulacji i oczyszczania Pełcznicy, która już wówczas przypominała raczej ściek niż rzekę. Nowe zajęcie księżnej spotkało się z chłodną rezerwą męża, za to życzliwą akceptacją teścia – sędziego już Jana Henryka XI.”¹⁹

Pierwszego syna – Jana Henryka XVII – Daisy doczekała się w 1900 r., drugiego – Aleksandra – w 1905 r., a trzeciego – Bolka w 1910 r. Podczas I wojny światowej księżna czynnie uczestniczyła w akcjach humanitarnych, jako sanitariuszka Czerwonego Krzyża w berlińskim szpitalu. W tym też czasie finansowała i fundowała szpitale na Dolnym Śląsku. Po zakończeniu wojny i krótkim pobycie w Anglii, Daisy wróciła do Książa. Jej małżeństwo z Janem Henrykiem już dawno było w rozsypce. Powodem tego była miłość Hochberga do pięknej Hiszpanki – Klotyldy Silvy y Candamo. Oficjalny rozwód nastąpił w 1923 r. Nie był to zresztą jedyny skandal, jaki w tym czasie wstrząsnął rodziną Hochbergów. „Najpierw średni z synów Aleksander, zwany w rodzinie Lexel, postanowił przejść na katolicyzm i został za to potępiony ze wszystkich ambon protestanckich Śląska. Oskarżono go o intensywność i chęć przypodobania się Polakom w celu utrzymania majątków, które po wojnie przypadły Polsce (...) Drugi skandal był jeszcze gorszy: piękna Klotylda po kilku latach porzuciła starszego o prawie 40 lat męża (Jana Henryka XV) by poślubić...najmłodszego ze swych pasierbów, Bolka. Miała z nim troje dzieci. Jan Henryk XV, zgorzkniały, schorowany, przeniósł się do Paryża”²⁰ gdzie zmarł w 1938 r. (jeszcze przed swoją śmiercią zdołał pogodzić się z Daisy).

Księżna, żyjąca tymczasem w osamotnieniu na zamku Książ, postanowiła opublikować swoje pamiętniki. Pierwszy z nich *Taniec na wulkanie* ukazał się w 1929 r., drugi – *Co wolalabym przemilczeć* – w 1931 r. Pamiętniki te, piętnujące kulisy życia arystokracji pruskiej (niemieckiej) i opisujące intrygi III Rzeszy, bardzo szybko znalazły się na hitlerowskim indeksie ksiąg zakazanych.

Po skonfiskowaniu majątków książskich przez wojska hitlerowskie (1941 r.), księżna przeniosła się najpierw do budynku bramnego Książa, a później do małego mieszkania na terenie Wałbrzycha. Tutaj też zmarła w osamotnieniu 29 czerwca 1943 r.

Dzisiaj miejsce spoczynku księżniczki Daisy jest oczywiście nieznane. Tajemnica jej pochówku miała oczywiście ustrzec grób Stokrotki przed profanacją. Ponoć do lat 60-tych XX w. miejsce to znał wierny sługa księżnej – Ślązak ogrodnik, który sam osobiście pochował Daisy. Jednak informację tą zabrał ze sobą do grobu.²¹

¹⁹ Tamże;

²⁰ Tamże;

²¹ Zwłoki księżnej Daisy ostatecznie spoczęły – jak się dzisiaj przypuszcza – na dawnym cmentarzu ewangelickim w Szczawienku. Niestety cmentarz ten został zlikwidowany w latach 80-tych ubiegłego stulecia, a na jego terenie wybudowano z czasem obwodnicę miejską.

Warto tutaj wspomnieć, że poprzedniczką księżnej Daisy, słynącą ze szczerości i dobrego serca, była **Anna Emilia Anhalt von Kothén-Pless**, która na przełomie XVIII i XIX w. także mieszkała na zamku Książ.

Anna Emilia urodziła się 20 maja 1770 r. w Pszczynie na Górnym Śląsku. Mając 21 lat poślubiła hrabiego Jana Henryka VI Hochberga, któremu wniosła w posagu Księstwo Pszczyńskie. Dzięki temu Hochbergowie stali się jednym z potężniejszych rodów magnackich w tej części Europy. Ze względu na szeroko zakrojoną akcję charytatywną i wspieranie pomocą podwładnych w swoich dobrach, księżna Anna już za życia zdobyła sobie głęboki szacunek wśród tutejszego ludu książęńskiego. Nic zatem dziwnego, że kiedy zmarła (1 XI 1830 r.) była mocno opłakiwana przez tutejszych mieszkańców, którzy o swojej dobrodziejce pamiętali przez kolejne lata. Anna Emilia została pochowana w kaplicy grobowej rodziny Hochbergów przy kościele św. Mikołaja w Świebodzicach. Na wschodniej ścianie tejże świątyni do dziś widnieje niewielkie epitafium w kształcie krzyża poświęcone naszej zapomnianej damie, której postać została z czasem przyćmiona przez osobę księżnej Daisy.

X

Gdyby dzisiaj przyszło nam rozstrzygnąć, która postać miała największy wpływ na rozwój gospodarczy i przemysłowy naszego miasta, to z całą pewnością byłby to **Gustaw Becker**. Twórca świebodzickich fabryk zegarów dał początek wielkiej gałęzi przemysłu w tym regionie, która przetrwała przez ponad 100 lat (1847-1952), i która godnie rozślawiała nazwę naszego miasta w świecie.

O Gustawie Beckerze i jego słynnych czasomierzach napisano już wiele artykułów i niejedną książkę. Jednak wciąż wiemy niewiele na temat jego dzieciństwa. Urodził się 2 maja 1819 r. w Oleśnicy. Był drugim synem Johanna Beckera, nadwornego i miejskiego muzyka księcia Brunszwiku. Dziś nie wiadomo również, co tak naprawdę skłoniło twórcę świebodzickiego przemysłu zegarowego, aby zgłębiać tajniki wiedzy właśnie na temat zegarowego rzemiosła. Jednak przyznać tu trzeba, że zapał do tego miał niebywały. Już jako młody chłopak opuścił swoją rodzinną Oleśnicę, by przez następne kilka lat podróżować i praktykować u najlepszych zegarmistrzów w Europie. Uczył się m.in. w Wiedniu, Frankfurcie nad Menem, Dreźnie, Monachium i Berlinie. W latach 1841-1845 pracował jako pomocnik w warsztacie wybitnego wiedeńskiego mistrza - Phillipa Happachera, gdzie nabrał profesjonalnej praktyki w produkcji zegarów wahadłowych o napędzie obciążnikowym.

Po 1845 r., mając w rękach fach zegarmistrzowski, młody Becker wraca na Śląsk. Wstępuje w związek małżeński ze swoją wybranką - Luizą Seelig, a następnie decyduje się na przeniesienie do Świebodzic, by tutaj móc wkrótce rozpocząć samodzielną działalność zegarmistrzowską. Głównym czynnikiem, jaki wtenczas decydował o lokalizacji wytwórni zegarów w naszym mieście, była

tania siła robocza. Postępująca w tym czasie mechanizacja przemysłu na Dolnym Śląsku, powodowała, że wielu tkaczy-chałupników z tych okolic traciło pracę, popadając w skrajne ubóstwo. Jedyłą szansą dla nich było wówczas znalezienie innego zarobkowego zajęcia.

Za oficjalną datę rozpoczęcia produkcji zegarów w Świebodzicach przyjmuje się 1 kwietnia 1847 r., kiedy to w gazecie miejskiej *Freiburger Amtsboten* pojawiła się reklama nowo otwartego zakładu zegarmistrzowskiego. Ów zakład mieścił się na ulicy Dworcowej, w domu mistrza murarskiego Paslera. Było to niewielkie, dwuizbowe pomieszczenie, gdzie obok mistrza pracował 1 pomocnik oraz 6 uczniów.

Przedsiębiorcze zamierzenia Gustawa Beckera nie kończyły się jednak na kilk osobowym warsztacie pracy. Wraz z upływającym czasem rozrastała się także produkcja zegarów w naszym mieście. Oczywiście wielkim wsparciem miały się tu okazać kredyty państwowe przyznane przez rząd. Ale trzeba było spełnić szereg dodatkowych wymagań aby je dostać, a przede wszystkim stworzyć nowe miejsca pracy. Widać więc tutaj wielki zapał i determinację naszego bohatera do pozyskania rządowej pomocy. Becker postanowił *na własny koszt wyciągnąć z biedy, utrzymać i uczyć zawodu zegarmistrza 80 chłopców z rodzin tkaczy*.²² Ryzykowne przedsięwzięcie przyniosło oczekiwany rezultat. Rząd oraz król Fryderyk Wilhelm IV – widząc zaangażowanie świebodzickiego przemysłowca - zdecydowali się przyznać wsparcie finansowe.

Przełomowym momentem dla działalności wytwórni zegarów w naszym mieście okazał się 1852 r. i udział w Śląskiej Międzynarodowej Wystawie Przemysłowej. Tam właśnie po raz pierwszy dostrzeżono i nagrodzono produkty Beckera. Zegary ze Świebodzic zdobyły wówczas złoty medal, a sam ich twórca odznaczony został Medalem Pruskim za całokształt swojej działalności. Od tego momentu przed fabryką zegarów w naszym mieście otwierały się nowe, lepsze możliwości. Zaczęło przybywać zamówień, wzrastała produkcja, tworzone nowe miejsca pracy.

W ciągu pierwszych piętnastu lat swojej działalności niewielka firma Beckera rozwinęła się w bardzo dobrze prosperującą fabrykę. W 1863 r. świebodzicka kompania zegarowa zatrudniała przeszło 100 pracowników, zaś w latach 70-tych funkcjonowało tutaj już pięć wyselekcjonowanych zakładów pracy, w których m.in. tworzone klucze zegarowe, szlifowano szkło oraz zbijano obudowy drewniane do zegarów. W tym też czasie łączna liczba zatrudnionych sięgała blisko 1000 osób. Byli to przede wszystkim chałupnicy, którzy przed zatrudnieniem w fabrykach Beckera trudnili się tkactwem. Ale na tym nie koniec. Zapotrzebowanie na każdą parę rąk do pracy było już wtedy tak odczuwalne, że zdecydowano się nawet na zatrudnienie 152 więźniów z pobliskiego Strzegomia oraz Brzegu. Warto tutaj wspomnieć, że Becker był też prekursorem nowocze-

²² A. Mroziuk: *Świebodzickie fabryki zegarów [Dawne i nowsze zegary w Polsce, wydane przez Toruński Oddział Stowarzyszenia Historyków Sztuki, Toruń 2009, s.83-100]*;

snych metod pracy. W swoich fabrykach stosował motywację płacową oraz gwarantował swoim pracownikom opiekę medyczną.

Oczywiście wraz z rozwojem zakładów rosła z roku na rok liczba wyprodukowanych w nich zegarów. W 1872 r. mury fabryki opuścił 50-tysięczny zegar. W trzy lata później liczba wzrosła do 100 tysięcy, by w 1885 r. mogła już wynieść pół miliona wyprodukowanych sztuk. Ta bardzo szybka produkcja wynikała przede wszystkim z tego, że rosło zapotrzebowanie i zbyt na te wartościowe przedmioty. Czasomierze produkowane w zakładach Gustawa Beckera w Świebodzicach cieszyły się bardzo wielką popularnością. Mimo dużej konkurencji, zegary z naszego miasta były często poszukiwane na wielu rynkach Europy i poza nią. Produkcji i sprzedaży produktów sprzyjały oczywiście również medale, które przyznawano świebodzickim zegarom na światowych wystawach. Tak było m.in. w Londynie w 1862 r., w Paryżu w 1867, Stanach Zjednoczonych w 1872 r., Wiedniu w 1873, odległej Australii 1879 i 1881 r. czy w krajach Beneluxu (1883 i 1885).

Produkty zegarowe ze Świebodzic szczyliły się na tyle solidnym wykonaniem i przyzwoitą ceną, że coraz bardziej wypierały z krajowego rynku importowane czasomierze z Austrii, Anglii, Szwajcarii i Francji. Zegary z fabryk Beckera produkowane były w drewnianych skrzynkach, na których znajdowały się bardzo charakterystyczne inicjały: kotwica i skrót G.B. W świebodzickich fabrykach można było nabyć zegary różnego rodzaju, począwszy od czasomierzy kominkowych i stołowych a skończywszy na gabinetowych oraz ściennych. Specjalnością był tzw. zegar roczny nakręcany raz do roku. W 1849 r. rozpoczęto również produkcję regulatorów czyli zegarów w kształcie półszafki lub szafki ściiennej. Ich drewniane obudowy odznaczały się bogatymi wzorami ornamentowymi o motywach roślinnych oraz mosiężnymi tarczami zegarowymi.

Tworzone w świebodzickich zakładach czasomierze były oczywiście znakomitą wizytówką dla naszego miasta. Rozsławiały one w całym świecie nazwę Świebodzic do tego stopnia, że niespełna 8-10 tysięczne miasteczko z Dolnego Śląska było w XIX i XX stuleciu kojarzone wyłącznie ze sławnymi zegarami. Nic zatem dziwnego, że przyłgnęły do nas bardzo zaszczytne nazwy: *Małej Szwajcarii* czy też *Śląskiego Miasta Zegarów*. Doprowadziło to z czasem do takiej sytuacji, że inni producenci zaczęli lokować w Świebodzicach swoje filie tylko po to, by móc umieszczać na swych produktach sygnaturę z nazwą „Freiburg”, co w ówczesnych czasach gwarantowało sukces na rynku sprzedaży. „Frejburskie” regulatory zazwyczaj kojarzyły się z dobrą jakością, estetyką, fachowym wykonaniem, no i przede wszystkim przystępną ceną.

Dziś trudno sobie wyobrazić jak w czasach bez elektryczności, bez precyzyjnych maszyn i przyrządów, udało się Gustawowi Beckerowi stworzyć gałąź przemysłu, w której powstawały tak znakomite wyroby. *Podstawowym napędem maszyn – jak pisze Adam Mroziuk, badacz świebodzickich zegarów – były wówczas mięśnie ludzkie, później dopiero maszyny parowe, które poprzez przekładnie i pędnie, rozmieszczone pod sufitem hal fabrycznych, za pomocą pasów*

transmisyjnych napędzały tokarki, frezarki, wiertarki, szlifiarki i inne niezbędne maszyny. Maszyny parowe w Świebodzicach były doskonale znane, ponieważ stosowano je w tutejszych tkalniach lnu. Prąd elektryczny podłączono w Świebodzicach dopiero w 1898 r. Obecnie zegary z okresu, kiedy nie używano prądu, osiągają wysokie ceny na rynku antykwarycznym. Często w tych najstarszych zegarach spotkać można mechanizmy ze śladami po cyrkle do zazębień, którymi ręcznie rozmieszczano otwory łożyskowe w płytach. Dziś tylko można podziwiać dawnych mistrzów, którzy bardzo prymitywnymi metodami, produkowali zegary działające do dziś i mające przed sobą wiele lat pracy.”²³ W późniejszym czasie wielu z tych „mistrzów” zegarmistrzowskiego rzemiosła, wykształconych w fabrykach Beckera, pójdzie na swoje, założy własne warsztaty i będzie produkować pod inną już marką świebodzickie zegary.

Obecnie trudno ustalić ile tak naprawdę wyprodukowano zegarów w całej historii istnienia świebodzickich zakładów. Numer seryjny na jednym z nich z 1926 r. informuje nas o 2.244.868 egzemplarzach. Jednak trzeba tu pamiętać, że produkcja zegarów w naszym mieście była kontynuowana aż do 1952 r. Widać więc, że dzieło Gustawa Beckera przeżyło swojego twórcę o dobre 65 lat. Założyciel świebodzickich fabryk zegarów zmarł 14 września 1885 r. podczas urlopu w kurorcie Berchtesgarden w Bawarii. Po śmierci jego ciało przetransportowano do Świebodzic i pochowano na cmentarzu komunalnym przy ul. Wałbrzyskiej. Gustaw Becker jeszcze za życia osiągnął wielką popularność i był uważany za żywą legendę związaną ze świebodzickim przemysłem zegarowym.

XI

Wiek XIX był tym okresem, który okazał się przełomowy w dziejach naszego miasta. Przeobrażające się z prowincjonalnego miasteczka w prężnie funkcjonujący ośrodek przemysłowy Świebodzice (właśnie dzięki takim ludziom jak Gustaw Becker czy rodzina von Kramsta) zaczęły przyciągać w swoje granice nowych przybyszów. Miasto rozrastało się. W ślad za powstającymi fabrykami, budowano nowe dzielnice i ulice. Wzrastała liczba mieszkańców miasta, wśród których zaczęły wyłaniać się jednostki ponadprzeciętne. W XIX i XX urodziło się w Świebodzicach wielu znanych przedstawicieli różnych dziedzin życia. O części z nich była już wcześniej mowa. Teraz przyszedł czas na przedstawienie sylwetek kilku innych wybitnych świebodziczian²⁴.

²³ Tamże;

²⁴ W niniejszym rozdziale przedstawiłem krótkie sylwetki wybitnych osobistości, które urodziły się w Świebodzicach, albo były związane z naszym miastem w okresie XIX i XX w. Co do wcześniejszych czasów (tj. przed XIX w.), odsyłam do mojej pierwszej książki: *Największe tajemnice Świebodzic*, gdzie w rozdziale „Poczet wybitnych świebodziczian”, opisałem znanych mieszkańców Świebodzic od początków powstania miasta aż po wiek XIX.

Eduard Becher, urodził się w Świebodzicach 27 czerwca 1841 r. Był śląskim poetą, który przez większą część swojego życia pracował jako nauczyciel, najpierw w Głuszycy Górnej (od 1861 do 1865), a następnie w szkole ewangelickiej w pobliskim Wałbrzychu. Tutaj też zmarł 2 marca 1896 r. Becher zasłynął jako autor jednego poematu: *O du Heimat, lieb und traut* („Ojczyzno moja, kochana i wierna”), w którym opisał wyraz swojej miłości do wałbrzyskiej ziemi. Przed ostatnią wojną postać Bechera była w naszym mieście dość znacząco kulturowana. Między innymi doczekał się on tu tablicy pamiątkowej, którą wmurowano w ścianę domu, w którym się urodził.

Ojczyzno moja, kochana i wierna, dla oczu rozkoszy niezmierna, Ziemio, gdzie kolebka moja stała, młodość wesola szybko przebiegała - Tyś moja, śląska ziemio ukochana. Gdzie kopiaste grzbiety gór sterczą wchodząc w morze chmur, gdzie legendę, światu znaną, o Duchu Gór opowiadano - Tutaj jesteś, moja ziemio śląska. Gdzie Chetmiec dumny, wytworna głowa, porośnięta lasami, czyste źródła chowa, gdzie czarny diament, co pod ziemią znika, ogląda światło przez ręce górnika - Tutaj jesteś, moja ziemio śląska. Gdzie pieśń pełna uczucia dźwięczy niosąc serdeczne słowo i ton najświętszy, gdzie w duszach pokrewnych lekko wije się przyjaźni wstęga - Tu jesteś ty, moja ziemio śląska. Czy wiosenne słońce świeci, czy róże pokryte okazałym kwieciem, czy listowie kraj ten już ozłaca, czy śniegowa szata go wzbogaca - Tyś wciąż piękną, moja ziemio śląska. Myślę o tobie zawsze z przyjemnością wielką, gdy jesteś blisko, gdy jesteś daleko. Pozostań moją krainą do Boga zwróconą i Jego ręką na zawsze chronioną, Moja kochana ziemio śląska.

Gustav Renner, był poetą i dramaturgiem niemieckim, który urodził się w naszym mieście 17 października 1866 r. W latach 1901-1937 był jednym z pracowników biblioteki publicznej w Berlinie-Schoneberg. Swój debiut literacki miał w 1896 r., kiedy to w stolicy Niemiec udało mu się wydać swój pierwszy tomik poezji. W latach następnych napisał oraz opublikował kilka klasycznych dramatów, m.in. *Merlin* (1904 r.), *Alkestes* (1908), *Francesca* (1909) czy *Ciemne moce* (1911). W latach 30-tych XX w. wstąpił do NSDAP. Ostatnie lata swojego życia Gustav Renner spędził także w Świebodzicach. Wiadomo, że pod koniec II wojny światowej mieszkał w domu Gerharta Reckzeha. Niewiadomo jednak jakie były jego dalsze losy. Przypuszcza się, że tutaj również zmarł w 1945.

Warto tutaj wspomnieć, że przed II wojną światową dzisiejsza ulica Stawowa w naszym mieście nosiła nazwisko niemieckiego poety i dramaturga.

Hans Blüher (pseudonim Artur Zelvenkamp), niemiecki pisarz, filozof i teoretyk ruchu młodzieżowego, uchodzi za dość kontrowersyjną postać nie tylko w historii naszego miasta, ale i w ogóle. Urodził się w Świebodzicach 17 lutego 1888 r. w rodzinie miejscowego aptekarza Hermana Blühera oraz jego żony – Heleny Aschenborn.

Swoje młode lata spędził w Steglitz pod Berlinem, gdzie w 1902 r. wstąpił do ruchu młodzieżowego o nazwie Wandervogel („Wędrownie ptaki”). Była to organizacja, której przewodnim hasłem był powrót do natury, ale i zarazem, która

miała wybitnie nacjonalistyczne podejście. To właśnie od Wandervogel naziści przyjęli w późniejszym czasie pozdrowienie z podniesioną ręką oraz tytuł Fuhrera. Blüher był jedną z przewodnich osób tego ruchu, jego teoretykiem, a zarazem autorem dość głośnych książek o nim. Jego dzieła: *Niemiecki Wandervogel jako fenomen erotyczny* (wyd. 1912 r.) czy *Rodzina i związek mężczyzn*, w których przedstawił rolę związku mężczyzn jako podstawę organizacji społecznej, przyniosły mu dużą sławę. Jednak swoje największe i najsłynniejsze dzieło Blüher opublikował w latach 1917-1919. Było to: *Rola erotyzmu w męskim społeczeństwie*. To właśnie w nim wyodrębnił m.in. trzy grupy homoseksualistyczne.

W późniejszych latach, odchodząc coraz bardziej od wcześniejszych tematów, Blüher zaczął zajmować się zagadnieniami teologicznymi oraz metafizyką chrześcijańską. Wtedy też powstało jego kolejne dzieło: *Osie natury* (1949 r.). Pod koniec swojego życia opublikował ostatnią swoją pracę (autobiografię), pt. *Prace i dni* (1953 r.). Pomimo swojej sławy jako autor dwóch głośnych książek na temat homoseksualizmu, naziści zostawili go w spokoju. Hans Blüher zmarł 4 lutego 1955 r. w Berlinie.

Herbert Berger, niemiecki pisarz i poeta, urodził się w Świebodzicach 12 marca 1919 r. Był synem świebodzickiego robotnika zatrudnionego w tutejszym przemyśle włókienniczym. W okresie II wojny światowej pracował najpierw w fabryce narzędzi na terenie Saksonii, a następnie brał udział w walkach na froncie. Po zakończeniu wojny pracował na terenie Niemiec Wschodnich, m.in. jako pracownik w sklepie żelaza oraz w cegielni. W 1951 r. wyemigrował do miasta Ahlen w Westfalii, gdzie przez następne 25 lat pracował w zawodzie górnik. Po przejściu na emeryturę przeniósł się do miasta Warendorf (Nadrenia Północna-Westfalia). Tutaj też zmarł 23 kwietnia 1992 r. Herbert Berger zasłynął przede wszystkim jako poeta klasy robotniczej. Jego język był prosty i bezpośredni. Pisał głównie krótkie historie, opowiadania, wiersze oraz słuchowiska radiowe. Za swój dorobek literacki był również kilkakrotnie wyróżniany w Niemczech.

Walter Fleger, jest jednym z bardziej znanych współcześnie żyjących pisarzy niemieckich. Urodził się w Świebodzicach 17 listopada 1934 r. Był synem miejscowego ceglarza. W 1946 r. musiał wraz z rodziną, w wyniku przesiedleń, opuścić Śląsk i zamieszkać w Stohne pod Lipskiem. Po ukończeniu gimnazjum i zdaniu egzaminu dojrzałości, wstąpił do skoszarowanej policji ludowej. W roku 1953 został przyjęty do Akademii Oficerskiej w Dreźnie, którą ukończył trzy lata później jako oficer artylerii. W 1957 r. był jednym z założycieli Centralnego Koła Literackiego działającego przy Narodowej Armii Ludowej (NVA) w byłej NRD. Od 1960 do 1963 r. studiował w Instytucie Literatury J.R. Bechera w Lipsku, a następnie przez dziesięć lat prowadził klub dzielnicowy dla żołnierzy NVA w Poczdamie. W latach 1973-1986 Walter Fleger był współpracowni-

kiem Wojskowego Instytutu Historycznego NRD w Poczdamie. W 1985 r. mianowano go podpułkownikiem rezerwy wolnych pisarzy, zaś po przełomie 1989 r. został dyrektorem Kolegium Literatury Brandenburskiej w Poczdamie.

Walter Flegel jest autorem powieści, opowiadań, książek dla młodzieży, przy czym jego wcześniejsze dzieła są mocno naznaczone doświadczeniami oficera zawodowego NVA. Od 1952 r. był członkiem Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, a później przewodniczącym Poczdamskiego Związku Kultury i radnym miejskim w tym mieście. Od 1968 r. należał do Związku Pisarzy NRD, dzisiaj natomiast jest członkiem Związku Niemieckich Pisarzy. Od 1986 r. uprawia wolny zawód pisarza. Walter Flegel jest autorem m.in. takich powieści jak: *Gdy haubice strzelają* (1960), *Dowódca pułku* (1971), *Śmiałek* (1975), *Koci skok* (1976), *Szarfa* (1976), *Nie ma ziemi niczyjej* (1980), *Jedynie życie* (1987), *Moja podróż nad Mozelę* (1993), *Pod pętlą* (2003). Za swoje pisarstwo był też wielokrotnie wyróżniany w Niemczech. Przyznano mu m.in. dwukrotnie Nagrodę Państwową (1961 i 1966), Nagrodę Theodora Kornera (1972), czy Nagrodę Państwową 3 klasy (1981).

Hans Hermann Bennhold, wybitny lekarz i profesor nauk medycznych na uniwersytetach w Hamburgu i Tybindze. Urodził się w Świebodzicach 11 września 1893 r. w rodzinie sędziego. Po ukończeniu gimnazjum państwowego w Halle, studiował medycynę na tamtejszym uniwersytecie oraz we Freiburgu, po których zdobył tytuł doktora nauk medycznych. W swojej bogatej karierze naukowej przyszło mu pracować w wielu ośrodkach uniwersyteckich w Niemczech. Był początkowo asystentem w szpitalu św. Jerzego w Hamburgu, a następnie pracował w Klinice Uniwersyteckiej w Monachium. W 1925 r. został stypendystą fundacji Rockefellera w Instytucie Fizyko-Chemicznym na Uniwersytecie w Lipsku. W 1931 r. wrócił do Hamburga, do szpitala św. Jerzego, gdzie znów pracował jako stażysta. W tym samym czasie dostał funkcję wykładowcy akademickiego na tutejszym uniwersytecie, na którym w 1939 r. uzyskał tytuł profesora. Za wybitne zasługi na polu medycyny zaoferowano mu w 1942 r. stanowisko dyrektora medycznego Szpitala Uniwersyteckiego oraz Kliniki Uniwersyteckiej w Tybindze, gdzie przyszło mu pracować aż do przejścia na emeryturę. Zmarł 26 kwietnia 1976 r. w Tybindze.

Swoje największe osiągnięcia naukowe Bennhold święcił w hematologii, gdzie badał m.in. funkcje białek w surowicy i osoczu krwi. Za swoje zasługi na polu nauki został m.in. w 1973 r. wyróżniony złotym medalem fundacji prof. Paula Martiniego, zaś w historii medycyny jeden z eponimów medycznych nosi jego nazwę.

Robert Gartner, agronom niemiecki, urodził się 9 stycznia 1894 r. w Świebodzicach w zamożnej rodzinie protestanckiej. Jego ojciec był dyrektorem generalnym spółki Śląskiego Przemysłu Lniarskiego, w skład której wchodziły m.in. były zakłady rodziny von Kramsta.

Młody Gartner pierwszą edukację zdobywał w naszym mieście, by od 1912 r. wybrać się na studia. Studiował ekonomię i rolnictwo we Fryburgu, Lipsku i Marburgu. Po wybuchu I wojny światowej w 1914 r. zgłasza się na ochotnika do wojska, jednak już rok później porzuca służbę wojskową, by móc kontynuować swoją edukację w zakresie rolnictwa. W 1916 r. powraca na uniwersytet do Lipska, gdzie w 1918 r. udaje mu się uzyskać tytuł doktora. W 1917 r. obejmuje stanowisko dyrektora ds. marketingu w jednej z firm, by następnie przenieść się do pracy w administracji w przedsiębiorstwie rolnym, gdzie niebawem mianowano go inspektorem zwierząt (1921). Od 1921 do 1931 r. był asystentem, a następnie adiunktem w Instytucie Hodowli Zwierząt i Technologii Nabiału na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie się habilitował w 1928 r. W 1931 r. przeniósł się na uniwersytet w Jenie, na którym rok później mianowano go profesorem zwyczajnym i powierzono mu stanowisko szefa w Państwowym Instytucie Hodowli Zwierząt. W 1941 r. przyjął zaproszenie do Halle, gdzie w roku następnym został mianowany profesorem hodowli zwierząt oraz sektora mleczarskiego na miejscowym uniwersytecie, zaś od 1945 r. pracował w Getyndze. Tutaj również zmarł w dniu 8 listopada 1951 r.

Harmut Kilger, jeden z wybitnych prawników niemieckich oraz - jeszcze do niedawna - Prezes Niemieckiego Stowarzyszenia Prawników. Urodził się 7 listopada 1943 r. w Świebodzicach. Po zakończeniu II wojny światowej, w wyniku wysiedleń obywateli niemieckich, rodzina Kilgerów przeniosła się na południe Niemiec, do miasta Tybinga. Tutaj też młody Kilger skończył gimnazjum humanistyczne, by następnie wybrać się na studia. Studiował prawo na niemieckich uniwersytetach w Tybindze, Erlangen, Hamburgu oraz we francuskim Aix-en-Provence. Po skończeniu studiów rozpoczął swoją bogatą karierę zawodową, która nieprzerwanie trwa do dziś. Od 1972 r. pracował jako adwokat w spółce prawniczej Kilger & Kilger w Hechingen, zaś w 1987 r. uzyskał specjalizację w zakresie prawa socjalnego. W 1985 r. został członkiem Zarządu Stowarzyszenia Zawodowego Prawników w Badenii-Wirtembergii, a w cztery lata później mianowany przewodniczącym tegoż zarządu. Od 1991 r. jest także członkiem Zarządu Niemieckiej Izby Adwokackiej. Swój największy jednak sukces zawodowy Kilger święcił w maju 2003 r., kiedy to został wybrany na stanowisko Prezesa Niemieckiego Stowarzyszenia Prawników. Urząd ten sprawował do 2009 roku.

Thomas Mac Pfeifer, urodzony w Świebodzicach w 1944 r., jest współcześnie żyjącym i mieszkającym w Niemczech niezależnym dziennikarzem berlińskim. Duże uznanie przyniosły mu pisane bardzo zabawnym i zrozumiałym językiem książki dla dzieci. Jego opowieści dla najmłodszych można było usłyszeć w słuchowiskach radiowych oraz w telewizji. Swą popularność zawdzięcza m.in. wydanym na płycie CD opowiadaniu dla dzieci: *Co robi pingwin na biegunie północnym?* oraz stworzona przez niego animowana postać telewizyjna kapita-

na Bluebear (Niebieskiego Misia), której głosu użył znany niemiecki aktor filmowy - Wolfgang Völz. Thomas "Mac" Pfeifer mieszka obecnie w Berlinie.

Max Selig wprawdzie urodził się we Wrocławiu w 1927 r., to jednak lata swojego przedwojennego dzieciństwa spędził w Świebodzicach. W okresie II wojny światowej został powołany do Wehrmachtu, a następnie kilka lat spędził w niewoli. Po wyjściu na wolność w 1948 r., wstępuje do szkoły aktorskiej, a po jej ukończeniu podejmuje pracę w firmie teatralnej, z którą odbywa tournée po byłej RFN. W 1984 r. przeszedł na emeryturę. W 1997 r. rozpoczął swoją działalność pisarską. Jest autorem 2-tomowej powieści *Ciemne historie*, w której przedstawił obraz dorastającej młodzieży na Śląsku w latach 30 i 40-tych XX wieku.

Dr Otto Dornblüth był niemieckim lekarzem i redaktorem słownika medycznego. Urodził się w 1860 r. w Rostocku. Studiował medycynę na uniwersytetach w Tybindze i Monachium. W 1886 r. wyemigrował na Dolny Śląsk, by m.in. od 1892 r. piastować urząd dyrektora szpitala w Świebodzicach. W 1895 r. powrócił do rodzinnego Rostocku, gdzie pracował jako neurolog. W późniejszym czasie pracował także we Frankfurcie i Wiesbaden. Zmarł w 1922 r. Otto Dornblüth zasłynął w historii medycyny przede wszystkim jako autor fachowego słownika pojęć medycznych i słownictwa specjalistycznego, wraz z krótkim wskazaniem pochodzenia i znaczenia tych słów (oryginalny tytuł: *Wörterbuch der klinischen Kunstausrücke*). Wprawdzie dzieło to nie było kompletnym słownikiem medycznym i ograniczało się tylko do znaczących pojęć w zakresie praktyki medycznej i klinicznej, to jednak szybko zyskało uznanie i doczekało się wielu wydań aż po dziś dzień. Poza tym niemiecki uczoney był również autorem takich publikacji jak: *Kompendium medycyny internistycznej* (1892), *Słownika Medycyny Klinicznej* (wydanym w 1930 r.), *Kompendium Psychiatrii* (1894) czy dzieła pt. *Psycho-nerwice* (1911). Zapewne część jego dorobku naukowego powstawała także w Świebodzicach, gdzie pełnił funkcje dyrektora szpitala.

Waldemar Feyer, matematyk pochodzący ze Świebodzic. Urodził się w domu miejscowego organisty i nauczyciela dnia 2 lutego 1883. W naszym mieście skończył również szkołę średnią. Studiował w Dreźnie na Uniwersytecie Technicznym, a następnie w Lipsku, gdzie uzyskał doktorat z matematyki (1910). Jest uważany za twórcę jednej z funkcji matematycznych, którą przedstawił w 1910 roku.

Reinhold Broske, był pastorem i poetą niemieckim. Urodził się w 1901 r. w miejscowości Mittweide w Brandenburgii jako syn murarza. Ze Świebodzicami był związany w latach 1925-1927, gdzie pełnił posługę ewangeliczną. Przez większą część swojego życia pracował jednak w Görlitz jako diakon. Zmarł w

1979 r. w Dreźnie. Jego wiersze oraz opowiadania były publikowane m.in. na łamach znanego niemieckiego magazynu: *Die Gartenlaube*.

XII

Gdyby w czasach dzisiejszych przyszło nam wziąć pod uwagę i przeświecić całe społeczeństwo, które na przestrzeni kilku ostatnich stuleci zamieszkiwało Świebodzice oraz porównać jego wkład w rozwój gospodarczy i kulturalny miasta, to nie ma najmniejszych wątpliwości, iż najbardziej korzystnie na tym tle wyszłaby tzw. **klasa średnia**. Jej zaangażowanie, indywidualizm i jednostkowe dążenia do własnych i jasno postawionych celów, sprawiało, że z całą pewnością można tę grupę ludzi uznać za motor napędowy tutejszego rozwoju (pod każdym względem).

Trudno jednoznacznie określić czas, w którym tak naprawdę wyłoniła się klasa średnia w Świebodzicach. Brak jakichkolwiek dokumentów i wzmianek na temat świebodzickiej społeczności w wiekach średnich, skłania tylko do snucia refleksji i domysłów na ten temat. Jednak nie jest wykluczone, że proces kształtowania się tej warstwy społeczeństwa w naszym mieście przebiegał podobnie jak w innych ośrodkach miejskich Dolnego Śląska w tym okresie.

Hierarchia społeczna wielu miast ówczesnej Europy dzieliła się na trzy podstawowe stany: patrycjat, pospólstwo i plebs, stanowiących jednolitą całość średniowiecznych miast. Czołowe miejsce w tej grupie zajmował oczywiście patrycjat, składający się z bogatych kupców-hurtowników, trudniących się handlem międzynarodowym, właścicieli ziemskich, najbogatszych przedstawicieli rzemiosła miejskiego, a wreszcie bankierów. Wszyscy oni stali na najwyższym szczeblu ówczesnej hierarchii społecznej, niejednokrotnie decydując o kształtowaniu się życia gospodarczego i kulturalnego ówczesnych miast. Pośrednie miejsce w drabinie feudalnej społeczności miejskiej zajmowało pospólstwo. W jego skład wchodziłi głównie drobni kupcy, samodzielni rzemieślnicy, przekupnie, kramarze czy karczmarze. Teoretycznie grupa ta mogła brać udział w sprawowaniu władzy, w praktyce jednak bywała poważnie ograniczana pod tym względem przez bogatszy i bardziej uprzywilejowany patrycjat. Niejednokrotnie dochodziło na tym tle do walk pomiędzy obu klasami, przy czym pospólstwo bardzo często popierane było przez grupę najniższą, czyli plebs – określany mianem biedoty miejskiej. Składał się on z drobnych przekupniów trudniących się handlem obnośnym, rzemieślników pozacechowych, czeladników, służby, rybaków, robotników najemnych, czy wreszcie całego marginesu społecznego (żebraków, włóczęgów, złodziei i prostytutek).

Stosunek ilościowy klasy średniej i jej podział w średniowiecznych miastach Dolnego Śląska (zaliczały się do niej dwa najwyższe stany), był na ogół bardzo zróżnicowany. Pospólstwo wprawdzie ilościowo przewyższało zdecydowanie patrycjat, to jednak ustępowało -niekiedy nawet bardzo pod tym względem –

klasie niższej (plebsowi). Często zdarzało się tak, że bogatsi przedstawiciele, wywodzący się z pospólstwa, przechodzili z czasem do patrycjatu, ale asymilacja przedstawicieli patrycjatu z pospólstwem była bardzo rzadka i ograniczona.

Kształująca się w ówczesnych czasach feudalna hierarchia społeczeństwa w wielu miastach Dolnego Śląska, wskazuje na to, iż proces ten nie był również obcy i w naszych Świebodzicach. Zachowane przekazy historyczne miasta wymieniają kilku mieszkańców ówczesnych Świebodzic, których można kojarzyć z kształtowaniem się klasy średniej. Pod tym względem widoczny jest przede wszystkim rozwój samodzielnych i wolnych rzemiosł miejskich tj. piwowarstwo, płóciennictwo, szewstwo, piekarstwo, rzeźnictwo, kowalstwo, kamieniarstwo czy kapelusznictwo; a także ludzi, którzy z wówczas zasiadali na urzędach władzy w naszym mieście. Znani są nam również z imienia niektórzy mieszkańcy dawnych Świebodzic, których z powodzeniem (ze względu na stan czy pochodzenie) można zaliczyć do ówczesnej klasy średniej. I tak szereg przekazów i dokumentów historycznych z XIII i XIV stulecia wymienia:

- Piotra Kapelusznika, którego przydomek wywodzi się od rzemiosła jakie wykonywał (wzmiankowany w 1321 r.),
- Henryka z Friburga, miejscowego lekarza;
- Dytryka ze Świebodzic, kucharza nadwornego księcia legnicko-brzeskiego Bolesława III, który za swoją posługę otrzymał od księcia dobra ziemskie (1318),
- Jana z Cierni, sędziego nadwornego księcia świdnickiego Bolka II Małego (1330),
- Marcina, pierwszego znanego z imienia wójta Świebodzic w latach 1321-1333 i wielu innych.

W wieku XVI i XVII klasa średnia wielu europejskich miast zaczęła się powoli przeobrażać i dostosowywać do nowych wymogów społecznych, które podyktowane były wieloma nowymi czynnikami ekonomicznymi. Na tą transformację stanu średniego składały się przede wszystkim wielkie odkrycia geograficzne, rozwój kooperacji między firmami handlowymi, czy też wzrost obiegu pieniądza. Wszystkie one zrodziły zapotrzebowanie na usługi kupców, bankierów, przedsiębiorców przemysłowych i budowlanych, przedstawicieli wolnych zawodów (lekarze, prawnicy), urzędników aparatu państwowego, którzy w ówczesnej, tradycyjnej hierarchii społecznej zajmowali pozycję pośrednią pomiędzy arystokracją i szlachtą a chłopstwem i pospólstwem. Z czasem do klasy średniej zaczęto zaliczać także drobnych farmerów i posiadaczy ziemskich o orientacjach rynkowych. Członków klasy średniej charakteryzowało wówczas rzetelne wykonywanie powinności zawodowych, samodyscyplina w dążeniu do pomnażania zasobów materialnych, długofalowe inwestycje i akumulacja zasobów pieniężnych kosztem bieżącej konsumpcji oraz oszczędzanie.

Przeobrażenia społeczne jakie swego czasu dokonały się wśród ludności miejskiej, nie ominęły również Świebodzic. Już w 2 połowie XVI w. zaczęto spo-

rzządzać pierwsze inwentarze i spisy powszechne dotyczące mieszkańców naszego miasta. Świebodzice zamieszkiwane przez niespełna 2 tysiące mieszkańców zaliczały się do typowych miast ówczesnego Śląska. Podstawą pomyślnego rozwoju gospodarczego był wówczas dynamiczny rozwój miejskiego handlu i rzemiosła (pominąć tu jednak należy czasy Wojny Trzydziestoletniej i okres wojen śląskich, które bardzo negatywnie wpłynęły na sytuację ekonomiczną miasta), gdzie podstawową rolę odgrywała klasa średnia (głównie chodzi tu o przedstawicieli wolnego rzemiosła i handlu, którzy w XVIII stuleciu stanowili około 20% ogółu ludności Świebodzic).

Dwa stulecia – XIX i 1 połowa XX w. – stanowią apogeum rozwoju klasy średniej. Społeczeństwo to utożsamiane wówczas z mieszczaństwem i drobnymi właścicielami, przeżywa swój największy rozkwit. Zaczyna wzrastać działalność gospodarcza, której centrum zaczęło przesuwać się ze sfery produkcyjnej do sektora usług. Zwiększający się szybko popyt na wykwalifikowany personel urzędniczy i handlowy, spowodował rozwój rozmaitych kategorii najemnych pracowników umysłowych. Zaczęto je określać mianem nowej klasy średniej, do której zaliczano głównie wysoko kwalifikowanych specjalistów (lekarzy, inżynierów, reprezentantów handlu i kultury), techników, kadry kierownicze przedsiębiorstw, personel administracyjny oraz pracowników biurowych i placówek handlowych średniego i niższego szczebla. Nowa klasa średnia liczyła w XIX-wiecznych społeczeństwach 40-60% i zdecydowanie dominowała nad „starą”, której liczebność nie przekraczała 10-20%. Etos klasy średniej zyskał wtenczas nową treść. Wielka oszczędność i wyteżona praca zeszyły na plan drugiego, natomiast wzrosło znaczenie kwalifikacji na rynku pracy.

Reformy jakie wówczas dały się zaobserwować w rozwoju i kształtowaniu klasy średniej nie ominęły również Świebodzic. Po okresie niezbyt pomyślnego rozwoju gospodarczego, nasze miasto weszło na drogę rodzącego się wówczas kapitalizmu. Nastąpiły zdecydowane przemiany w działalności produkcyjnej i gospodarczej (przejście z produkcji feudalnej do fabrycznej), które bardzo pozytywnie wpłynęły na dalszy proces kształtowania się nowej klasy średniej w Świebodzicach. Zaczęły wyłaniać się nowe grupy społeczne (inteligencja) mające istotny wpływ na przyszły rozwój społeczeństwa. Rozwój stosunków kapitalistycznych na wsi i przemysłu, spowodował duży napływ ludności wiejskiej do dynamicznie rozwijających się ośrodków miejskich. Nastąpił liczebny wzrost klasy średniej (niekiedy rekrutującej się ze stanu szlacheckiego), zatrudnianej głównie w administracji publicznej, prywatnej, przemyśle (tzw. inteligencja techniczna). Coraz większego znaczenia zaczęły nabierać wolne zawody (lekarze, prawnicy, nauczyciele) oraz całkiem nieznanne dotąd zajęcia uprawiane wcześniej po amatorsku (dziennikarstwo, literaci, artyści, uczeni).

Klasa średnia w XIX i 1 połowie XX w. stanowiła w Świebodzicach około 40% ogółu ludności miasta. W jej skład wchodził przede wszystkim przedstawiciele miejskiego rzemiosła (305 mistrzów rzemieślniczych zatrudniających

385 czeladników i uczniów), właściciele placówek handlowych (w 1852 r. było ich 87, w tym 11 zajmowało się sprzedażą towarów łokciowych, 31 sprzedażą materiałów różnych, 11 spożywczych, 5 handlem zbożem, 6 handlem różnymi towarami, 6 handlowało końmi i starzyzną, 4 kramarzy). Ponadto placówki handlowe zatrudniały 49 subiektów i uczniów. W skład świebodzickiej klasy średniej wchodził również przedstawiciele wolnych zawodów. W 1912 r. było ich w Świebodzicach 94, głównie lekarzy, aptekarzy, nauczycieli, artystów, urzędników państwowych, gminnych, kościelnych. Poza tym w początkach XX stulecia trzon klasy średniej w mieście stanowiło: 218 samodzielnych rzemieślników, 115 samodzielnych kupców i handlarzy, 87 fabrykantów, właściciele kopalń i przedsiębiorstw budowlanych oraz 74 właściciele furmanek, gospód i wyszynków. Wszyscy oni byli zrzeszeni w spółdzielni oszczędnościowo-pożyczkowej (kasie kredytowej) typu Schultzego z Delitzsch (założona 1 VIII 1862 r.)²⁵. Zaczęły rozwijać się w naszym mieście nowe, nieznane dotąd wolne zawody, m.in. dziennikarstwo (w 1840 r. została założona w Świebodzicach drukarnia, w której zatrudniano miejscowych dziennikarzy przy wydawaniu miejskiej prasy). Wzrastała również liczba zakładów gastronomicznych, prowadzonych przez przedstawicieli klasy średniej. W 1852 r. wynosiła ona 28, w tym 7 gospód I kategorii, 11 gospód II kategorii oraz 10 restauracji i wyszynków.

Okres II wojny światowej i jej zakończenie przyniosły kolejne zróżnicowanie klasy średniej na tych terenach. Zmiany granic państwowych w Europie Środkowej jakie wówczas się dokonały, miały również istotny wpływ na kształtowanie się całkiem nowej warstwy społeczeństwa. Na ziemi śląskiej, która po przeszło 600-letniej nieobecności znów znalazła się w granicach państwa polskiego, dokonało się istotne przeobrażenie klasy średniej. Duży wpływ wywarła tu migracja ludnościowa jaka dała się zaobserwować po II wojnie światowej. Dolny Śląsk zaczęło opuszczać społeczeństwo niemieckie o silnie zarysowanej strukturze kapitalistycznej, a jego miejsce zajęło społeczeństwo polskie, będące w okresie przejściowym od kapitalizmu do socjalizmu. Znaczna liczba osób pochodzenia robotniczego i chłopskiego zaczęła asymilować się i wchodzić w skład klasy średniej (gł. inteligencji), co przyczyniło się do jej zasadniczego zróżnicowania, zwłaszcza pod względem wykształcenia, charakteru wykonywanej pracy, poziomu życia i prestiżu. Wśród szeroko pojętej klasy średniej można wyróżnić warstwę składającą się z przedstawicieli grup elitarnych (intelektualiści, uczeni, kierownicy życia gospodarczego, politycznego i kulturalnego), jak i grup technicznych i innych kategorii specjalistycznych (np. nauczyciele, dziennikarze, lekarze), oficerów zawodowych oraz poszczególnych urzędni-

²⁵ Głównym celem powoływania do życia kas kredytowych było przezwyciężenie niedorozwoju i biedy w środowiskach wiejskich oraz umożliwienie kupcom, rzemieślnikom i drobnym producentom z miast uniezależnienia się od lichwiarskich pożyczek.

ków częściowo związanych z grupą nisko kwalifikowanych pracowników umysłowych, zatrudnionych we wszelkiego rodzaju usługach, handlu i urzędach.

W Świebodzicach proces kształtowania się klasy średniej po 1945 r. przybrał podobny charakter. Całkowicie zniknęły wielkie klasy posiadające (tj. ziemiaństwo i kapitaliści), a ich miejsce zajęła klasa robotnicza oraz oczywiście klasa średnia. Ponadto zaczęło zarysowywać się nowe uwarstwienie społeczne wynikające z funkcjonowania gospodarki uspołecznionej i planowanej.

Sam proces organizowania polskiej władzy ludowej w Świebodzicach przejął nie kto inny jak przedstawiciele klasy średniej i inteligencja. Przybyłe wówczas do miasta grupy osadników z okolic Rawicza zaczęły organizować od podstaw polską władzę, administrację, szkolnictwo, gospodarkę i inne dziedziny życia społeczno-politycznego. Wprawdzie w społeczeństwie socjalistycznym (1945-1989) nie dokonał się głębszy podział na klasy społeczne (granice klasowe zaczęły powoli zacierać się), to jednak uwarstwienie społeczne, a co za tym idzie, obecność klasy średniej w naszym mieście była widoczna i namacalna (pomińmy, iż wyrobiona wówczas pozycja społeczna nie dawała możliwości kumulowania majątku i przekazywania go dziedzicznie z pokolenia na pokolenie – każde następne pokolenie musiało zdobywać pozycję własną pracą).

W czasach dzisiejszych – po kolejnej transformacji ustroju w 1989 r. – ma miejsce następne zróżnicowanie klasy średniej. Przede wszystkim można tu wyróżnić dwie zasadnicze grupy przedstawicieli tego uwarstwienia – tzw. klasę średnią z wyższego szczebla i klasę średnią niższą, stanowiące ogólny całościowy kształt klasy średniej (warto tu dodać, że tego rodzaju podział jest widoczny w wielu współczesnych społeczeństwach kapitalistycznych). Pierwszą z nich tworzą głównie ludzie biznesu i przedstawiciele wolnych zawodów o stosunkowo wysokich dochodach. Większość z nich jest dobrze wykształcona, ale wcale nie oznacza to, że ludzie ci skończyli elitarne szkoły. Przedstawiciele tej grupy odznaczają się przede wszystkim zewnętrznymi cechami powodzenia i bardzo często biorą aktywny udział w życiu politycznym i społecznym naszego miasta. Druga grupa składa się głównie z przedstawicieli wykonujących mniej płatne zawody. Zalicza się do nich przede wszystkim właściciele małych zakładów, nauczycieli, kadre zarządzającą średniego szczebla oraz przedstawiciele handlowych. Członkowie tej grupy przywiązują dużą wagę do godnego, odpowiedniego zachowania i często stanowią człon społeczeństwa Świebodzic, zajmując się pracą społeczną i dobroczynną.

Podsumowując historię kształtowania się klasy średniej w Świebodzicach, trzeba tu podkreślić, iż klasa ta wywarła istotny wpływ na rozwój gospodarczy i kulturalny miasta. Czynniki te warto odnieść przede wszystkim do dwóch ostatnich stuleci, kiedy to klasa średnia, stanowiąc znaczną część społeczeństwa miasta, przyczyniła się do zdecydowanego wzrostu znaczenia i prestiżu Świebodzic na arenie przemysłowej Dolnego Śląska.

***NIEZWYKŁA HISTORIA,
NIEZWYKŁE WYDARZENIA***

I

Świebodzice pojawiły się na widowni dziejowej w I połowie XIII stulecia jako osada w pełni rozwinięta, zorganizowana, odpowiednio zaludniona, posiadająca już w tym czasie własną świątynię oraz zamek (?). Zachowane do dziś źródła historyczne z tamtego okresu dostarczają nam bardzo istotnych przekazów na temat ówczesnej osady, a także **pierwsze nazwy historyczne** jakie wówczas nosiła.

Pierwsza ściśle udokumentowana wzmianka na temat Świebodzic zapisana została w źródłach już pod 1220 r. Oprócz naszego miasta pojawiły się tu również przekazy o jego najbliższych okolicach - Książ, Pełcznica, Mokrzyszów i Ciernie (Ciernie wymieniane już były nieco wcześniej - jako TIRNE, w dokumencie dla strzegomskiego klasztoru joannitów z 1203 r.). Z tej to wzmianki wynika również pierwsza historyczna nazwa naszego miasta. Została ona zapisana w języku niemieckim jako NUBURG. Nazwa ta potwierdzona została również kilka lat później, podczas konsekracji miejscowego kościoła pw. św. Mikołaja (1228). Następną dość istotną wzmianką na temat Świebodzic pojawia się w 1242 r. Wówczas to wymieniony został tu niejaki Merbato de Czetheras, właściciel zamku w Świebodzicach. Z tego to okresu pochodzi kolejna nazwa osady, która brzmi nieco inaczej od poprzedniej - VRIBURG. Warto tu również wspomnieć, że w tym samym czasie taką samą nazwę nosiła warownia znajdująca się na terenie Starego Zamku Książ. Podobieństwo tych nazw jest niezbitym dowodem na bliskie powiązania gospodarcze jakie zaistniały pomiędzy tymi osadami w I połowie XIII stulecia.

Kolejne lata przynoszą dalsze wiadomości o Świebodzicach. Dnia 25 października 1268 r. arcybiskup Salzburga i legat papieski Władysław wystawia kolejny dokument związany z miejscową świątynią. W dokumencie tym figuruje następną nazwa naszego miasta. Brzmi ona VRIBURC. Również nieco inną pisownię nazwy świebodzickiej osady podaje dokument księcia Henryka IV Probusa z 1279 r., w którym to Świebodzice wymieniane są jako FRYBURG. Kolejne nazwy naszego miasta to: FREIENBURG z 1291 r, VRIBORGH z 1300, FRIBURGK (1305), VRIBURCH (1310), FRIBURG (1337), VRIENBURCH (1405), FREIBVRGK (1516), FREHBURG (1668), FREIBVR (XVII w.), FREIBVRG (1731), FREYBERG (1738), FREYBURG (1771), FRYBORK bądź FRYBORG z 1945 r. Polska oficjalna nazwa miasta - ŚWIEBODZICE - przyjęta została w latach 1945-1947 na wniosek Polskiej Akademii Nauk (PAN).

II

Począwszy od XIII stulecia zaczynają pojawiać się pierwsze źródła historyczne i dokumenty książęce dotyczące bezpośrednio spraw naszego miasta. Dzięki

nim możemy dziś ustalić kto był **właścicielem i dzierżawcą świebodzickiego grodu** w pierwszych latach jego istnienia. I tak szereg dokumentów wystawionych w latach 20-tych XIII w. przez książęcą kancelarię (i nie tylko), wymienia pierwszego historycznego właściciela miasta, którym był dziedziny Pan Śląska - Henryk I Brodaty (1201-1238). W tym samym czasie położone nieopodal Świebodzic wsie, Ciernie i Pełcznicę, dzierżył śląski możnowładca i bliski doradca tegoż księcia - komes Imbram. Na tej podstawie łatwo stwierdzić, iż wraz z początkiem XIII wieku, lub może i nieco wcześniej, nasze miasto było własnością książęcą, a o jego losach mógł decydować tylko dziedzic śląskiej dzielnicy.

Po śmierci Henryka Brodatego, Śląsk wraz ze Świebodzicami przeszedł pod panowanie jego syna, Henryka II Pobożnego (1238-1241), a po nim bezpośrednio rządził Bolesław II Rogatka (1242-1278). Za rządów tego ostatniego mamy wzmianki o kolejnym dzierżawcy tych okolic. Był nim rycerz księcia Bolesława - Merbato de Czetheras, którego zamek znajdował się na terenie naszego miasta(?). Jego brat Peczek, pełnił w tym czasie rolę zarządcy pobliskiej osady Cisy.

W 1248 r. doszło do pierwszego historycznego podziału Śląska na dzielnice: wrocławską, legnicką i głogowską. Początkowo dzielnicą wrocławską zarządzał Bolesław Rogatka, ale niebawem zamienił ją na legnicką z młodszym bratem Henrykiem III zwanym Białym. Z kolei Głogów przypadł Konradowi. Świebodzice należące dotąd do książąt ogólnosląskich, znalazły się w granicach nowo powstałego księstwa wrocławskiego, którego pełnoprawnym władcą został od 1249 r. książę Henryk III Biały.

Po śmierci Henryka Białego w 1266 r., rządy w księstwie wrocławskim w imieniu jeszcze niepełnoletniego Henryka IV Probusa - syna Henryka III, objął arcybiskup salzburski Władysław (stryj małoletniego księcia), który zarządzał Wrocławem do 1270 r., tj. do uzyskania pełnoletności przez Henryka IV. O tym, że arcybiskup Władysław odegrał istotną rolę w historii naszego miasta, jako jego pełnoprawny właściciel, świadczy fakt wydania w roku 1268 dokumentów na rzecz tutejszej parafii św. Mikołaja i parafii na Pełcznicy, które jakoby miały rozstrzygać długotrwały spór między proboszczami tych świątyń. Również książę Henryk przyczynił się do rozwoju świebodzickiej osady, potwierdzając jej w 1279 r. prawa miejskie.

Po śmierci Probusa, księstwo wrocławskie miał odziedziczyć, wedle woli zmarłego, Henryk - Pan Głogowa. jednak przypadło ono w udziale księciu legnickiemu Henrykowi V Grubemu, synowi Bolesława Rogatki, który przy pomocy młodszego Bolka zasiadł we Wrocławiu. Za okazaną pomoc Bolko otrzymał od brata południową część księstwa wrocławskiego, ze Świdnicą, Strzegomiem, Ziębicami i Strzelinem. Tak oto powstało księstwo świdnicko-jaworskie, w którego granicach znalazły się również Świebodzice.

Bolko I zwany ze względu na swój charakter Surowym, zbudował na rubieżach nowo powstałego księstwa zamek Książ, gdzie przeniósł swoją siedzibę z

Lwówka Śląskiego. Odtąd historia powstałej warowni nieprzerwanie, przez ponad 540 lat, będzie się przeplatać z dziejami naszego miasta, gdyż na losy zarówno Świebodzic jak i Książa będą mieli wpływ właściciele obu tych dzierżaw.

Bolko I zmarł w listopadzie 1301 r. Po jego śmierci kolejnymi właścicielami miasta są: Bernard I Stateczny (1301-1326) oraz jego syn Bolko II Mały (1326-1368). Za rządów księcia Bernarda mamy wzmianki o tym, że w 1321 r. Świebodzice stały się lennem rycerskim. Natomiast rządy księcia Bolka II były wielkim rozkwitem naszego miasta i całego księstwa świdnickiego. Władca ten okazał się nie tylko mądrym politykiem i dobrym gospodarzem, ale również jako sojusznik króla polskiego Kazimierza Wielkiego, najdłużej w swej wierności pozostał przy Polsce, podczas gdy książęta sąsiednich dzielnic przyjęli zwierzchnictwo królów czeskich. Zgon Bolka II Małego przyczynił się do tego, iż przez 24 lata księstwem zarządzała wdowa po zmarłym - Agnieszka (1368-1392). W 1386 r. księżna ta wystawiła dokument potwierdzający sprzedaż Świebodzic oraz zamku Książ Beneszowi von Chustnik, nowo mianowanemu staroście księstwa świdnickiego.

Ostatni władca ziemi świdnicko-jaworskiej nie pozostawił po sobie potomka, w związku z tym w 1392 r. przeszła ona, wedle wcześniejszego testamentu, na własność króla czeskiego Wacława IV Luksemburczyka. W 1401 r. Benesz Chustnik sprzedał miasto wraz z zamkiem Książ (plus urząd celny w Kamiennej Górze) Jankowi z Chocienic za sumę 4.000 kop groszy czeskich. Odtąd Janko, który już nieco wcześniej sprawował urząd starosty księstwa (bo od 1396 r.), stał się pełnoprawnym zarządcą Świebodzic, ale z zastrzeżeniem wykupu królewskiego ze strony władcy Czech. Swoją rolę Janko z Chocienic pełnił do śmierci w 1433 r. Po nim z kolei dziedziczył jego jedyny syn, również Janko zwany Młodszym. W chwili objęcia dzierżaw był on jeszcze niepełnoletni, toteż przez pierwsze cztery lata (1433-1437) zarządzał dobrami jego opiekun - Mikołaj Sedlitz.

Janko z Chocienic Młodszy jest ostatnim znanym właścicielem Świebodzic, gdyż począwszy od lat 40-tych XV w., nie mamy przez najbliższy okres zbyt pewnych wzmianek o kolejnych dzierżawcach miasta. Wszystko to wynika z ogólnego zamętu i anarchii jaka wówczas zapanowała w tych okolicach. Zapewne Świebodzice posiadały już wówczas status miasta prywatnego, pozostającego w rękach zbójców (tzw. raubritterów), którym przewodził Herman Czetteras (od 1445 r. zarządca zamku Książ). Nie mniej od lat 60-tych XV w. Świebodzice należały do obszaru kontrolowanego przez króla czeskiego Jerzego z Podiebradu, który w 1466 r. przekazał w zastaw dobra książkie (w tym Świebodzice) braciom von Schellendorf. Po nich z kolei dobrami tymi zarządzali: Jerzy von Stein oraz kapitanowie węgierscy w latach 1490-1491 i czescy do 1497 r.

W 1497 r. ówczesny władca Czech, Władysław Jagiellończyk (wywodził się on z dynastii Jagiellonów i był synem króla polskiego Kazimierza), sprzedaje

Książ, Świebodzice i Mieroszów wraz z okolicznymi wsiami jako dobra zastawne, kanclerzowi Janowi von Schelenberg za sumę 10.000 kop groszy praskich. W rękach tej rodziny Świebodzice pozostawały do 1503 r. Wówczas to syn Jana - Jerzy, odstąpił zamek i miasto Piotrowi von Haugwitz. Następca Piotra - Jan dzierżył Świebodzice przez rok (1508-1509), po czym zostało ono ponownie zastawione wraz z innymi dobrami przez króla Władysława Konradowi von Hochberg, za sumę 10.000 kop groszy czeskich (11 czerwiec 1509 r.). Nikt wówczas nie przypuszczał że zastawione chwilowo Świebodzice staną się niebawem posiadłością dziedziczną Hochbergów, którzy przez ponad 300 lat będą wywierać decydujący wpływ na jego losy.

W 1526 r. ginie w bitwie z Turkami pod Mohaczem ostatni przedstawiciel rodu królewskiego w Czechach - Zygmunt Jagiellończyk (jego ojcem był król Władysław, który sprzedał Hochbergom Świebodzice). W związku z tym na mocy układu wiedeńskiego z 1515 r. całe królestwo czeskie, a wraz z nim Śląsk i Świebodzice, przechodzą we władanie austriackich Habsburgów. Rodzina ta była gorącym zwolennikiem Kościoła katolickiego, toteż zasłynęła z dość agresywnego podejścia do wyznań protestanckich. Mimo to nasze miasto, jak i cały Dolny Śląsk, nie oparło się prądowi reformatorskiemu, jaki napłynął w te okolice już w 1 połowie XVI stulecia. 5 kwietnia 1605 r. rodzina Hochbergów za sumę 72.000 talarów otrzymuje od cesarza austriackiego Rudolfa III dziedziczne prawo własności do dóbr książęńskich na podstawie, którego zamek Książ wraz z posiadłościami (również Świebodzice) miał pozostać tak długo w rękach magnackiej rodziny, jak długo będą przy życiu jej członkowie.

W posiadaniu Śląska monarchowie austriaccy byli do 1740 r. Wówczas to z pretensjami do tych ziem wystąpił król pruski Fryderyk II Wielki, który korzystając z okazji walki o tron austriacki pomiędzy różnymi pretendentami, przystąpił do działań wojennych na Śląsku, mających na celu przyłączenie tej dzielnicy do Prus. Toczone w trzech etapach tzw. wojny śląskie w pełni urzeczywistniły plan Fryderyka. Od tej pory nasze miasto weszło w skład państwa pruskiego, w którego granicach miało pozostać przez następne dwa stulecia.

Nowy władca Śląska okazał się dość przychylny dla magnackiej rodziny Hochbergów, których próby zabiegawcze o utworzenie książęńskiego majoratu (na jego podstawie mógł dziedziczyć najstarszy potomek rodu), skończyły się powodzeniem. Dnia 2 lutego 1772 r. król pruski zatwierdził powstanie fidelkomisu książęńskiego w skład, którego obok Książa, Wałbrzycha, Boguszowa i 31 wsi, weszły także Świebodzice.

Po śmierci Jana Henryka V, całe dziedzictwo Hochbergów przeszło na jego jedyne go syna - Jana Henryka VI. Za jego to czasów - w 1808 r. - wprowadzono w państwie pruskim tzw. ustawę o miastach. Dzięki niej Świebodzice zaczęły stopniowo przeistaczać się z miasta prywatnego, należącego dotychczas do Hochbergów, w ośrodek samorządowy, o którego losach decydować miał od tej pory samorząd wybierany przez ogół mieszkańców.

Przez kolejne lata XIX stulecia Świebodzice wchodzą bezpośrednio w skład państwa niemieckiego. W tym to okresie dokonuje się dosyć istotna zmiana w sylwetce miasta, na którą decydujący wpływ wywiera świebodzicka rodzina von Kramsta. To dzięki niej (ale nie tylko) zachodzą bardzo istotne przemiany w zakresie miejskiego przemysłu, który okazał się siłą napędową rozwijających się wtenczas Świebodzic.

Kariera Kramstów kończy się w naszym mieście wraz z wybuchem i przebiegiem I wojny światowej. Po jej zakończeniu miasto nadal pozostaje w granicach Niemiec. Dopiero przebieg II wojny światowej (1939-1945) przynosi długo oczekiwane zmiany. Po przeszło 550 latach Świebodzice wraz z całym Śląskiem, na mocy uchwał konferencji pokojowej w Poczdamie, ponownie wchodzą w granice państwa polskiego.

III

Jak już wyżej wspomniałem, Świebodzice pojawiły się na widowni dziejowej w początkach XIII stulecia. Jednak nie należy tutaj myśleć, że nasze miasto zostało zbudowane z dnia na dzień. Zapewne proces kształtowania się tutejszej osady, jako ośrodka gospodarczego, kulturalnego, społecznego; trwał kilkadziesiąt a może i nawet kilkaset lat, przy czym same początki Świebodzic - jako samodzielnej osady - nie były zbyt łatwe. Nasze miasto musiało stoczyć w wiekach średnich **wieloletnią walkę**, najpierw z pobliską Pełcznicą, a potem z miastem Świdnica, **aby utrzymać w pełni suwerenne prawa ośrodka miejskiego**.

A wszystko zaczęło się we wrześniu 1228 r. Przebywający wówczas w Świebodzicach biskup wrocławski Wawrzyniec (Laurencjusz) dokonał w dniu 29 września uroczystej konsekracji nowo wybudowanego kościoła pw. św. Mikołaja oraz ofiarował mu dziesięciny z 16 łanów ziemi. Wraz z dokonaniem uroczystego poświęcenia potwierdził on świątyni w Pełcznicy (obecnie parafia św. Franciszka z Asyżu)²⁶ dotację nadaną jej miesiąc wcześniej (30 VIII 1228) przez księcia śląskiego Henryka I Brodatego oraz rozciągnął zwierzchnictwo kościoła pełcznickiego nad nowo wybudowaną świątynią w Świebodzicach (od tej pory kościół pw. św. Mikołaja w Świebodzicach stał się filią kościoła św. Franciszka z pobliskiej Pełcznicy). W tym samym dniu - 29 września - ówczesny właściciel gruntów ornych w Cierniach o imieniu Imbram, przekazał również ze swoich włości 2 łany ziemi na rzecz kościoła w Pełcznicy, co się także równało rozciągnięciem zwierzchnictwa parafii św. Franciszka z Asyżu nad osadą w Cierniach. Jak wiemy, w czasach średniowiecznych wraz z uzależnieniem się danej świątyni pod zwierzchnictwo panującego, czy też określonej społeczności, przechodziła również cała osada, w której owa uzależniona świątynia się znajdowała. Tak więc pod zwierzchnictwo parafii pełcznickiej przechodziły całe

²⁶ Obecnie świątynia ta znajduje się na terenie dzisiejszej wsi Ciernie, ale pierwotnie, tzn w XIII stuleciu, leżała na gruntach osady w Pełcznicy, dopiero rozwój Świebodzic w XIX stuleciu niejako przedzielił sąsiadujące ze sobą te dwie wioski.

ówczesne Świebodzice wraz z tutejszym kościołem (tak było również ze znajdującymi się w pobliżu Cierniami). Wynika z tego, że w 1 połowie XIII stulecia prym nad tutejszymi osadami i kościołami wiodła świątynia w Pełcznicy.

Jednak taka sytuacja nie trwała zbyt długo. Pierwsza o swoim niezadowoleniu i sprzeciwie dała znać świątynia w Świebodzicach, o której prawa skutecznie próbował zabiegać ówczesny proboszcz. W połowie XIII stulecia wybuchł wielki spór pomiędzy proboszczami obu kościołów, który z górami trwał 50 lat, a więc przez 2 połowę XIII stulecia. Spór, w którym głównie chodziło o sprawę uniezależnienia się świebodzickiej świątyni spod zwierzchnictwa Pełcznicy, a także o pewien rodzaj dziesięcin, do których prawo rościł sobie proboszcz z Pełcznicy (chodzi tu zapewne o dziesięciny, które od biskupa wrocławskiego Wawrzyńca otrzymał proboszcz świebodzickiego kościoła -1228) znalazł swe odbicie w wielu dokumentach i źródłach historycznych tej epoki. Pewne echa tego sporu musiały także dobiegać na dwór papieski, skoro ówczesny papież przyznał kościołowi pw. św. Mikołaja pewne przywileje.²⁷Z nadania tego wynika bardzo ważna rzecz. Otóż sam papież uważał wtedy, że słuszność w tym sporze jest po stronie świątyni w Świebodzicach, toteż nadanie tych przywilejów było podkreśleniem jego racji wobec miejscowego kościoła (?).

W kilka lat później doszło do pierwszych rozstrzygnięć sporu. Dnia 25 października 1268 r. arcybiskup salzburski i legat papieski Władysław na podstawie dokumentów Henryka I Brodatego z 30 sierpnia 1228 r. i biskupa wrocławskiego Wawrzyńca z 29 września 1228 r., potwierdza dotację dla kościoła w Pełcznicy. W tym samym dniu Władysław wystawił również dokument dla kościoła w Świebodzicach. Powiadamiał on w nim ówczesnego proboszcza parafii św. Mikołaja (proboszcz miał na imię Henryk), iż od tej pory świątynię w pobliskiej Pełcznicy może uważać za przynależną do swojego kościoła, który w tym czasie stał się kościołem nadrzędnym (głównym). Poza pełcznicką parafią do świątyni w Świebodzicach przyporządkowana została również parafia św. Jadwigi w Mokrzyszowie. Tak więc lata 60-te XIII stulecia, które były punktem kulminacyjnym tego wielkiego sporu, zakończyły się dużym sukcesem kościoła pw. św. Mikołaja w Świebodzicach. Jednak sprawa nie dobiegła jeszcze do końca.

Wyższość osady w Świebodzicach nad pozostałymi w okolicy wsiami potwierdzał także dokument księcia śląskiego Henryka IV Probusa, potwierdzający osadzie prawa miejskie (1279), a który poruszał również granice pobliskich osad (tj. Cierni, Pełcznicy i Mokrzyszowa).

Do pełnego rozstrzygnięcia sporu na korzyść parafii w Świebodzicach doszło w początkach XIV stulecia. Dnia 28 kwietnia 1301 r. Henryk, rektor kościoła pw. św. Mikołaja w Świebodzicach, wystosował do kanonika katedry wrocław-

²⁷ Do dzisiaj ingerencja papieska w sprawy świebodzickiego kościoła budzi wiele wątpliwości. Poniemiecka kronika miasta autorstwa G. Riecka i J.F.E. Wurffla z 1937 r. podaje, iż takie przywileje otrzymał nasz kościół w 1262 r. od papieża Bonifacego VIII. Budzi to jednak wiele zastrzeżeń, gdyż panowanie tego papieża na Stolicy Apostolskiej przypada dopiero na lata 1294-1303.

skiej i patrona kościoła Marii Magdaleny we Wrocławiu - Arnolda, szereg dokumentów (1. dokument Henryka Brodatego z 30 VIII 1228 r., 2. dokument biskupa wrocławskiego Wawrzyńca z 29 IX 1228 r., oraz 3. dokument arcybiskupa salzburskiego Władysława z 25 X 1268 r.), w celu ich rozpatrzenia oraz pełnoprawnego rozstrzygnięcia długotrwałego konfliktu. Na odpowiedź Henryk nie musiał czekać zbyt długo. 9 maja tegoż roku na podstawie wcześniej przedłożonych dokumentów kanonik Arnold wydał wyrok na podstawie, którego przyznał świątyni w Świebodzicach pełne prawa do dziesięcin, które od tej pory mogły być pobierane wyłącznie przez przedstawiciela (proboszcza) kościoła pw. św. Mikołaja w naszym mieście. Tak więc długotrwała walka obu świątyń zakończyła się pełnym sukcesem świebodzickiej parafii.

Jednak z uzyskanej swobody i niezależności Świebodzice nie cieszyły się długo. W dniu 15 grudnia 1310 r. książęta śląscy: Bernard świdnicki, Henryk jaworski i Bolesław ziębicki wydali w Jaworze dokument na rzecz rywalizującej Świdnicy, który odbierał naszemu miastu wszystkie uzyskane dotąd prawa i przywileje. Treść tego dokumentu brzmiała następująco:

Niechaj przeto wszyscy zainteresowani wiedzą, że my Bernard, Henryk i Bolko, z Łaski Bożej Książęta Śląscy i Panowie na Książu, po dogłębnej rozprawie, starając się przysporzyć wygody i dostatku naszym wiernym mieszkańcom Świdnicy i jej rozległych okolic, którzy się do nas pojedynczo zwracali i po myśli naszych wiernych ze względu na ich zasługi pragniemy więcej uczynić. Będzie więc słuszne, że we wszystkich ich własnych prawach i uprawnieniach w kogokolwiek imieniu wydanych i uzyskanych, tak wewnątrz jak i na zewnątrz (miasta) w jakimkolwiek czasie od pierwszego prawa lokacyjnego, aż dotąd posiadane i zapewnionego na utrwalenie całkowitej wolności. Zatwierdzamy na całej przestrzeni Świebodzic z jego okolicami i okręgiem prawo lokacyjne przez mieszkańców miasta uzyskane, którego się pozbywamy sami i ostatecznie. To żeby dla nas samych i naszych następców trwale i nie wzruszenie było przestrzegane, kładziemy na tej stronie podpis i dla wzmocnienia uwagi tego pisma w naszej obecności wyciśnięto pieczęć.

Tak więc od 1310 r. Świebodzice były przez najbliższe kilkadziesiąt lat uzależnione od miasta Świdnicy. Ale i tym razem świebodziczanie próbowali bronić swoich praw poprzez produkcję płótna, stając się przez to poważną konkurencją dla nieodległej Świdnicy. Jednak ta produkcja nie wyszła im na dobre. Prawdopodobnie świdniczanie widząc wyrządzone im przez mieszkańców Świebodzic szkody, zwrócili się w tej sprawie do księcia świdnickiego Bolesława II Małego (1312-1368). Książę ten wystawił w dniu 26 lipca 1336 r. pismo zabraniające świebodziczantom detalicznej sprzedaży wyprodukowanego u siebie płótna pod karą wysokich grzywien pieniężnych. Oba dokumenty (zarówno ten z 1310 r., jak i z 1336) były przyczyną znacznej emigracji mieszkańców Świebodzic do innych miast Dolnego Śląska, którzy nie widząc w swoim

mieście szans znacznego dorobienia się, próbowali szczęścia poza jego granicami. Wielu z nich osiadło wówczas w różnych miastach ziemi śląskiej (tj. Legnicy, Świdnicy, Brzegu, Jaworze, Nysie czy Paczkowie) o czym wspominają księgi miejskie tych miast i inne dokumenty.

Taka sytuacja nie trwała jednak wiecznie. 1 kwietnia 1337 r. przebywający wówczas w Kamiennej Górze książę Bolesław II Mały, przywraca Świebodzicom dawne prawa i przywileje oraz rozciąga zwierzchnictwo miasta na pobliskie wsie - Ciernie, Pełcznicę, Strugę, Szczawno, Poniatów, Lubiechów i Mokrzyszów. Tak więc po ponad 80 latach (nie licząc okresu 1301-1310, kiedy to Świebodzice na krótki czas utrzymały swą niezależność) nasze miasto ponownie stało się pełnoprawnym ośrodkiem gospodarczym, którego niezależność - jak sugeruje dokument Bolesława II Małego - nikt nie mógł odtąd naruszyć.

IV

Długotrwała walka o niezależność ekonomiczną naszego miasta na pewno się opłaciła. Doprowadziła ona do rozwoju handlu i rzemiosła, które były głównymi wyznacznikami dobrobytu mieszkańców Świebodzic. W połowie XIV wieku rozwój gospodarczy miasta był już na tyle stabilny i unormowany, że świebodziczanie pozwolili sobie na wydzierżawienie od księcia świdnickiego - Bolka II Małego, **prawa do bicia własnej -ZŁOTEJ I SREBRNEJ MONETY.**

Oczywiście Świebodzice nie były jedynym miastem w okręgu, które szczytło się tak wspianym przywilejem. Nie mniej wykupienie takich praw i wniesienie do kasy książęcej dość znaczącej opłaty, musiało się równać z wysoką pozycją materialną naszego miasta, którego rozwój szedł w parze z ogólnym rozwojem ekonomicznym księstwa świdnicko-jaworskiego. Większość ośrodków miejskich tegoż księstwa posiadała wówczas prawo bicia własnych monet, które bardzo korzystnie wpływały na ówczesny rynek lokalny. Do wyróżnionych miast księstwa, które otrzymały od księcia Bolka II Małego przywileje wydawania miejskich pieniędzy należały także: Bolesławiec, Bolków, Dzierżonów, Gryfów Śląski, Jawor, Jelenia Góra, Kamienna Góra, Lwówek Śląski, Niemcza, Strzegom, Świdnica, Świerzawa, Wleń i Złotoryja.

Uzyskanie przez nasze miasto przywileju bicia własnej monety, miało ścisły związek z szeregiem reform jakie swego czasu dokonały się w XIV-wiecznej Europie Środkowej. Już w 1300 r. Wacław II czeski wprowadził w swoim królestwie monetę groszową, wycofując z obiegu dawne denary i brakteaty. Dzięki temu Czechy nie tylko poprawiły swój bilans handlowy, ale także wprowadziły monetę, która dzięki swojej sile nabywczej stała się podstawowym pieniądzem obiegowym w innych krajach europejskich (Węgry, Austria, Polska, kraje niemieckie, Ruś Halicka, czy nawet Litwa). W 2 połowie lat 20-tych XIV stulecia kolejne przeobrażenia monetarne, dokonane tym razem przez Karola Roberta na Węgrzech, nie tylko wsparły czeski system groszowy, wprowadzając srebrnego grosza, ale poprzez ustanowienie monety złotej, tzw. florena (wzorowany na

pieniądzu z włoskiej Florencji - stąd nazwa), ustanowiły jedną z podstawowych jednostek monetarnych w średniowiecznej Europie.

Prawo bicia własnej monety nasze miasto uzyskało od księcia Bolka w 1361 r. Prawo to obowiązywało na 10 lat (do 1371 r.), a cały przywilej kosztował ówczesnych świebodziczian 60 grzywien groszy praskich. System monetarny w XIV w. na Śląsku był na ogół bardzo jednolity, toteż 1 grzywna miała wartość od 182,5 do 210 g. szlachetnego kruszcu. Wprawdzie grzywna była jednostką wagowo niestabilizowaną, to jednak różnica w systemie grzywny praskiej od grzywny śląskiej nie była aż tak duża.²⁸

Przywilej monetarny uzyskany od księcia śląskiego zobowiązywał mieszkańców naszego miasta do bicia srebrnej i złotej monety (choć tej ostatniej formalnie nie bito). Przywilej ten był prawdopodobnie wzorowany na reformie czeskiej i węgierskiej, o których pisałem już wcześniej. Wprawdzie żadna moneta "wybita" w Świebodzicach nie przetrwała do naszych czasów, to jednak nie trudno tu ustalić, że była to moneta na ogół drobna (wydawanie monety o większej wartości nie miałyby sensu, gdyż utrudniałoby tylko dokonywanie transakcji na lokalnym rynku). Tutejszy pieniądz miał służyć mieszkańcom miasta i być może pobliskim osadom a także zaspakajać popyt na jego wartość w księstwie świdnickim.

Z powodu braku jakichkolwiek dowodów, trudno jest ustalić wartość jednostek wydawanych w tym czasie w Świebodzicach. Jednak nie jest wykluczone, że przywilej bicia własnych monet był oparty o takie same prawa jakie dziesięć lat wcześniej (w 1351 r.) otrzymała od księcia Bolka pobliska Świdnica. Wówczas to świdniczanie wydzierżawili przywilej wydawania własnych (miejskich) złotych florenów i srebrnych groszy. Tak więc jest całkiem możliwe, że te same jednostki monetarne funkcjonowały niegdyś na terenie naszego miasta.

Mennica, w której wydawano miejską monetę znajdowała się prawdopodobnie w świdnickim zamku, a osoby w niej zatrudnione, tzw. mincerze, cieszyli się licznymi uprawnieniami. *Byli oni zwolnieni z podatku od nieruchomości, a opłaty na rzecz księcia czy miasta uiszczali tylko wtedy, gdy wykonywali jeszcze inny fach, np. warzyli piwo. Płacili również podatek od otrzymywanego spadku. Każdy przybysz z zewnątrz przywożący złoto lub srebro, w pierwszym rzędzie winien był sprzedać je mincerzowi. Dopiero gdy ten ostatni odmówił - mógł odsprzedać kruszec każdemu chętnemu. Po wybiciu nowych monet mincerz miał obowiązek przedstawienia jednej radzie miejskiej tytułem próby.*²⁹

Prawa monetarne jakie uzyskały Świebodzice w XIV stuleciu były powiązane z wieloma czynnikami ekonomicznymi, jakie wówczas dały się zaobserwować na terenie naszego miasta. Po pierwsze wydzierżawienie takiego przywileju i wniesienie do kasy książęcej równowartości 60 grzywien groszy praskich, świadczyło o ówczesnej majątności mieszczan świebodzickich. A przecież jeszcze do niedawna znaczna grupa mieszkańców osady, nie mając szans znacznego

²⁸ S. Kotelko: *Pieniądzowi ulega wszystko*, Wiadomości świdnickie, nr 11/197, s.5;

²⁹ Tamże;

dorobienia się (były to lata 1310-1337, kiedy to utrata praw miejskich, znacznie pogorszyła sytuację ekonomiczną wielu świebodziczian), emigrowała poza granice Świebodzic do innych ośrodków miejskich Dolnego Śląska szukając w nich warunków poprawy własnej egzystencji. Widać więc, że w przeciągu jednego pokolenia sytuacja ekonomiczna naszego miasta uległa zdecydowanej poprawie, a Świebodzice stały się jednym z najprężniejszych ośrodków gospodarczych w tym regionie. Po drugie, uzyskanie tego przywileju mogło również wpłynąć na ukształtowanie rynku lokalnego w tej okolicy, usprawniając tutejszy handel wymienny.

Prawo bicia monet w książęcej mennicy przez władze naszego miasta obowiązywało do 1371 r. Widać Świebodzice nie skorzystały z dalszego przedłużenia przywileju (tym razem już z księżną Agnieszką), bo zapewne nie było to zbyt opłacalne dla miasta.

V

Mieszkańcy Świebodzic próbowali wielu sposobów na wzbogacenie się i poprawienie własnej sytuacji materialnej. Jedni robili to poprzez uprawianie handlu, inni z kolei przez świadczenie różnych usług rzemieślniczych z zakresu np. piwowarstwa, płóciennictwa, szewstwa, piekarstwa, rzeźnictwa, kowalstwa, kamieniarstwa i innych. Była jednak grupa śmiałków, żądnych przygód, którzy swoich szans na łatwe dorobienie się szukali np. w znajdowaniu drogocennych kruszców w okolicznych górach i potokach. Szczególnym uznaniem cieszyło się wśród nich złoto, które od niepamiętnych czasów kojarzyło się z bogactwem i dostatnim życiem. Toteż na każdą wieść o jego pojawieniu się (niezależnie, w którym zakątku świata) wyruszały ekipy poszukiwaczy, mających nadzieję na poprawę własnego stanu materialnego i odmianę swojego życia.

Epizod, dotyczący występowania szlachetnych kruszców (złota, srebra, miedzi, czy ołowiu), nie ominął również okolic Świebodzic. Średniowieczne zapiski dostarczają nam informacji o istnieniu prymitywnych kopalń w pobliżu naszego miasta już w XV i XVI w. Na przykład z 1583 r. pochodzi dokument, w którym są wzmiankowane porzucone kopalnie kruszców szlachetnych w okolicy Bystrzycy Górnej i Modliszowa (ok. 7 km. na płd.-zach. od Świebodzic), co może świadczyć o tym, że pierwsze próby wydobywania na pewną skalę wartościowych metali - ołowiu, srebra czy złota, zostały zapoczątkowane na tych terenach już w wiekach średnich. Kolejny raport o wydobywaniu srebra w okolicach Świebodzic pochodzi z XVIII stulecia. Mówi nam on o sztolniach pod Modliszowem, które dawały około 2 kg. czystego srebra rocznie (1728). Zresztą wydobywanie szlachetnych kruszców w wyrobiskach pod Modliszowem i Witoszowem było na tyle rozpowszechnione, że jeszcze w końcu XIX w. istniało tu wiele zapadłisk terenowych, powstałych po zawaleniu się starych nieczynnych kopalń. Jednak pozyskiwanie złota na tych terenach odbywało się nie tylko poprzez metodę wydobywczą, ale także w wyniku wyflukiwania zło-

todaynego piasku w pobliskich potokach i rzekach. Świadczą o tym chociażby zachowane nazwy okolicznych miejsc, jak np. "Złoty Las" nieopodal Modliszowa, którego genezę należy wiązać z czasami dawnych poszukiwaczy szlchetnego kruszcu przemierzających te okolice.

Jeżeli zaś chodzi o Świebodzice, to prawdziwa gorączka złota zawitała w jego granice już w 1 połowie XVI stulecia. Z 1535 r. mamy informację, iż pewien Włoch o imieniu Hieronim Veres, natrafił nieopodal naszego miasta na żyłę złota. Zostawił on również po sobie notatkę, w której napisał: *Nieopodal Książa biegnie ścieżka, którą zowią Ścieżką Złodziejską, idąc wzdłuż niej znajdziesz potok zwany Strzelniczym Słodem. Idź wzdłuż wody do góry do starego rowu, który niegdyś był młynówką. Dalej wzdłuż tej młynówki dojdiesz do wody, w której znajdują się zielone ziarenka. Te ziarenka ja sam wyplukałem w ciągu trzech dni na sumę 40 guldenów. Owe ziarna to nic innego jak naturalne złoto. Jako dowód niech postuży fakt, że ja Hieronim Veres zdobyłem dom w Wenecji i wybudowałem dwór.*³⁰

Widać więc, że okolica naszego miasta musiała być niegdyś obfita w złotodajny piasek, skoro skusiło to nawet do podjęcia wyprawy poszukiwawczej ówczesnego właściciela zamku Książ, Krzysztofa I Hochberga (1528-1535).

Również z samych Świebodzic wywodzili się śmiałkowie, którzy próbowali szczęścia w szukaniu szlchetnych metali na terenie Dolnego Śląska. W 1454 r. niejaki Paweł, pochodzący z naszego miasta, wraz z Erazmem Smelczerm i Mikkisem z Barda Śląskiego, założył gwarectwo (organizację górniczą eksploatującą kopalnie kruszców) w Srebrnej Górze, z zamiarem wydobywania wartościowych metali w tej okolicy. Jednak jak potoczyły się dalsze losy tego przedsięwzięcia - dziś niewiadomo. Znacznie później - bo już w XIX stuleciu - znany świebodzicki przemysłowiec von Kramsta uruchomił porzucone sztolnie wzdłuż rzeki Bystrzycy. Wydobywane z stamtąd rudy były nawet transportowane do Saksonii w Niemczech, ale z powodu nieopłacalności cały biznes zamknięto w 1864 r. Podobny los spotkał Reinharda Glognera, mistrza murarskiego ze Świebodzic, który w latach 80-tych XIX w. zapoczątkował górniczy epizod we wsi Kamionki (osada położona po płn. stronie Przełęczy Jugowskiej w Górach Sowich). Za zgodą zarządu dóbr z Pieszyc, uruchomił on w tej okolicy 3 kopalnie, nad którymi sprawował osobisty nadzór. jednak jego epizod nie trwał zbyt długo. W 1892 r. z powodu małych zasobów rud ołowiu sztolnie, z których je wydobywano zamknięto.

Na koniec warto więc powiedzieć, że pomimo dość ciekawego wątku historycznego, epizod związany z wydobywaniem szlchetnych kruszców w okolicach Świebodzic nigdy nie przyczynił się do poprawy sytuacji ekonomicznej naszego miasta. Niemniej warto o nim pamiętać, chociażby dlatego, że pozostało po nim kilka śladów działalności ludzkiej na tych terenach.

³⁰ *Świebodzice, zarys monografii miasta*, pod redakcją K. Matwijowskiego, Wrocław - Świebodzice 2001, s.70;

VI

Do tej pory pisałem przeważnie o pozytywnych epizodach, okresach i przemianach dotyczących spraw naszego miasta. Jednak warto tu także wspomnieć o przeciwnościach oraz dość ponurych aspektach i wydarzeniach, które rozgrywały się w granicach dawnych Świebodzic. Tych z kolei też nie brakowało.

Jednym z najbardziej dramatycznych okresów w historii Świebodzic był przebieg Wojny Trzydziestoletniej (1618-1648), kiedy to liczne przemarsze obcych wojsk, wysokie kontrybucje, nędza i głód przeplatały się z siejącymi spustoszenie wśród mieszkańców miasta zarazami.

Pierwsze echa pożogi wojennej dotarły do Świebodzic dopiero wraz z początkiem lat 30-tych XVII stulecia. Wówczas to po raz pierwszy świebodziczanie odczuli tragiczne skutki wojny. Ale zanim do tego doszło, to już kilka lat wcześniej dała się we znaki mieszkańcom miasta **epidemia** (zapewne **cholery**), która swym zasięgiem objęła całą dzielnicę śląską. Zachowane źródła historyczne mówią nam o dwóch wielkich zarazach, które w roku 1617 i na przełomie lat 1624/25 nawiedziły cały Śląsk. Co do pierwszej epidemii z 1617 r., to nie mamy pewności czy jej śmiertelne żniwo dotarło do granic Świebodzic, chociaż takiego obrotu spraw nie można wykluczyć. Z kolei druga z nich, z 1624 r., pozostawiła po sobie dość tragiczny plon w naszym mieście. W przeciągu dwóch miesięcy (październik i listopad) cholera pochłonęła blisko 100 ofiar, co na przeszło 2 tysiące mieszkańców (stan z 1610 r. wynosił 2180 osób), dało spadek o około 5% ogółu ludności Świebodzic.

Działania katolickich Habsburgów skierowane przeciwko obozowi protestanckiemu w Niemczech, przyczyniły się do interwencji Szwedów, którzy pod pretekstem obrony niemieckich protestantów przystąpili do działań w Rzeszy. W 1630 r. wojska szwedzkie wylądowały na Pomorzu Zachodnim, po czym ruszyły w głąb Niemiec docierając również do Świebodzic. Tak się właśnie złożyło, że odkąd pojawili się w okolicy Świebodzic Szwedzi, na nasze miasto spadł szereg groźnych epidemii, których śmiertelne plony w przeciągu kilku lat były naprawdę zastraszające. Przyczyną groźnych epidemii w tamtych czasach był przede wszystkim brak higieny osobistej oraz wielu środków sanitarnych, przy czym dużą rolę w przenoszeniu zarazy odgrywała także woda i produkty spożywcze, które były przyczyną takich chorób jak dur brzuszny, czerwonka czy cholera.

Oparta na księgach kościelnych poniemiecka kronika Świebodzic J.F.E. Wurffla i G. Riecka opisuje tragiczne żniwo tamtych lat. Według niej w 1630 r. zmarło w mieście w wyniku groźnej zarazy 118 osób, w 1632 - 94, a w 1633 r., straty biologiczne wyniosły aż 1402 osoby zmarłe na skutek szerzącej się cholery. Przy czym straty te dotyczą tylko samych Świebodzic. W tym samym czasie w nieodległym Mokrzeszowie w wyniku epidemii zmarły 364 osoby, a w pobliskich Cierniach morowe powietrze pochłonęło blisko 700 ofiar. Wurffel i Rieck

piszą również o Pełcznicy i Cieszowie, którym pewnym cudem udało się uniknąć tych wielkich nieszczęść.³¹

Zabójcze epidemie oraz gwałtowny przebieg Wojny Trzydziestoletniej pozostawiły po sobie smutny obraz okolicy tamtych lat. Aby się przekonać jak wówczas wyglądały Świebodzice, oddajmy głos autorom powyższej kroniki, którzy niczym świadkowie owych dni pisali: *W 1633 r., w styczniu do miasta wszedł regiment szwedzkiej piechoty, który pozostawał tutaj aż do Zielonych Świątek. W związku z oblężeniem Świdnicy mieszkańcy Świebodzic musieli zaopatrywać Szwedów w żywność. Jednak nie od nich miasto ucierpiało najbardziej, lecz od żołnierzy cesarskich, którzy pomimo bohaterskiej obrony mieszkańców zdobyli gród i uczynili w nim, jak i okolicznych miejscowościach ogromne spustoszenie. Kiedy nareszcie odeszli miasto odetchnęło, lecz nie na długo. Już w dwa lata później - w 1635 r. oddziały cesarskie znowu wkroczyły do miasta i poważnie je spustoszyły. W wyniku zniszczeń i rabunków dokonywanych przez wojska, w Świebodzicach pozostawało zaledwie 337 budynków mieszkalnych, w tym zamieszkałych tylko 98. Miejscowa ludność uciekała bowiem przez rozpasanymi żołdakami do okolicznych lasów, unosząc często ze sobą cały swój dobytek.*³² Dodam tu tylko, że po zakończeniu wojny w 1648 r., w wyniku spustoszeń i groźnych epidemii, nasze miasto zamieszkiwało niespełna 10 rodzin (tj. około 50-60 mieszkańców).

Czy podczas tych trudnych i ciężkich dla świebodziczian dni, mógł ktoś im w jakiś sposób pomóc? Zapewne nie.

Pierwszego stałego lekarza miejskiego otrzymały Świebodzice w 1637 r. Został nim wówczas niejaki Tobiasz Teofil (Tobias Theophilus). Nawet gdyby nasze miasto posiadało nieco wcześniej własnego medyka, to przypuszczam, że i on byłby bezradny wobec groźnych epidemii. Ówczesna medycyna nie stała jeszcze na tak wysokim poziomie, aby powstrzymać śmiertelne zarazy. Znane są wypadki, kiedy to lekarzy, którzy nie potrafili zaradzić rozwijającej się chorobie, bezkarnie mordowano. Poza tym jedynym lekarstwem ówczesnych medyków przeciwko zarazie było twierdzenie, że trzeba *było jak najprędzej przed zarazą uciekać, uchodzić daleko i nierychło wracać.*³³

Wielkim zagadnieniem w historii naszego miasta jest sprawa grzebania zwłok przy tak masowej liczbie zgonów. Wiadomo nam, że w pierwszych wiekach istnienia Świebodzic, na terenie miasta znajdował się tylko jeden cmentarz przy parafii św. Mikołaja, więc zapewne pierwszych pochówków osób dotkniętych epidemią dokonywano właśnie na nim. Jednak podczas rozwoju zarazy chowanie zmarłych w obrębie murów miejskich stwarzało dodatkowe zagrożenie, toteż w wielu miastach Europy od połowy XIV w. lokalizacja miejskich cmentarzy wyszła poza granice zabudowań. Tak samo było zapewne w Świebodzicach,

³¹ J.F.E. Wurffel, G. Rieck: *Chronik Freiburg Schl.*, wydanie z 1937 r.;

³² Z. Jaworska: *Świebodzice- zarys dziejów*, ["Rocznik województwa wałbrzyskiego 1989-1991", Wałbrzych 1991, s.115];

³³ M. Kacprzak: *Epidemiologia, profilaktyka i zasady zwalczania chorób zakaźnych*, ["Vademecum lekarza praktyka", Warszawa 1955, t. I, s. 64-107];

gdyż od XV stulecia pojawiają się wzmianki o istniejącym poza murami miasta kościele cmentarnym, którego lokalizacja nastąpiła w okolicach dzisiejszych ulic: Szkolnej i H. Sienkiewicza. Sam cel wybudowania tego kościółka wraz z przyległym doń cmentarzem, nie jest powszechnie znany, ale nie da się tu ukryć, że teren ten posłużył do grzebania zmarłych w okresie wielkich epidemii, jakie miały miejsce w Świebodzicach na początku lat 30-tych XVII stulecia.

Panująca epidemia cholery jaka w XVII wieku zdziesiątkowała ludność Świebodzic, nie jest jedynym tego typu zjawiskiem w historii tych okolic. Z zachowanych przekazów i relacji świadków wiadomo nam, że równie dantejskie sceny rozgrywały się na terenie naszego miasta zaraz po jego wyzwoleniu w 1945 r. Niewiadomo dlaczego, ale Świebodzice były wtenczas jedynym miastem Dolnego Śląska, które w tak drastyczny sposób odczuły **skutki szalejącego** tutaj **tyfusu**. Aby zwalczyć chorobę trzeba było miasto zupełnie odciąć od świata. Szczelny kordon wojska na kilka tygodni otoczył miasto i nie wpuszczał do niego nikogo. Również pierwsze powojenne władze, wraz z Burmistrzem na czele, były zmuszone opuścić Świebodzice. Na drzwiach wielu domów widniał wówczas napis w języku niemieckim: *Tyfus! Nie wchodzić!*, a na ulicach miasta i po kątach domów wałały się trupy zmarłych na epidemię. Dziś trudno oszacować dokładną liczbę ofiar szalejącego w tamtych czasach pomoru, chociaż niektóre dane mogą nawet wskazywać na zgon 5 tysięcy osób! Wiadomo jednak, że byli to głównie Niemcy, których ciała chowano w olbrzymich zbiorowych mogiłach na terenie cmentarza komunalnego. Nikt wtenczas nie pokusił się nawet o policzenie zmarłych, ani tym bardziej o spisanie ich tożsamości. Tych, którzy zmagali się wówczas z chorobą gromadzono na terenie szpitala w budynku byłej SP nr 2 oraz w pomieszczeniach „Caritasu”. Aby przekonać się jak dramatyczna sytuacja panowała wtenczas w Świebodzicach, przytoczmy tutaj fragment książki Krystyny Pająkowej, która w owych dniach była sanitariuszką na terenie naszego miasta: *Tyfus szerzył się niepokojąco, że nie było innej rady. Wojsko musiało otoczyć miasto (...) Przez kilka dni, po zamknięciu miasteczka, przez megafon umieszczony na dachu sanitarki Armii Czerwonej wzywałam ludność do ujawniania chorych. W bezdennej ciszy, która opanowała miasteczko, powtarzałam ciągle na nowo te same słowa: Achtung, Achtung... (...) Oprócz lekarzy i nas, cała ludność Świebodzic była przecież niemiecka. Szpital zappełnił się chorymi jeszcze przed blokadą, a przybywało ich z godziny na godzinę. Już na drugi dzień nie było miejsca w przygotowanych przez nas domach. Zajęliśmy szkołę i tam układaliśmy chorych na materacach, na ziemi, łóżek już zabrakło. I te pomieszczenia zappełniły się do południa (...) Ludzie umierali jak muchy, jeden za drugim, kobiety, dzieci i starcy – śmierć nie wybierała. Poznałam każdy kamień na drogach świebodzickich. Dźwigając nosze, trzeba było dobrze patrzeć pod nogi, żeby się nie potknąć. Trudno by mi było powiedzieć cokolwiek o tym mieście. Widziałam tylko chorych, widziałam nędzę*

ludzi starszych, wygłodzonych i ubogich (...) Trupy, ciągle trupy! Od rana do wieczora nic, tylko trupy – skarżyła się Marianna. Mam tego po dziurki w nosie (...) Marianna jeździła olbrzymią platformą, do której był zaprzężony stary, ślepy koń pocztowy, po chodniku zbierała trupy. Koń miał przyczepiony do szyi dzwonek, żeby wszyscy słyszeli i wynosili przed domy umarłych. Marianna miała jednego pomocnika, na wpół obłąkanego Niemca. Zbierali trupy od rana do wieczora. Jak zapelnili platformę, wywozili ją na cmentarz, a tam jeńcy niemieccy kopali i chowali umarłych. My szukaliśmy żywych, żeby zrobić dla nich wszystko co można. Kiedy wracaliśmy do domu nie mieliśmy już ochoty ani siły na rozmowy (...) Każdy, jeżeli tylko było to możliwe, zamykał się gdzieś, byle dalej od świata i tyfusu.”³⁴

Świebodzice zmagaly się z szalejącym tyfusem przez około 2 miesiące. Z końcem 1945 r. sytuacja została opanowana. Władze miasta ponownie wróciły, by sprawować swój urząd, a do miasta zaczęli tłumnie przybywać nowi, polscy osadnicy.

VII

Historycy dziś nie mają żadnych złudzeń, co do tego, że największym tragicznym wydarzeniem w dziejach naszego miasteczka okazał się **wielki pożar z 1774 r.** Począwszy od opracowań encyklopedycznych, a skończywszy na obszernych monografiach miasta, każde z tych źródeł wymienia dzień 26 lipca 1774 r. jako moment zwrotny w dziejach Świebodzic. Cztery godziny dramatu wystarczyły do tego, aby niespełna 1,5-tysięczne miasteczko obrócić w grubą warstwę popiołu.

Pomimo, iż od tamtego tragicznego zdarzenia minęło niespełna 240 lat, to badaczom tych okolic do dnia dzisiejszego nie udało się wyjaśnić prawdziwych przyczyn pożaru. Również w zachowanych kronikarskich zapiskach trudno się doszukać winnych tego dramatu. Nic zatem dziwnego, że na temat tego katastroficznego epizodu zrodziło się wiele domysłów i niejasności.

Chyba najwierniejszy obraz wielkiego pożaru pozostawili po sobie dwaj autorzy jednej z najstarszych kronik miasta: Gustaw Rieck oraz Johann Friedrich Ernst Wurffel, którzy żyjąc w 1 połowie XIX wieku, mogli jeszcze wiele pamiętać z tamtych lat.

Powszechnie uważa się, że pożar wziął swój początek w jednej z oficyn mieszczańskich w Rynku. Było przed godziną 14.00, kiedy to w mieszkaniu, przy zwłokach zmarłego lekarza, dr Johanna Christiana Lindnera, doszło do zaproszenia ognia.³⁵ W przeciągu paru chwil zajęło się całe mieszkanie, a rozprzestrzeniającym się płomieniom miała sprzyjać wietrzna i burzliwa pogoda.

³⁴ K. Pająkowska: *Ucieczka od zapachu świec*, Warszawa 1965 r.;

³⁵ Badacze przeszłości uważają, że pożar spowodowała jedna z palących się świec, postawiona przy katafalku zmarłego. W wyniku spowodowania przeciągu miała się ona przewrócić na inne przedmioty, które zajęły się błyskawicznie.

Pech chciał, że nieopodal znajdowała się apteka wraz z mydlarnią, w których zgromadzono wszelkiego rodzaju materiały łatwopalne. To oczywiście dołało oliwy do ognia. Szalejąca nad miastem burza wraz z porwistym wiatrem, szybko przenosiła płomienie ognia w kierunku Pełcznicy. Dom po domu, kamienica po kamienicy, wszystko niczym domek z kart, waliło się w obliczu sięgających nieba płomieni. Kronikarze piszą, że ogrom żywiołu był tak wielki, iż ludzie stracili nad wszystkim kontrolę. Wąskie uliczki i drewniana zabudowa miasta nie sprzyjały akcji gaśniczej. Brakowało również wody. Z czasem zaczęły pojawiać się pierwsze ofiary bezlitosnego żywiołu. Dochodziło nawet do tego, że *mieszkańcy przedmieść, którzy spieszyli z pomocą w mieście, nie wiedzieli, że w tym czasie ich domy się już paliły.*³⁶

Cztery godziny wystarczyły do tego, aby całe miasto zostało obrócone w warstwę popiołu i zgliszcz. To spowodowało, że bilans był bardzo tragiczny, zwłaszcza dla architektonicznej zabudowy miasta. W popiele legło 16 budynków publicznych (w tym 3 kościoły, szpital i ratusz), 173 domy prywatne, 12 stodół i 120 oficyn mieszczańskich. Aż dziw bierze, że wśród ofiar znalazło się tylko 5 osób. Niemal wszyscy mieszkańcy miasta zostali bez dachu nad głową. W Świebodzicach zapanował ogólny chaos i dezorientacja. Musiało minąć wiele czasu zanim życie znów wróciło tu do normy.

Jedna z największych katastrof w historii Świebodzic skończyła się wielką traumą dla wielu mieszkańców miasta. Do dzisiaj jednak nie udało się ostatecznie rozwikłać przyczyn tego dramatycznego wydarzenia. Przez wiele lat badaczom przeszłości tych okolic przyszło brać za pewnik, że powodem pożaru był zwykły przypadek losowy – przeciąg, który spowodował upadek płonącej świeczki. Drażąc jednak przysłowiową skałę w tym temacie, można dojść do całkiem innego wniosku. W 1841 r. – jak podają Wurffel i Rieck – odnaleziono list napisany przez wdowę po zmarłym doktorze Lindnerze. List ten, z widniejącą na nim datą, 21 listopada 1774 r., był adresowany do krewnej w Legnicy. Jego treść brzmiała następująco: *Ja mogę chyba słusznie krzyknąć, jak mnie Wszehmocny tak zasmucił. On zabrał mi mojego ukochanego męża. On dopuścił, że mi najbliższy sąsiad dom podpalił i całe miasto przez to legło w popiele. Pan zezwolił na jeszcze więcej, że Ci, którzy nam to zrobili, naszemu domowi przemoc narzucić chcieli. Przecież my wszyscy w domu mamy czyste sumienia, a Ci co nam to zrobili, mam nadzieję, wstyd długo nosić będą. Pan, który mnie zasmucił, będzie mi pomagać i sprawi, że ujawnione będzie, kto te ogromne nieszczęście przygotował.*³⁷

Z treści tego listu jasno wynika, że największy pożar w dziejach Świebodzic został wywołany nie przez przypadek losowy, jak zwykle się tu uważać, lecz przez czynnik ludzki. Kto jednak podpalił oficynę w Rynku?, kim był „tajemniczy” sąsiad i dlaczego zależało mu na nieszczęściu Państwa Lindnerów?, tego

³⁶ J.F.E. Wurffel, G. Rieck: *Chronik Freiburg Schl.*, Świebodzice 1937.

³⁷ Tamże;

pewnie już nigdy się nie dowiemy. Szkoda tylko, że ten ohydny występek tak dramatycznie zaważył na losach całego miasta.

VIII

Przemiany gospodarcze, polityczne, kulturalne i społeczne, liczne nadania i przywileje, długotrwałe spory, pożary i śmiertelne epidemie; nie były jedynym wyznacznikiem rozwoju naszego miasta. Na przestrzeni kilkusetletniej historii Świebodzice nawiedzały również **długotrwałe wojny i konflikty zbrojne**, które także decydowały o rozwoju tych okolic oraz tworzyły tutejszą historię. Pożoga wojenna jaka docierała na te tereny była podyktowana wieloma czynnikami strategicznymi, taktycznymi czy politycznymi, które decydowały o charakterze prowadzonych tutaj działań militarnych. Bliskie sąsiedztwo potężnie obwarowanego zamku Książ, a także nieodległe położenie Świdnicy - stolicy samodzielnego księstwa, a w późniejszych czasach również miasta-twierdzy; wszystko to przyczyniało się do rozwoju i prowadzenia na tych terenach działań wojennych, czasami nawet zakrojonych na szeroką skalę. Nic więc dziwnego, że to właśnie w tych okolicznościach nasze miasto było wielokrotnie niszczone, palone, oblegane i rabowane, a także stawało się kwaterą obcych wojsk. Prześledźmy więc historię prowadzonych tutaj na przestrzeni wieków wojen i przekonajmy się jaki wpływ wywarły one na rozwój Świebodzic.

NAJAZDY CZESKIE NA ŚLĄSK

Dziś trudno powiedzieć kiedy tak naprawdę okolice naszego miasta stały się po raz pierwszy widownią działań militarnych. Być może pierwsze echa pożogi wojennej dotarły tutaj już we wczesnym średniowieczu, tj. w IX i X stuleciu, gdyż z tego to okresu pochodzi topór wojenny, odnaleziony w ruinach Starego Zamku Książ, który niegdyś należał do jednego z wojowników wielkomorawskich. W okresie późniejszym, wczesnopiastowskim (XI i XII w.) Dolny Śląsk był dość często nawiedzany przez zbrojne najazdy czeskich wojsk (m.in. w latach 1038, 1050, 1074, 1076, 1093, 1096, 1103, 1132-34). Najazdy te przyczyniły się do powstania licznych grodów warownych wzdłuż pogranicza polsko-czeskiego, a legenda głosi, że jedna z takich warowni mogła dać początek dzisiejszym Świebodzicom.

DOMNIEMANY NAJAZD Tatarski z 1241 r.

Wielu historyków dziś przypuszcza, że wielki najazd Tatarów jaki w początkach 1241 r. dotknął tereny pld. Polski, nie ominął również naszego miasta. Gdyby jednak tak się stało, to byłby to pierwszy znany w historii Świebodzic

wypadek zbrojnego najazdu oddziału obcych wojsk na nasze miasto. Potwierdzeniem, iż w 1241 r. Tatarzy mogli zagrozić mieszkańcom Świebodzic jest fakt, że po bitwie legnickiej stoczonej 9 kwietnia, wycofali się oni jednym z głównych traktów handlowych, biegnących przez Dolny Śląsk (w tym okolice Świebodzic), tj. Jawor, Strzegom, Świdnicę, Niemcę, Henryków, Otmuchów i tzw. Bramę Morawską. Drugim potwierdzeniem jest stoczona podczas tego odwrotu niewielka bitwa pomiędzy Polakami a Tatarami nieopodal wsi Płonina (ok. 22 km. na półd-zach od Świebodzic). Resztki kości i fragmenty broni znalezione jeszcze w latach 60-tych XX w. na polach płonińskich (między Górą Zamkową a Wzgórzem Czaszek) zdają się potwierdzać ten fakt. Tak więc zniszczenie osady przez jeden z zagonów tatarskich nie jest wykluczone. Mieszkańcy Świebodzic, którzy nie zdołali się schronić w pobliskie góry i lasy zostali zapewne straceni na miejscu lub wzięci w jasyr (niewola tatarska).

NAJAZD KSIĘCIA CZESKIEGO PRZEMYSŁAWA (1263)

Sinapius, śląski dziejopis z XVII stulecia, podaje w swoich zapiskach informację o rzekomym najeździe księcia czeskiego Przemysława II Ottokara, późniejszego króla Czech, na śląską ziemię. Podczas tego najazdu zniszczeniu miała ulec pobliska warownia Książ. Wydarzenie te, opisane przez kronikarza, nie jest jednak udokumentowane źródłowo. Niewiadomo również czy epizod tego najazdu należy dzisiaj wiązać z obecnie istniejącym zamkiem Książ, czy też z pobliskimi ruinami tzw. Starego Książa, usytuowanymi po drugiej stronie rzeki Pełcznicy.

WOJNA POLSKO-CZESKA Z 1345 r.

W roku 1345 król czeski Jan Luksemburczyk, będąc w stanie wojny z Bolkiem II, księciem świdnickim, zdobył i zniszczył Świebodzice, po czym przystąpił pod mury Świdnicy i zaczął ją oblegać. Jednak bez powodzenia. W wojnie tej brali zapewne udział mieszkańcy naszego miasta. Jeden z nich, którego wymieniają średniowieczne źródła historyczne, niejaki Konrad z Cierni, był rycerzem księcia świdnickiego. Odznaczył się on obroną Bramy Dzierżoniowskiej w Świdnicy. Do stolicy księstwa schronili się także osadnicy ze Świebodzic, którym udało się umknąć przed zbliżającą się nawałą czeskich rycerzy. Wszyscy oni stawili zacięty opór w obleganej Świdnicy, której nie udało się zdobyć Czechom.

Zanim jednak doszło do oblężenia Świdnicy, dnia 27 kwietnia 1345 r. rycerze księcia Bolka stoczyli pod wsią Mokreszów niewielką potyczkę z Czechami (?). Niestety, zakończyła się ona jednak porażką polskiego rycerstwa.

WALKI POD KSIĄŻEM W 1355 r.

W 1355 r. wyprawę zbrojną na zamek Książ podjął książę świdnicki Bolko II Mały. Powodem tej wyprawy było poskromienie wasala książęcego - niejakiego Kekelona z Czirnen, który odmówił posłuszeństwa księciu i zaczął najeżdzać książęce posiadłości (okoliczne wsie i miasteczka) grabiąc je i niszcząc. Wyprawa ta zakończyła się sukcesem. Uzbrojeni mieszczanie i chłopci, przy pomocy rycerstwa zdobyli zamek, który ponownie przeszedł we władanie książęce. Podobnie było również z pobliskim zamkiem Cisy, którego nieposłuszny zarządca został także zmuszony do okazania posłuszeństwa władcy ze Świdnicy (1355).

WOJNY HUSYCKIE

W 1420 r. wybuchają w Czechach wojny religijno-narodowe zwane potocznie husyckimi. Ich geneza sięga 1415 r., kiedy to czeski reformator religijny Jan Hus, oskarżony o herezję i potępiony, został spalony na stosie. Początkowo ruch husycki objął tylko tereny rdzenne Czech, ale w niecałe 5 lat potem (1425) dotarł również na ziemię śląską, aby w 1428 r. osiągnąć tu kulminacyjny szczyt. Jeśli chodzi o same Świebodzice, to nasze miasto znalazło się na drodze przemarszu wojsk husyckich już w 1427 r. Wedle legendy taboryci mieli wówczas przeprowadzić trzykrotny atak na mury miejskie Świebodzic. Jednak bez powodzenia. Atak został odparty i miasto obroniło się.

Sztuka ta natomiast nie powiodła się załodze zamku Książ. W 1428 r. husyci zdobyli warownię, która znajdowała się w ich władaniu przez kilka miesięcy (do 1429 r.). Natomiast w latach 1428-1437 wielokrotnie oblegali oni zamek Cisy.

ZNISZCZENIE KSIĄŻA (1463)

Po okresie wojen husyckich Śląsk zaczął stopniowo pogrążyć się w anarchii wywołanej rozbójnictwem i prywatnymi wojnami. Wiele śląskich zamków znalazło się wtenczas w rękach rycerzy-rabusiów (tzw. raubritterów), którzy ze swoich warowni uczynili gniazda wypadowe i dokonywali łupieżczych napadów na sąsiednie wsie, klasztory i miasteczka. Los ten nie ominął również zamku Książ, albowiem tutaj miał swoją siedzibę Herman von Czetteras (z rodu Ciecierzyców herbu Wieniawa), który był zarządcą zamku od 1445 r. Za jego też czasów Świebodzice stały się siedzibą raubritterów, którzy z miasta uczynili zbójczą kryjówkę i gdzie przechowywali zrabowane dobra kościelne.

W 1463 r. sytuację na zanarchizowanym Śląsku postanowił opanować król czeski Jerzy z Podiebradu. Jego zbrojna wyprawa przyczyniła się do opanowania i zniszczenia wielu zamków śląskich, gdzie swoje siedziby mieli wyjęci spod prawa rycerze-rabusie. Wyprawie królewskiej nie oparł się również zamek

Książ. Kryjówka Hermana Czetterasa została zdobyta i spalona, a nowymi zarządcami Książa z ramienia króla czeskiego zostali dwaj bracia: Jan i Mikołaj von Schellendorf.

WYPRAWA MACIEJA KORWINA NA KSIĄŻ (1474/75)

Bracia Schellendorf nie dotrzykali jednak wierności Koronie Czeskiej i niedługo potem poszli w ślady swojego poprzednika - Hermana von Czetterasa, szerząc gwałt na Śląsku. W 1474 r. wyprawę przeciwko nim podjął monarcha czeski i węgierski Maciej Korwin. Dnia 6 stycznia 1475 r. "czarne wojska" Korwina w sile 6 tysięcy piechoty i 1,5 tysiąca jazdy stanęły pod Książem. rozpoczęło się oblężenie zamku. Pomimo zaciętej obrony, zdobycie Książa wydawało się tylko kwestią czasu. Nie doszło jednak do tego, gdyż do obozu królewskiego dotarła wiadomość o uderzeniu tureckim na Węgry. W związku z tym przystąpiono do pertraktacji. Za cenę prawdopodobnie wysokiej kontrybucji oraz przyrzeczeń ze strony Jana Schellendorfa, król odstąpił od oblężenia zamku i ze wszystkimi swoimi oddziałami wrócił na Węgry.

WYPRAWA NA ŚWIEBODZICE (1477)

Jan Schellendorf nie dotrzymał jednak po raz drugi słowa danego królowi i niebawem znów powrócił do swoich łupieżczych praktyk. W lutym 1477 r. na sejmie we Wrocławiu, Maciej Korwin postanowił po raz kolejny zorganizować zbrojny pochód przeciwko Schellendorfowi. Tym razem za cel wyprawy obrano Świebodzice, uważane również za siedzibę raubritterów. Dokładnego przebiegu tej kampanii, poprowadzonej przez palatyna węgierskiego Stefana Zapolę, jednak nie znamy. Ale z ogólnikowych przekazów wynika, że chłopci, mieszczanie i szlachta (których Jan Schellendorf zapewne zawsze chronił) dość solidarnie stawili opór wojskom monarszym. Nieuniknione, że doszło wtenczas do jakiś drobnych potyczek i starć pod Świebodzicami.

OBLĘŻENIE KSIĄŻA (1482)

Na początku 1482 r. doszło do nowej wyprawy zbrojnej na zamek Książ. Tym razem armię królewską, złożoną z wojsk węgierskich i wrocławskich, prowadził Jerzy von Stein. Pomimo zacieklej obrony załogi Książa, opór ostatecznie złamano przy użyciu potężnych armat wrocławskich. Jan Schellendorf został w końcu pojmany i uwięziony, a zamek Książ wraz z przynależnościami (w tym Świebodzice) stał się ponownie dominium królewskim zarządzanym przez bezwzględne Jerzego von Steina.

WOJNA TRZYDZIESTOLETνια. DZIAŁANIA W 1633 r.

Wojna Trzydziestoletnia (1618-1648), która na ziemię śląską przyniosła biedę, głód i ogólne zniszczenie, w początkowym okresie swojego trwania nie zawitała raczej na dobre do Świebodzic. Dla naszego miasta najtrudniejszy chyba okres zaczął się wraz z 1633 r., kiedy to w styczniu w granice świebodzickiej osady zawitała piechota szwedzka i kompania dragonów dowodzone przez gen. H.J. Duwalla. Szwedzi okupowali nasze miasto aż do Zielonych Świątek, co miało związek z oblężeniem przez nich w tym okresie nieodległej Świdnicy. Wiosną 1633 r. pod Świebodzicę podeszły oddziały cesarskie (katolickie pułki Kroatów). Zaczęło się oblężenie miasta. Pomimo bohaterskiej obrony mieszkańców - jak podaje jeden z kronikarzy - Świebodzice ostatecznie skapitulowały. Szwedzi zostali z miasta przepędzeni, a ich miejsce zajęły wojska cesarskie. Ich kilkumiesięczna okupacja poczyniła ogromne spustoszenie w samym mieście, jak i w jego najbliższym sąsiedztwie. W tym też okresie na przedpolach Świebodzic dochodziło niejednokrotnie do licznych potyczek między obu zwaśnionymi stronami.

OKRES WOJEN ŚLĄSKICH

Starcia pod Świebodzicami (IV 1745)

W pierwszym okresie wojen toczonych pomiędzy Prusami a Austrią o Śląsk (1740-1742), Świebodzice nie ucierpiały zbyt poważnie od wojennych zniszczeń. We znaki mieszkańcom miasta dała się dopiero druga wojna śląska, toczona w latach 1744-1745. Na przełomie 1744 i 1745 r. Austriacy podjęli wielką kontrofensywę, która przyczyniła się do opanowania przez nich większości ziem Śląska. Główny front działań wojennych dotarł do Świebodzic już w kwietniu 1745 r. Przebywający wówczas w mieście oddział Austriaków, dowodzony przez cieszącego się dużym szacunkiem wśród świebodziczian płk. węgierskiego von Simbschena (który pozostawał na usługach armii austriackiej), musiał stawić opór oddziałom pruskim, jakie rozlokowały się w nieodległym Mokrzeszowie. W tym też czasie niemal codziennie dochodziło do licznych potyczek i wymiany ognia pod murami miasta.

Wielka bitwa pod Dobromierzem (4 VI 1745)

Do decydującego starcia w tej wojnie doszło w początkach czerwca 1745 r. na przedpolach wsi Dobromierz (ok. 7 km. na półn-zach. od Świebodzic). Legenda i ogrom batalii - jednej z największych jakie w XVIII w. rozegrały się na kontynencie europejskim, na trwale zapisała się w panteonie chwały oręża niemieckiego. Po obu stronach walczyło ponad 135 tys. żołnierzy. 70-tysięczną armią austriacko-saską dowodził ks. Karol Lotaryński, zaś wojskami pruskimi sam król Fryderyk II, który na cześć historycznego zwycięstwa, właśnie po tej batalii otrzymał przydomek Wielkiego. Wynik bitwy ustaliła najsłynniejsza w dzie-

jach pruskiej kawalerii szarża dragonów Bayreuth, kiedy to 1,6 tys. szarżujących jeźdźców w 15 minut rozbiło w pył 8-tysięczną piechotę austriacką i wzięło do niewoli 2,5 tys. jeńców, zdobyło 5 dział i aż 67 chorągwi austriackich. Bitwa pod Dobromierzem zapisała się na kartach historii pod jeszcze jednym bardzo ważnym aspektem. Otóż była to również pierwsza, wielka batalia w dziejach kontynentu europejskiego, w której pierwszy chrzest bojowy przeszły formacje ułańskie.

Obrona Świebodzic (22 VI 1759)

W okresie III wojny śląskiej, tzw. wojny siedmioletniej (1756-1763), Świebodzice ponownie stają się widowiskiem działań zbrojnych, a do kolejnego poważniejszego starcia pod murami miasta dochodzi w dniu 22 czerwca 1759 r. Przebywający wówczas w Świebodzicach garnizon pruski w sile 150 kawalerzystów i 40 huzarów powiadomiony został o zbliżających się siłach austriackich. Dowódca garnizonu, mjr von Franklin, nakazał natychmiast zamknąć wszystkie miejskie bramy i przygotować miasto do obrony. Rozesłano również podjazdy zwiadowcze, które doniosły o zbliżających się od strony Kamiennej Góry znaczących siłach wroga. Gdy Austriacy podeszli pod Świebodzice napotkali na silny opór garnizonu pruskiego. Pomimo bohaterskiej obrony miasta, znaczna część broniących go żołnierzy pruskich poległa, a pozostała część - wraz ze swoim dowódcą, dostała się w ręce nieprzyjaciela. Generał austriacki, który kierował atakiem na miasto, docenił jednak dzielność pruskiego majora. Pogratulował mu męstwa oraz obiecał listownie powiadomić samego króla Fryderyka II o odwadze i wyczynie zdolnego, pruskiego oficera.

Bitwa na przedpolach Świebodzic (6 VII 1762)

Po raz ostatni Świebodzice stały się krwawym teatrem działań wojennych w 1762 r. Stacjonująca wtenczas w okolicach Sobótki 60-tysięczna armia austriacka pod dowództwem feldmarszałka Leopolda Dauna, obserwowała posunięcia nieprzyjaciela. Ruchy wojsk pruskich spowodowały, że Austriacy przesunęli się na przedpola Świebodzic. Fryderyk II dążąc do opanowania twierdzy świdnickiej, postanowił obejść stacjonujące pod Świebodzicami wojska feldmarszałka. Manewr ten miał na celu odsunięcie Austriaków spod Świdnicy. Jednak odgadnięte przez Dauna posunięcia wojsk pruskich, nie przyniosły Fryderykowi pożądanego rezultatu. Wysłane rankiem 6 lipca 1762 r. przednie oddziały wojsk austriackich pod dowództwem gen. Brentano, mające za zadanie osłone tylnych pozycji Austriaków, natknęły się pod wsią Struga (na pld-zach. od Świebodzic) na armię pruską. Doszło do bitwy, w wyniku, której Prusacy ponieśli duże straty. Silny ostrzał artyleryjski ze strony obu wojsk był dla samych Świebodzic o tyle niebezpieczny, że wywołał w mieście wiele pożarów, które przyniosły znaczne straty. Porażka ta jednak nie zniechęciła Fryderyka II. Król pruski postanowił nadal kontynuować obejście armii austriackiej, w wyniku czego doszło do jej rozbicia w walnej bitwie pod Lutomią i Burkatowem

(nieopodal Świdnicy). Umożliwiło to wojskom pruskim podjęcie oblężenia twierdzy świdnickiej, którą zdobyto 9 X 1762 r.

OKRES NAPOLEOŃSKI. BITWA POD STRUGĄ (15 V 1807)

W 1807 r. na Śląsk wkroczyły wojska francuskie. Miało to związek z przystąpieniem Prus do wojny z Napoleonem. Rozpoczęła się kilkuletnia okupacja dzielnic śląskiej przez wojska napoleońskie, którym nie oparły się również Świebodzice. Częste rekwizycje żołnierzy francuskich oraz ich utrzymanie i wyżywienie przyniosły mieszkańcom miasta ciężkie czasy.

Dnia 15 maja 1807 r., w odległości 8 km. na półd-zach. od Świebodzic, w okolicach Czerwonego Wzgórza i Wzgórza Ułańskiego, pomiędzy Strugą a Szczawnem, doszło do bitwy pomiędzy wojskami francusko-polskimi i pruskimi. Powracający ze zwycięskiej batalii pod Kątami Wrocławskimi do twierdzy srebrnogórskiej Prusacy, natknęli się w okolicy Czerwonego Wzgórza i Wzgórza Ułańskiego na połączone siły francusko-polskie pod dowództwem gen. Lefebre-Desnouttesa. Doszło do otwartej bitwy, w której wspaniała szarża oddziału lansjerów polskich pod wodzą mjr Jana Świderskiego, wchodzącego w skład Legii Polsko-Włoskiej (od 1808 r. Legii Nadwiślańskiej), rozbiła oddział pruski mjr Losthina. Straty pruskie wyniosły przeszło 300 zabitych i rannych, natomiast straty polskie były niewielkie. Tylko nieliczne grupki Prusaków przedostały się do okolicznych lasów, gdzie zdołały się ukryć. Słynna szarża lansjerów polskich pod Strugą została przedstawiona również w "Popiołach" Stefana Żeromskiego (tom III).

Obecnie stoczoną bitwę upamiętnia pomnik-obelisk ułanów Legii Nadwiślańskiej postawiony na Czerwonym Wzgórzu w 1960 r. Widnieje na nim tablica pamiątkowa z orłem polskim.

II WOJNA ŚWIATOWA

Nasze miasto praktycznie uniknęło poważnych działań wojennych w okresie II wojny światowej. W okolicach Świebodzic niekiedy tylko dochodziło do sporadycznych potyczek, zwłaszcza w początkach 1945 r., kiedy front wschodni zaczął się zbliżać do granic miasta.

Starcie pod Olszanami (13 II 1945)

Do pierwszej znaczącej potyczki doszło w lutym 1945 r. na północ od miasta. Na rozkaz radzieckiego dowództwa, został wysłany ze Strzegomia w kierunku Świebodzic oddział rozpoznawczy składający się z kompanii zmotoryzowanej piechoty, trzech czołgów T-34, plutonu dział przeciwpancernych i plutonu saperów. Jednostkami tymi dowodził kpt. F. Rewiak. W okolicach Olszan (ok. 4 km. od Świebodzic), Rosjanie natknęli się na silną obronę garnizonu niemiec-

kiego. Doszło do wymiany ognia, w wyniku, którego oddział Rewiakina poniósł poważne straty. Nie udało się również Rosjanom próba obejścia Olszan, w związku z tym dowódca radziecki nakazał odwrót.

Walki pod Witoszowem Dolnym (8 V 1945)

Do ostatnich walk okresu II wojny światowej doszło w okolicach Świebodzic w początkach maja 1945 r. Walki te miały związek z działaniami Armii Czerwonej, która podążając w kierunku Świdnicy, napotkała pod Witoszowem Dolnym na opór nielicznych żołnierzy Wehrmachtu, dowodzonych przez fanatycznych podoficerów i złożonych głównie z nie mających już nic do stracenia własowców. Opór ten został szybko przełamany przez Armię Czerwoną.

IX

W okresie II wojny światowej Dolny Śląsk należał do najbezpieczniejszych rejonów III Rzeszy, toteż właśnie tutaj hitlerowcy zdecydowali się ulokować większość swojego **przemysłu zbrojeniowego**, przy którym wykorzystywali tysiące jeńców z podbitych krajów. Podobnie było w Świebodzicach. Już w początkowym okresie wojny wszystkie znajdujące się w mieście fabryki produkcyjne przestawione zostały na potrzeby militarne Niemiec. Zatrudniano w nich więźniów różnych narodowości - Polaków, Rosjan, Francuzów, Jugosłowian, Belgów, Włochów, a także uczestniczki Powstania Warszawskiego, które przybyły do Świebodzic w drugiej połowie 1944 r.

Dzięki wywiadowi gospodarczemu ZWZ-AK, który od października 1941 r. interesował się rejonem Pogórza Sudeckiego, wiadomo nam, że Niemcy skupili tutaj dość dużą ilość zakładów przemysłowo-zbrojeniowych, ulokowanych głównie wzdłuż linii kolejowej Wrocław-Jelenia Góra. Ich szczególne nasycenie wystąpiło wówczas w okolicy Kuźnic Świdnickich, Wałbrzycha oraz Świebodzic. Pierwsze obozy pracy powstały na terenie naszego miasta już w 1941 r. Było to tzw. Komando "Freiburg", gdzie wykorzystywano więźniów przy pracach transportowych, głównie przy przeładunkach kolejowych. Komando to istniało do 1942 r. Nieco później zlokalizowano tutaj kilka innych podobozów. I tak na terenie dzisiejszego zakładu "Klimator" istniał tzw. obóz czeski, którego więźniowie cieszyli się dosyć przyzwoitym traktowaniem (jak na tamte czasy). Przysługiwały im m.in. przepustki na wyjście do miasta. Przy nieistniejących już dziś zakładach "Rafio" znajdował się obóz dla kobiet, gdzie jeszcze w początkach 1945 r. przebywało w nim blisko 1000 więźniarek. W późniejszym czasie zostały one wywiezione do obozu koncentracyjnego w Ravensbruck, gdzie zapewne większa część z nich została zgładzona. Inne z komand zostało założone w naszym mieście w 1944 r. dla potrzeb Zakładów Mechaniki Precyzyjnej i istniało tutaj do końca lutego 1945 r. Pracowało w nim około 200 więźniów o dość wysokich kwalifikacjach. Byli to optycy, jubilerzy, szlifierze kamieni szlachetnych, zegarmistrzowie, ślusarze i inni. Czym się trudnili? - tego

dziś nikt nie wie. Byli jednak dobrze pilnowani i dobrze ich traktowano. Z końcem wojny słuch jednak o nich zaginął. Jeden z dużych podobozów pracy znajdował się również na terenie byłej fabryki „Silena”. Pracowali w nim głównie Żydzi, którzy byli wykorzystywani przy produkcji różnych części na potrzeby lotnictwa. Pododdziały obozu Gross-Rosen istniały także w pobliskiej Pełcznicy. Na przykład jeden z nich był usytuowany nieopodal dzisiejszych zakładów "Termet", gdzie więźniowie produkowali części do samolotów. Drugi natomiast zlokalizowano bliżej warowni Książ, w którym przebywający więźniowie byli wykorzystywani do ciężkich prac w podziemiach zamku. Na terenie Świebodzic istniał również obóz pracy dla obywateli włoskich (w pobliżu SP nr 4), którzy brali udział w pracach budowlanych na terenie Książa. Trudno dziś ostatecznie oszacować ile tak naprawdę więźniów przewinęło się przez świebodzickie obozy pracy. Liczbę tą na pewno należy szacować na kilka tysięcy osób, którzy poza przemysłem zbrojeniowym, byli również wykorzystywani we wszelkiego rodzaju pracach budowlanych (choćby na terenie pobliskiego zamku Książ) oraz w położonych w okolicy miasta fermach dla zwierząt. Warto tu również wspomnieć, że w 1944 r. w jednym z podobozów pracy w Świebodzicach był przetrzymywany m.in. Jacob Hennenberg, który po wojnie wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie prowadził aktywną misję na rzecz upamiętnienia zagłady i ocalałych z Holokaustu Żydów.

Ten stan rzeczy trwał w naszym mieście mniej więcej do początków 1945 r. Wtedy też sytuacja w Świebodzicach zaczęła zmieniać się błyskawicznie. Na wieść o zbliżającym się froncie wschodnim zaczęła się masowa ewakuacja ludności cywilnej miasta. Narastał ogólny strach i popłoch przed "bolszewikami", a sytuację tą nieraz potęgowała sama propaganda niemiecka, mówiąca o bestialstwach i okrucieństwach dokonywanych przez żołnierzy radzieckich. Dochodziło nawet do masowych samobójstw wśród mieszkańców Świebodzic. Nic więc dziwnego, że w samym tylko zbiorniku "Warszawianka" utopiło się z własnego wyboru kilkudziesięciu mieszkańców miasta.

W styczniu i lutym 1945 r. rozpoczęto **masową ewakuację więźniów** z głównego obozu Gross-Rosen w Rogoźnicy i podległych mu filii, w tym z **podobozu KL Gross-Rosen w Świebodzicach**, w którym przebywało około 200 więźniów. Zaczęły się masowe wywózki w głąb Niemiec, Austrii i do Czech, które niejednokrotnie przybierały brutalny charakter. Więźniów przeważnie wyprawdzano na stację kolejową i ładowano do pociągów.

Na 20-tonową otwartą węglarkę - jak podaje E. Nawrocki - ładowano przeciętnie 160-200 ludzi. Wśród krzyku duszących się, kolbami dopychano ostatnich i zasuwano drzwi wagonu (...). W każdym wagonie umierali więźniowie, którym na okres dwóch tygodni trwającego transportu dawano bochenek chleba i puszkę konserw.

Podczas przejazdu pociągu przez miasta więźniowie musieli szybko przykucnąć i ukryć się za niską ścianą węglarki. Do tych, którzy nie zdążyli tego zrobić, strzelali strażnicy. Niektórych więźniów zastrzelono i za to, że mając pragnie-

nie, usiłowali zgarnąć śnieg z krawędzi wagonu. W wagonach z więźniami znajdowali się też niemieccy kryminaliści uzbrojeni w długie rzeźnicze noże, którymi z lubością mordowali kogo chcieli. W ten sposób w niektórych wagonach zginęła nawet połowa więźniów.³⁸

W początkach 1945 r. doszło w Świebodzicach do zdarzenia, które jeszcze do niedawna przykuwało uwagę Oddziałowej Komisji Śledczej we Wrocławiu. Komisja ta (z ramienia IPN-u) prowadziła w 2003 r. śledztwo w sprawie **zabójstw za pomocą zastrzyków z substancją toksyczną** około 40 niezdolnych do ewakuacji chorych ze świebodzickiego szpitala. Przesłuchano w tej sprawie świadka - Waldemara Z., który zeznał, iż: w listopadzie 1944 r. przyjechał do Świebodzic do swojej matki Lucyny Z., która była robotnicą przymusową w tamtejszej Fabryce Lin i Powrozów. W dniu 10 stycznia 1945 r. podczas pracy Lucyna Z. miała wypadek, w wyniku którego straciła rękę. Po wypadku przewieziono ją do szpitala. Wobec zbliżającego się frontu Niemcy, w tym obsada rzeźzonego szpitala, szykowali się do ewakuacji. W dniu 12 stycznia 1945 r. Waldemar Z. udał się do szpitala, gdzie poinformowano go, że jego matka zmarła. Wobec tego zaczął organizować jej pogrzeb. Wtedy też dowiedział się od jednej Ukrainki - pielęgniarki ze szpitala, że jego matka została zabita zastrzykiem. Ta sama Ukrainka miała poinformować świadka, że w identyczny sposób zabito w szpitalu około 40 chorych i nie nadających się do ewakuacji kobiet. W trakcie zgonu wpisano, że Lucyna Z. zmarła na zapalenie płuc.

W toku śledztwa ustalono, iż Lucyna Z. zmarła 12 lutego 1945 r. Z zeznań jej dzieci - różnych wprowadzcie co do okoliczności samej śmierci - wynika jednak kategorycznie, że została ona zabita. Przeprowadzone czynności w sprawie nie doprowadziły do ustalenia osób, które to spowodowały, a ewentualni świadkowie - zakonnice stanowiące obsadę szpitala- już nie żyją. One mogłyby wskazać okoliczności tej śmierci. Podnieść należy, że w tym zakresie wyczerpano wszystkie możliwości dowodowe, jak i możliwości poszukiwania takich dowodów.

Odnośnie śmierci pozostałych 40 kobiet, o których zeznawał Waldemar Z., nie zebrano dowodów, że takie zdarzenie miało miejsce. Poza świadkiem żadna osoba ani instytucja nie miała jakichkolwiek informacji na powyższy temat. W Urzędzie Miasta, zakładzie pogrzebowym, cmentarzu, aktach stanu cywilnego, parafii, dokumentacji muzeum Gross-Rosen brak jest jakiegokolwiek wzmianki na temat masowego grobu, a takowy musiałby istnieć, gdyby jednego dnia zabito 40 osób. Brak jest nawet informacji o śmierci w lutym 1945 r. tak znacznej ilości osób.³⁹

Niestety, z braku nie wykrycia przestępców tego zbrodniczego procederu, umorzono stan śledztwa. Niewiadomo również i dziś, czy tego rodzaju przypadek mógł kiedykolwiek zaistnieć na terenie naszego miasta.

³⁸ E. Nawrocki: *Z dziejów Świdnicy*, Świdnica 1998, s. 77-78;

³⁹ Oddziałowa Komisja we Wrocławiu, sygn. akt S 17/02/Zn;

Sprawa tajemniczego mordu, dokonana na kobietach-więźniarkach ze świebodzickiego szpitala, nie jest jedynym niewyjaśnionym epizodem z okresu II wojny światowej. Podobne wątpliwości w ostatnim czasie dostarcza również **tajemniczy grób nieznanego żołnierza**, usytuowany przy ul. Zamkowej na Pełcznicy (teren dzisiejszych ogródków działkowych).

Na temat powstania tej mogiły istnieje kilka hipotez, wysnutych na podstawie relacji i opowiadań najstarszych mieszkańców tej okolicy. Jedna z nich stwierdza, że został w niej pochowany antyfaszysta austriackiego pochodzenia, który zamordowany został tutaj przez Niemców. Inna z kolei wersja wydarzeń mówi nam o ukrywającym się na terenie dzisiejszych ogródków działkowych niemieckim żołnierzu, który w trakcie wyzwania tych ziem przez Armię Czerwoną, został śmiertelnie postrzelony podczas ucieczki przez radzieckiego snajpera (?). Do niedawna istniała również hipoteza, iż w grobie tym mogą również spoczywać szczątki pilota, który pod koniec wojny został zestrzelony w okolicach naszego miasta. Teoria ta jednak nie znalazła swojego potwierdzenia w relacjach świadków z tamtych lat, dlatego też należy ją wykluczyć.

Propos, skoro tutaj mówimy o pilotach, to warto zaznaczyć, że pod koniec ostatniej wojny okolice Świebodzic niejednokrotnie były nawiedzane przez naloty samolotów alianckich i radzieckich. Głównym celem tych akcji były misje rozpoznawcze (głównie ze strony aliantów), jak też radzieckie naloty na cele strategiczne i wojskowe - np. na linię kolejową łączącą Jaworzynę Śląską z Wałbrzychem czy lotnisko polowe położone na północ od naszego miasta. Warto tutaj wspomnieć, że podczas tych nalotów doszło do dwóch **katastrof lotniczych**, które wydarzyły się w rejonie Świebodzic.

Pierwsze tego rodzaju zdarzenie miało miejsce 3 maja 1944 r., kiedy to na polach koło Witoszowa rozbił się amerykański bombowiec. Zaraz po tej katastrofie samolot ten został bardzo szybko otoczony przez szczelny kordon żołnierzy niemieckich, którzy nikogo do niego nie dopuszczali. W wypadku tym miało zginąć 3 pilotów amerykańskich, którzy pierwotnie pochowani zostali na terenie nieistniejącego już cmentarza w Słotwinie, a nieco później przeniesiono ich zwłoki na cmentarz garnizonowy w Świdnicy.

W kilka miesięcy po wojnie, w asyście dyplomacji ze Stanów Zjednoczonych, dokonano ekshumacji ciał amerykańskich żołnierzy. Świadkiem tego wydarzenia był wówczas jeden z mieszkańców Świdnicy - Jan Mielniczyn, który po latach wspominał to tak: *"W 1946 roku byłem przy ekshumacji z cmentarza garnizonowego, istniejącego niegdyś przy dworcu autobusowym PKS ciał amerykańskich żołnierzy. Pamiętam metalowe trumny, jakie przywieźli ze sobą Amerykanie i sporo funkcjonariuszy bezpieki kręcących się wokół. Z opowiadań osób z tego okresu wiem, że mówiono, iż są to piloci amerykańskiego samolotu, który rozbił się gdzieś koło Witoszowa"*.⁴⁰

⁴⁰ Amerykanie w Świdnicy, Tygodnik Świdnicki z 27.04.2009.

Niespełna rok później, na początku 1945 r., na przedpolach Świebodzic, doszło do kolejnej katastrofy lotniczej. Tym razem feralny los spotkał niemiecki transportowiec typu Junkers, który na skutek awarii silników rozbił się na polach pomiędzy Witoszowem a Mokrzeszowem. W zdarzeniu tym miało ponoć zginąć 11 żołnierzy niemieckich, którzy początkowo pochowani zostali na cmentarzu przy kościele katolickim w Witoszowie. W późniejszym czasie ich ciała zostały poddane ekshumacji i przetransportowane w głąb Niemiec, do miejsc z których się wywodzili.

Warto tu na koniec wspomnieć, że pomimo, iż oba zdarzenia były dość poważnymi katastrofami lotniczymi jakie kiedykolwiek wydarzyły się w okolicach naszego miasta, to jednak uchodzą one za jedne z najmniej poznanych i zbadanych epizodów wojennych tych okolic.⁴¹

X

W okresie ostatniej wojny światowej Świebodzice oddalone od wielkich działań militarnych o dobre kilkaset kilometrów, stanowiły dogodny teren do prowadzenia wszelkich prac zbrojeniowych i naukowo-badawczych przez III Rzeszę. Nic zatem dziwnego, że to właśnie w najbliższych okolicach naszego miasta oraz nieopodal położonego zamku Książ, hitlerowcy postanowili stworzyć centrum laboratoryjne, gdzie dokonywano tajemniczych eksperymentów militarnych. Wszystkie prowadzone tutaj badania były podpięte pod ściśle określony projekt, którego głównym celem było wyprodukowanie przez III Rzeszę supertajnej broni odwetowej.

Pierwsze **próby stworzenia śmiertcionośnej broni**, hitlerowcy podjęli się już w początkach 1942 r., kiedy to badaniom nadano nazwę "Thor", by następnie - od sierpnia 1943 r. - przekształcić ją w kryptonim "Chronos". Na ile niebezpieczne były to badania, może świadczyć fakt, że to właśnie w ich wyniku zmarło - na przełomie maja i czerwca 1944 r. - pięciu z siedmiu niemieckich naukowców, zaangażowanych w ten projekt. Po ich śmierci znacznie zaostrzono warunki bezpieczeństwa prowadzonych tutaj prób.

Centralnym przedmiotem nazistowskich badań było oczywiście tajemnicze urządzenie o nazwie "dzwon" (z niem. "die Glocke"). Przypominało ono swoim kształtem olbrzymi, ceramiczny cylinder o wysokości 2-2,5 m. i średnicy 1,5-1,8 m. Podstawową częścią tego urządzenia był umieszczony w jego obudowie wirnik, składający się z dwóch dysków wypełnionych rtęcią. Dyski te, zasilane energią elektryczną i obracające się z dużą prędkością w przeciwnych kierunkach, wytwarzały szkodliwe promieniowanie, które w odległości kilkudziesię-

⁴¹ Warto tu zaznaczyć, że w kwietniu 2009 r. pojawili się w Świdnicy dwaj członkowie specjalnej amerykańskiej misji, których celem było poszukiwanie grobów amerykańskich pilotów w Polsce, w tym również tych zestrzelonych w maju 1944 r. w okolicach naszego miasta, a których obecnie uznaje się za zaginionych.

ciu metrów siało prawdziwe spustoszenie. Jego siła powodowała, że po uruchomieniu strzelały wszystkie żarówki w promieniu 70 m., odbarwiały się niektóre materiały oraz następowała koagulacja (krzepnięcie) krwi. Nie dziwi zatem fakt, że próby zastosowania tego urządzenia w okolicach Świebodzic, w okresie ostatniej wojny, spowodowały zmiany w lokalnym ekosystemie leśnym. Przez długi okres las w pobliżu naszego miasta był na tyle skażony, że omijała go wszelaka zwierzyna oraz ptactwo.

Do swoich badań niemieccy naukowcy używali dość dziwnie brzmiącej substancji IRR XERUM 525, w skład, której wchodziły takie pierwiastki jak tor i beryl. To właśnie ta substancja, o konsystencji lekko ściętej galarety, wypełniała ceramiczny pojemnik we wnętrzu "dzwonu", którego rotacja wytwarzała wyrażną niebieską poświatę. Pomimo tak skonstruowanego urządzenia, badaczom przeszłości do dziś nie udało się ostatecznie wyjaśnić w jaki sposób niemieccy naukowcy weszli w posiadanie tego typu technologii. Nie mniej takie zastosowanie wskazuje na pracę nad pozyskaniem źródła napędu nowych obiektów latających.

Badania związane z projektem "Chronos" w okolicach Świebodzic, przybrały bardzo szczególny charakter. Nic więc dziwnego, że określano je mianem "najtajniejszego projektu III Rzeszy", którego - wedle podań - miały strzec trzy szczelne pierścienie żołnierzy SS. Sam przebieg prób badawczych odbywał się w następujący sposób: *w pobliżu dzwonu ustawiano zestawy organizmów żywych np.: jaszczurki, myszy, szczury, żaby, owady, ślimaki. Ustawiano także szereg roślin: mchy, paprocie, bluszcze, oraz substancje organiczne: białko, krew, mięso, mleko. Podczas badań odkryto, że na wszystkich w/w formach tworzyły się nieokreślone formy krystaliczne. Szczególnym zmianom ulegały rośliny zielone, w pierwszej fazie obejmującej do około 5 godzin po zakończeniu badań następowało ich bielenie lub szarzenie, rozkład lub zanik chlorofilu. Taka roślina przez okres utajnionych zmian rzędu tygodnia żyła normalnie. Następnie następował błyskawiczny rozkład do postaci mazistej bez zapachu typowego dla gnicia.*

Oczywiście lasy w pobliżu Świebodzic i zamku Książ nie były jedynym miejscem, gdzie hitlerowcy realizowali swój tajny projekt badawczy. Prawdopodobnie podobne eksperymenty były prowadzone także w Ludwikowicach Kłodzkich, Głuszycy, Walimiu i Rzecze. Ich zakres z całą pewnością przyniósł germańskim naukowcom pewien sukces, skoro wspominają o tym niektóre źródła niemieckie. To właśnie na ich podstawie możemy się dowiedzieć o latających pojazdach typu "Vril" i "Haunebu", które miały osiągać prędkość nawet do 6000 km/h.

Dziś nie wiadomo, co stało się z efektami projektu Chronos po zakończeniu II wojny światowej. Jedna z pogłosek mówi, że hitlerowcy całość prowadzonych badań mieli przenieść za Atlantyk - do Argentyny, inna natomiast teoria głosi, że zostały one ewakuowane do tajnych baz niemieckich na Antarktydzie,

gdzie miano nadal kontynuować prace eksperymentalne. W każdym bądź razie nie ma na dzień dzisiejszy jednoznacznych dowodów na ten temat.

Chęć zapoznania się z niemieckimi eksperymentami, prowadzonymi na Dolnym Śląsku podczas ostatniej wojny, przejawiała również polskie oraz radzieckie władze, toteż po zakończeniu działań wojennych, NKWD powołało specjalną misję wojskową, której zadaniem było zbadanie zamierzeń tajemniczego projektu Chronos. Misji tej przewodniczył gen. Ludowego Wojska Polskiego Jakub Prawin (1901-1957) oraz płk. Władysław Szymański. Przesłuchali oni w tej sprawie jeńców oraz oficerów niemieckich, których zeznania potwierdziły i wyjaśniły w pewnej mierze zakres tajemniczych badań prowadzonych przez III Rzeszę. Oczywiście dla utajnienia prowadzonego śledztwa, wszystkie dokumenty *"spisywano bez pomocy tłumacza i maszynistki, a następnie przesyłano specjalnym kanałem do Bieruta"*.

Ludzie, którzy z ramienia NKWD zaangażowani zostali po wojnie w śledztwo nad projektem Chronos, zginęli w tajemniczych okolicznościach (np. gen. Prawin w niewyjaśniony sposób utonął w Wiśle dn. 7 lipca 1957 r.). Niemniej zebrane przez nich informacje, stanowią dziś główne źródło do poznania jednego z najbardziej tajemniczych projektów badawczo-militarnych, jaki był realizowany przez hitlerowców podczas ostatniej wojny na terenie Dolnego Śląska, w tym również w okolicach naszego miasta i zamku Książ.

XI

Dziś trudno dojść do wniosku, czy mieszkańcy naszego miasta mieli kiedykolwiek możliwość zaobserwowania tajemniczych eksperymentów, jakie podczas ostatniej wojny przeprowadzali niemieccy konstruktorzy pod zamkiem Książ. Oczywiście – ze względu na tajność prowadzonych badań, wydaje się to mało realne, aby ktokolwiek z zewnątrz mógł bez przeszkód stać się świadkiem zachodzących tutaj tajemniczych wydarzeń, chociaż – jak wspominają niektóre przekazy – w Sudetach zdarzały się wypadki zaobserwowania przez całkiem przypadkowe osoby tajemniczych obiektów na niebie. Czy były to jednak próby przeprowadzane przez hitlerowców nad pozyskaniem super tajnej broni militarnej? Dziś trudno odpowiedzieć na to pytanie. A propos, kiedy już mówimy o niewyjaśnionych zjawiskach na niebie, to warto tu wspomnieć o pewnym przypadku, który ponad 200 lat temu został zauważony w pobliżu miasta.

Dnia 21 stycznia 1803 r. mieszkańcy Świebodzic oraz okolicznych miejscowości zaobserwowali niewiarygodne zjawisko na niebie. Duży płonący przedmiot z olbrzymią prędkością zbliżał się do Ziemi. Jego lot był na tyle widoczny, że świadkowie tego zdarzenia słyszeli świszczący głos nad swoimi głowami. Potem tajemnicza materia uderzyła z impetem w naszą planetę i zaczęła płonąć. Rankiem, następnego dnia, w miejscu jej uderzenia znaleziono specyficzną sub-

stancję o konsystencji galarety, która w literaturze przedmiotu potocznie nazywana jest "anielskimi włosami".

Oczywiście dziś nie ma wątpliwości, że chodzi tu o **meteoryt**, który w początkach XIX stulecia przedarł się przez atmosferę ziemską i wzbudził wielkie zainteresowanie wśród naocznych świadków tego zjawiska. Zastanawiający jednak wydaje się fakt pochodzenia ów specyficznej formy materii, jaka została znaleziona w okolicach Świebodzic po upadku meteorytu. Jak dotąd nikomu nie udało się jednoznacznie i przekonująco wyjaśnić, pochodzenia tajemniczej substancji, potocznie nazywanej "anielskimi włosami" (z ang. angel hair, star jelly lub star slough), której galaretowata i ciągliwa konsystencja oraz szklisty połysk wzbudziły tyle zainteresowania wśród mieszkańców tych okolic.

Zainteresowani tematem „anielskich włosów” starali się interpretować to zjawisko na wiele sposobów, począwszy od resztek zgniłych roślin i porostów, a skończywszy na zanieczyszczonym błocie, mule, czy nawet pozostałościach po niezidentyfikowanych obiektach latających, które miały lądować na obrzeżach Świebodzic (?). Jak pisze jeden z autorów, badających to zjawisko: *można tego dotknąć, ale nie można tego trzymać, gdyż natychmiast sublimuje, rozptywa się w nicość. Można to zobaczyć, ale niekiedy nie ujawnia się na fotografiach. Wygląda jak pajęczne sieci, ale nie ma pająków które mogłyby wyprodukować taką nić (...)* Zdarza się, że *anielskie włosy zasypują całe miasto, a innym razem pojawiają się wewnątrz domów. Mogą opadać w tak wielkiej ilości, że pokrywają całe samochody czy boiska, ale też mogą pojawić się w pojedynczych nitkach przypominających babie lato (...)* Niektórzy ludzie zdołali zachować próbkę *anielskich włosów, zanim się rozptynęły w nicość. Znaleźli się nawet tacy, którzy zapłacili laboratorium za przebadanie ich, i często okazywało się, że są one zbudowane z krzemu, magnezu, wapnia i boru. Jednak źródło substancji za każdym razem pozostawało nieustalone. Składniki chemiczne anielskich włosów występują powszechnie na Ziemi, ale sama substancja stanowi anomalię, której pochodzenia jeszcze nie udało się określić.*⁴²

Nie mniej zjawisko tzw. "anielskich włosów" z okolic Świebodzic, wprawdzie mało znane i opisywane w polskiej literaturze, znalazło za to szeroki odzew w anglojęzycznych publikacjach przedmiotu. Zresztą jest to jeden z pierwszych znanych przypadków znalezienia tego rodzaju pozostałości po obiekcie pozaziemskim na naszej planecie.

XII

Świebodzice były tym miastem, któremu udało się szczęśliwym trafem ominąć wielkich zniszczeń w okresie II wojny światowej. Linia frontu zatrzymała się tuż przed granicami naszego miasta, dzięki temu Armia Czerwona bez przeszkód zajęła Świebodzice. Takiego szczęścia nie miał natomiast pobliski Strze-

⁴² www. Zjawiska niewyjaśnione: anielskie włosy;

gom, który w wyniku zacieklej walk toczonych o miasto, został zniszczony niemal w 70%.

Wojska radzieckie, które w maju 1945 r. wkroczyły na te tereny, chyba najbardziej zatrważający widok zastały na zamku Książ. Walające się trupy pomordowanych więźniów tutejszego komanda, były świadectwem dość ponurej historii tych okolic w okresie ostatniej wojny. Naoczni nieliczni świadkowie tamtych wydarzeń zeznają, że nawet w ostatnią noc przed wtargnięciem Armii Czerwonej (tj. 9 maja), w podziemiach zamkowych można było usłyszeć głucho detonacje ładunków wybuchowych. Prowadzone tutaj prace maskujące miały za zadanie przysłonić największe wojenne tajemnice zamku Książ.

Okupacja pomieszczeń zamkowych przez wojska radzieckie trwała trzynaście miesięcy. W tym też to czasie rozpoczęła się masowa wywózka zdobyczy wojennych przez Rosjan na wschód. Praktycznie to, czego nie udało się zniszczyć hitlerowcom w okresie trzyletniej rabunkowej gospodarki na Książu, reszty dokonały wojska radzieckie. „*Gospodarka Rosjan – jak pisał w 1946 r. w swoim raporcie do Ministerstwa Kultury i Sztuki Stefan Styczyński – polegała głównie na przygodnym wywożeniu cenniejszych rzeczy, co jednak nie miało charakteru akcji zorganizowanej z góry. Wywożono meble, obrazy, dywany, rzeźby, itp. Dopiero w styczniu 1946 r. zjechała komisja złożona z wyższych oficerów kwatery marszałka Rokossowskiego, która dokonała przeglądu całości. W kilka dni po odjeździe komisji rozpoczął się zorganizowany wywóz na wielką skalę, który w lutym objął bibliotekę, w marcu i kwietniu resztę ruchomości.*”⁴³ Tak oto ogołocony do cna zamek przekazano w czerwcu 1946 r. władzom polskim.

Pomimo upływu dość sporego czasu od zakończenia ostatniej wojny, nikomu nie udało się do dziś ustalić, co tak naprawdę wywieźli z Książa Rosjanie? W posiadaniu jakich tajemnic znalazła się Armia Czerwona po wkroczeniu na te tereny w 1945 r.? Nie wiemy również dlaczego, aż do ostatnich dni wojny, hitlerowcy zadali sobie tyle trudu, aby zamaskować i utajnić wszelkie prace prowadzone w podziemiach zamku Książ? Czy skrywane tutaj wszelakie tajemnice są na tyle istotne, że mają ogromne znaczenie nawet w dzisiejszych czasach?

Pytania te nurtują wielu współczesnych badaczy wojennych losów Książa i jego okolic. Są przesłanki do tego aby sądzić, że w podziemnych korytarzach⁴⁴ pod Książem znajduje się masowy grób tysięcy pomordowanych więźniów, którzy brali udział we wszelakich pracach budowlanych i badawczych. Druga z hipotez mówi nam o cennych maszynach, urządzeniach i projektach, które mogły być tutaj ukryte podczas ostatniej wojny. Panują również i takie opinie, które mówią nam, że w podziemiach Książa hitlerowcy mogli ukryć wiele drogocennych kosztowności i dzieł sztuki, które zostały przez nich skradzione w wielu podbitych krajach Europy.

⁴³ J. Rostkowski: *Zamek Książ- zapomniana tajemnica*, Warszawa 2009, s. 57

⁴⁴ Są dowody na to, że pod Książem istnieją cztery kondygnacje podziemi, które łączą ze sobą „stary”, jak i „nowy” Książ.

Tak więc dziś nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że podziemia pod Książem skrywają mroczne zagadki z nieodległej przeszłości, których rozwiązanie stanowi nie lada wyczyn. Być może rąbek tutejszej tajemnicy udało by się uchylić dzięki fachowej eksploracji książańskich podziemi, ale czy przyniosło by to ostateczną odpowiedź na stawiane w tej kwestii pytania? Sądzę, że bez odtajnienia niemieckich, amerykańskich, angielskich i rosyjskich archiwów, nie uda nam się w zupełności rozwikłać drastycznych tajemnic zamku Książ z okresu II wojny światowej. Jednak aby tego w pełni dokonać, trzeba jeszcze trochę poczekać.

XIII

Tak się właśnie złożyło, że Dolny Śląsk – który po ostatniej wojnie przypadł Polsce, był także tą krainą, gdzie masowe i planowe wysiedlenia ludności niemieckiej przybrały wyraźnie na sile. Nic zatem dziwnego, że również tutaj - na Dolnym Śląsku – prężnie działały **grupy niemieckiego ruchu oporu** (zazwyczaj znane jako **Werwolf**), których głównym celem było ograniczanie akcji wysiedleńczej żywiołu niemieckiego oraz przeciwstawianie się osadnictwu polskiemu i polskiej administracji na nowo odzyskanych Ziemiach Zachodnich.

Pierwsze ogniwa niemieckiej partyzantki zostały związane na Pogórzu Sudeckim już w 1944 r. To właśnie Sudety, ze względu na swoje naturalne warunki góryste, były tym miejscem, gdzie niemiecki ruch oporu działał najaktywniej. Zaczęły powstawać pierwsze magazyny broni, gromadzono materiały wybuchowe i środki łączności. Powstawały również pierwsze, tajne ośrodki szkolenia przywódców i rodzajów dywersji. Dewizą Werwolfu było: „Dienst Halten” (pełnić służbę). Hasło: „Heil Wolf” (cześć wilkowi), odzew: „Und der Freiheit” (i wolność). Zawołanie rozpoznawcze w akcji: „schlag tot, schlag tot, schlag alle tot” (zabij, zabij, wszystkich zabij).⁴⁵

W skład niemieckiego podziemia wchodził szereg mniejszych i większych organizacji, nie mających często ze sobą żadnego powiązania ani zcentralizowanego kierownictwa. W sumie przypuszcza się, że na Dolnym Śląsku w latach 1945-1948 niemiecki ruch oporu był szacowany na około 1000 członków, a główne jego działania były skierowane przeciwko ludności polskiej i nowej administracji. Niejednokrotnie na tym tle dochodziło do wielu walk zbrojnych pomiędzy leśnymi bandami niemieckiego podziemia a oddziałami UB, MO oraz wojska polskiego. Werwolf bardzo często stosował w swoich zamierzeniach taktykę „spalonej ziemi”, czyli masowy sabotaż i dywersję.

Działania niemieckiego ruchu oporu miały również miejsce w okolicach Świebodzic. W powiecie świdnickim działała m.in. osławiona dziesięcioosobowa grupa byłego SS-mana Horsta Hoffmana, wchodząca w skład niemieckiej organizacji podziemnej „Freies Deutschland” („Wolne Niemcy”). Jej głównym

⁴⁵ M. Sodela: *W walce o ład i bezpieczeństwo na Dolnym Śląsku w latach 1945-1948*, Wrocław 1979;

zadaniem było tworzenie komórek terrorystycznych i nawoływanie do wystąpień antypolskich. Członkowie tej grupy chronili się w okolicznych lasach i kamieniołomach, a wspierani byli przez miejscową ludność niemiecką, z której się wywodzili.

Przez cały 1946 r. trwały zaciekle zmagania z niemieckim Werwolfem na Pogórzu Sudeckim. Jednak w miarę upływu czasu działania niemieckich sabotażyistów stopniowo słabły, tak więc już w 1947 r. dało się zaobserwować tylko nieliczne oddziały leśne o zdemoralizowanym obliczu, nastawione głównie na rabunek i gwałt. Do jednej z ostatnich walk z niemieckim ruchem oporu w okolicach Świebodzic doszło w 1948 r. na terenie ruin Starego Zamku Książ, kiedy to grupa radzieckich żołnierzy, stacjonująca w tych okolicach, stoczyła walkę z niedobitkami Werwolfu. W walce tej brał udział niejaki Iwan Końkow, który po latach tak relacjonował to wydarzenie: *Pewnego dnia żołnierze (radzieccy) spostrzegli dwóch ludzi kręcących się wśród gaju zawsze zielonych rododendronów. Wezwani do zatrzymania czmychnęli w chaszczę, ostrzeliwując się (...) Uciekający kluczyli, ale gdy pierścień zacieśnił się, zniknęli na terenie „starego zamku”. Kilku żołnierzy dotarło na dziedziniec, ale tu dostali się pod silny ogień ręcznej broni maszynowej (...) W pewnym momencie nastąpił potężny wybuch. Ściany gotyckich ruin zakotłosały się i zwały na dziedziniec, który siłą podziemnego wybuchu zafalował i zapadł się (...) Werwolf, działający na tych terenach, nie został jeszcze rozbity i to prawdopodobnie jego członkowie otrzymali polecenie zamknięcia wybuchem wejść do podziemnych labiryntów kryjących tajemnice niemieckich badań w Książu.*⁴⁶

Jak długo Werwolf działał w okolicach naszego miasta? Dziś trudno powiedzieć. Są jednak zwolennicy lokalnej przeszłości, którzy są skłonni przyznać, że tajna organizacja niemieckiego ruchu oporu przetrwała w Sudetach do dziś. To tzw. współcześni strażnicy tajemnic planu „Riese”⁴⁷, których zadaniem jest strzec owianych tajemnicą miejsc, gdzie w okresie II wojny światowej hitlerowcy dokonywali niewyjaśnionych do dziś badań i eksperymentów.

XIV

Pierwsze powojenne lata nie były łatwe dla przybywających tłumnie do miasta nowych osadników polskich. Polityczna walka o władzę, szalejąca epidemia tyfusu (o której pisałem już wcześniej), czy szaber ponemieckiego mienia, przeplatały się z codziennym brakiem produktów pierwszej potrzeby. Brakowało żywności, wzrastały problemy mieszkaniowe, niewystarczające było również zaopatrzenie Świebodzic w zdatną wodę do picia. Mijały miesiące a sytuacja

⁴⁶ J. Rostkowski: *Zamek Książ- zapomniana tajemnica*, Warszawa 2009, s. 66;

⁴⁷ Po Sudetach do dziś krążą legendy o strażnikach tajemnic projektu „Riese”. Mianem tym określa się często osoby narodowości niemieckiej – rzekomo mające utrzymywać kontakty ze strukturami Werwolfu bądź członkami samodzielnych niemieckich grup konspiracyjnych – które po wojnie pozostały na tym obszarze, aby strzec tajemnic militarnych.

aprowizacyjna w mieście raczej nie poprawiała się. Ciężkie czasy przyszły także z początkiem lat 50-tych, w okresie mrocznego "stalinizmu", którego głównym przejawem były m.in. represje wobec przeciwników politycznych, czy też **brutalna kolektywizacja wsi**. Już w 1950 r. zaczęto wdrażać w gospodarce PRL-u plan 6-letni (1950-1955), który w znacznym stopniu zaważył na sytuacji polskiej wsi. Koszty rozwoju przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego ponosiło rolnictwo, które obciążone wysokimi podatkami i zmuszane obowiązkowymi dostawami produktów do miast, tj. mięsa, zboża, mleka, przyczyniało się do stopniowego załamywania produkcji rolnej. Chłopi zmuszani byli do odsprzedawania swoich plonów państwu po cenach o wiele niższych niż na rynku. Szczególny charakter przybrała tutaj tzw. kolektywizacja wsi, polegająca na pozbawianiu chłopów ziemi i zamykaniu ich w PGR-ach oraz dobrowolnych spółdzielniach produkcyjnych.

Główne postanowienia dotyczące kolektywizacji, zapadły już w 1948 r., na żądanie przywódcy ZSRR - Józefa Stalina. Jednak jej największy przejaw nastąpił w 1951 r. Oczywiście władza ludowa w Polsce liczyła się z tym, że nie będzie to łatwe zadanie. Wiedziano, że największy sprzeciw postawią chłopi, którzy mają najlepiej prosperujące gospodarstwa rolne. Mimo tego władza postanowiła działać, stosując wobec najbardziej opornych przemoc i terror. Chłopom, którzy dobrowolnie nie chcieli poddać się akcji zrzeszania w PGR-ach, rekwirovano siłą zboże i trzodę chlewną, zabierano ziemię oraz zabudowania gospodarcze. Niejednokrotnie też zastraszano ich i bito. Wielu z nich zsyłano do obozów pracy, mając nadzieję, że to przełamie ich opór. Szeroko stosowano również środki propagandy państwowej, przekonując społeczeństwo, że "kułacy" (tj. bogaci chłopi) ukrywają i niszczą swoje plony, tylko po to by nie oddać ich państwu. Jak głosiła władza ludowa: *Spółdzielnie miały być dobrowolne dla "biedniaka" i "średniaka"*. Jednak sprzeciw chłopów przeciwko kolektywizacji rósł, a najbardziej przeciwni temu byli rolnicy indywidualni, którzy za wszelką cenę próbowali bronić swojej własności prywatnej.

Wiosną 1951 r. w okolicach Świebodzic doszło do zajść, które dość głośnym echem odbiły się w Polsce. Mowa tu o tzw. sprawie wrocławskiej, gdzie podczas rekwirowania ziemniaków w powiecie świdnickim, władze Wrocławia posłużyły się zmotoryzowanymi oddziałami Armii Radzieckiej, by siłą odebrać rolnikom plony. Chłopi stawili jednak silny opór. Zaczęły się starcia, polała się krew. W następstwie tej brutalnej represji kilku rolników zginęło. Oczywiście brutalna akcja władz wrocławskich nie była jedynym występkiem jaki wtenczas można było zaobserwować na terenie Polski. Do równie brutalnych form represji wobec rolników dochodziło w całym kraju (najgłośniejsza była w Gryficach na Pomorzu). Akcje te spowodowały falę ogólnego oburzenia w społeczeństwie oraz doprowadziły do powszechnego występowania chłopów ze spółdzielni rolniczych.

Przymusowe wywłaszczenia rolników, nie były oczywiście jedynym wydarzeniem w tym okresie, które zapisało się dość ponuro w historii tych okolic. Do również dramatycznego w losach zdarzenia doszło na terenie Świebodzic w lutym 1954 r., kiedy to **nieopodal stacji kolejowej zderzyły się ze sobą dwa pociągi - towarowy z osobowym.**⁴⁸

Poranek 24 lutego 1954 r. wcale nie zapowiadał nieszczęścia jakie niebawem tego dnia miało się wydarzyć w naszym mieście. Planowe kursy pociągów – pomimo zimowej pory – przebiegały dość sprawnie przez Świebodzice. Tak było przynajmniej do czasu, kiedy przed godziną 10.00, przed południem wyruszył z Wałbrzycha w swój tragiczny kurs pociąg towarowy o nr 3388. Problemy z feralnym parowozem, który ciągnął cały skład towarowy, zaczęły się zaraz po opuszczeniu stolicy Zagłębia Wałbrzyskiego. Niezbyt sprawny układ hamulcowy sprawiał, że maszynista nie mógł w pełni kontrolować osiąganego prędkości przez maszynę, toteż około godziny 10.12 rozpędzony pociąg minął stację kolejową w Świebodzicach i wszedł tuż za nią w niebezpieczny ostry zakręt. Pech chciał, że akurat na tym wirażu parowóz ciągnący skład towarowy z Wałbrzycha zaczął mijać się z nadjeżdżającym z przeciwka pociągiem osobowym (nr 6631). Tutaj też nastąpił tragiczny finał podróży obu pociągów. W pewnym momencie wykoleiły się pierwsze wagony ze składu towarowego, które z ogromną siłą uderzyły w bok pociągu nadjeżdżającego od strony Jaworzyny Śląskiej. Wedle relacji siła uderzeniowa miała być tak potężna, że ogromne kłody drewna, które były przewożone przez skład towarowy, z niszczycielską siłą zgniatały wagony osobowe. W katastrofie tej zginęło 7 osób (3 pracowników kolei i 4 pasażerów),⁴⁹ a około 40 zostało poważnie rannych (w tym 22 osoby znalazły się w stanie krytycznym i bardzo ciężkim). Niemal całkowitemu zniszczeniu uległo 5 wagonów osobowych oraz jeden z parowozów.

Wieści o głośnym wypadku koło dworca kolejowego bardzo szybko obiegły całe miasto. Wielu mieszkańców z trwogą kierowało się w stronę miejsca zdarzenia, mając nadzieję zobaczyć ogrom wypadku. Jednak bez skutku. Szczelny kordon wojska, jaki otoczył świebodzicką stację, uniemożliwiał skuteczne przedostanie się osób niepożądanych. O skutkach tej tragedii zdawały się jedynie informować karetki pogotowia, które nieprzerwanie przetaczały się przez miasto.

W akcji niesienia pomocy rannym i poszkodowanym w tym tragicznym wypadku brała udział m.in. Zofia Marzec-Nossel, która po latach tak wspominała ten dzień: *24 lutego 1954 roku zaczął się jak każdy. Tak jak codziennie, rozpoczęłam dzień pracy w przychodni przyzakładowej. Pracowałam tam zaledwie od pięciu miesięcy jako felczer. Od początku mojej pracy szkoliłam drużynę sanitarną, składającą się z około 30 młodych kobiet i kilkunastu mężczyzn ochotni-*

⁴⁸ O tragicznym wypadku kolejowym z 1954 r. pisałem już w swojej poprzedniej książce: *Największe tajemnice Świebodzic*, jednak ze względu na nowe fakty w tej sprawie, chcę przybliżyć ten temat Czytelnikom jeszcze raz.

⁴⁹ Dane o ofiarach wypadku zaczerpnąłem z *Dzienników wypadków*, przechowywanych z Jaworzynie Śląskiej. Są jednak opinie, że ofiar tego zdarzenia mogło być znacznie więcej.

ków zarówno z Rafio □ jak i z Fabryki Mebli. Nigdy nie pomyślałam, jak bardzo już wkrótce owo szkolenie będzie potrzebne, gdy tak blisko rozegra się straszliwa tragedia, o której nawet dziś, choć minęło 55 lat, opowiadać nie jest mi łatwo...

Około godziny 11.00 przechodziłam z Fabryki Mebli do Rafio. Do dworca kolejowego zbliżały się z przeciwnych stron dwa pociągi: pośpieszny z Warszawy i towarowy od strony Wałbrzycha. Na platformach pociągu towarowego leżały ogromne pnie drzew spięte łańcuchami. Oba pociągi mijaly zakręt, gdy nagle owe potężne bale, uwolnione z zabezpieczeń, uderzyły z niebywałą siłą w wagony pociągu osobowego wypełnione podróżnymi. Widziałam to na własne oczy i obraz ten pozostanie ze mną na zawsze, bo widzę go wciąż dokładnie, choć minęło ponad pół wieku. Wagony towarowe stawały pionowo, jak lekkie zabawki. Pnie drzew toczyły się po torowiskach, inne uderzały w wagony osobowe, przecinając wagon sypialny, I klasy i częściowo trzeci wagon, niszcząc lokomotywę. Te wagony stały jakby wciśnięte w ziemię a wejścia do nich znalazły się na poziomie chodników peronu, boczne ściany zostały oderwane i zmiażdżone. Pasażerowie, którzy stali na korytarzu, zginęli. W przedziałach ławki z prawej i lewej strony były prawie złączone ze sobą. Wszyscy ludzie znajdujący się w przedziałach doznali otwartych złamań i bardzo ciężkich obrażeń. Słyszałam rozpaczliwe, pełne bólu krzyki ludzi. Wbiegłam do zakładu i natychmiast rozpoczęłam organizowanie akcji ratunkowej, w czym pomogła ogromnie ówczesna Pani dyrektor. Gdy z drużyną ratowniczą dobiegliśmy na miejsce katastrofy, część rannych została już wyniesiona i ułożona obok rozbitych wagonów. Zabitych ułożono w szeregu. Widok był makabryczny. Ofiary katastrofy wynosili młodzi mężczyźni, jednakowo ubrani. Gdy zorientowali się, że przybywa pomoc, wszyscy zniknęli cicho i niewiadomo kiedy. Dopiero potem okazało się, że byli to więźniowie lotnicy, których wieziono do pracy w kopalni uranu w Kowarach. Pasażerowie z nieuszkodzonych wagonów udali się (jak mi potem powiedziano) do kościoła, aby podziękować Bogu za uratowanie życia.

Trzeba było natychmiast zająć się rannymi. Leżeli na ziemi, wszyscy z otwartymi ranami, z wystającymi ułamkami kości, w pozycji podkurczonych nóg. W takich pozycjach musieli być wyciągani spomiędzy zaciśniętych ławek, które ich okaleczyły. Do ułożenia ich na twardym podłożu użyliśmy drewnianych palet tzn. surowych drzwi montowanych w sąsiednich zakładach mebli, znoszonych przez robotników. Trzeba było też jak najszybciej zatamować krwotoki z rozrywanych tętnic. Nie mieliśmy jednak odpowiednich opasek. Użyłam do tego pończoch, które kobiety z Rafio zdjęły z nóg. Pamiętam jakby to było wczoraj mężczyznę biegnącego z naręczem damskich pończoch. Co 10-15 minut podchodziłam do rannych, by zwolnić ucisk, umożliwić przepływ krwi. Przypominały mi o tym pielęgniarki zatrudnione w Fabryce Mebli i Rafio. Każdy z rannych otrzymywał leki przeciwbólowe i uspokajające, które dostarczała apteka ze Świebodzic.

Po 30-40 minutach zaczęły przyjeżdżać karetki, było ich bardzo dużo. Stały w długim szeregu, czekając na swoją kolej, ale żaden z lekarzy nie wysiadł z samochodu i nie pomógł mi przy rannych. Do dziś nie wiem dlaczego, tak jak nie wiem, dlaczego nie uzyskałam pomocy od dwóch lekarzy, ordynujących wówczas w Świebodzicach. Akcja ratownicza zakończyła się około godziny 16. Ranni odjechali do pobliskich szpitali, każdy przygotowany do transportu, unieruchomiony na drewnianej palecie, z opaską uciskową poniżej krwawiących ran podudzi, z wałkiem pod podkurczonymi nogami. Te wałki kobiety zrobiły z kornopi dostarczonych z pobliskiego Defalinu i tkanin z Rafio. Jeszcze raz potrzeba stała się matką wynalazków. Zabitych przewieziono do kaplicy cmentarnej.

Zapadał wczesny zmierzch i po pewnym momencie zorientowałam się, że jestem sama, jakby na polu bitwy. Podszedł do mnie jakiś kolejarz i zapytał, czy chcę zobaczyć lokomotywę? Poszłam za nim i ujrzałam widok tak przerażający, że nie mogę go opisać. Mogę tylko powiedzieć tyle, że lokomotywa została zgnieciona jak harmonijka, a przecież wewnątrz też byli ludzie. Na miejscu tragedii nikogo już nie było. Wracałam do domu na ulicę Pstrowskiego (dziś Skłodowskiej), w ubraniu przesiąkniętym całkowicie ludzką krwią. Nikt nie okrył mnie nawet prześcieradłem. Nie poszłam do mojego mieszkania, ale do sąsiadek, Pani Zofii i Lucyny Szable. One przygotowały mi kąpiel i rozebrały ze sztywnego od ludzkiej krwi ubrania, które potem spalono. Dopiero druga kąpiel pozwoliła mi się dokładnie umyć, pierwsza woda była czerwona od krwi. Potem zaprowadzono mnie do pokoju, gdzie było przygotowane łóżko ze świeżą pościelą i termoforem pod kołdrą. W pokoju było ciemno, odchyliłam kołdrę i usiadłam na tym termoforze i wydało mi się, że usiadłam na głowie człowieka, którą odciętą od tułowia trzymałam w rękach na peronie. Krzyknęłam przeraźliwie i wtedy dopiero dostałam ataku płaczu. Myślę, że miałam szczęście, gdyż ze łzami spłynęło całe niewyobrażalne napięcie, w jakim byłam, od momentu zetknięcia się z ofiarami wypadku.⁵⁰

Dziś jedyną pamiątką po tamtym tragicznym wypadku jest zapewne nazwa zakrętu kolejowego, jaki znajduje się na około 57,5 km trasy Wrocław-Wałbrzych. Przylgnęła do niego dość charakterystyczna nazwa – zakręt śmierci, która dla wielu najstarszych mieszkańców naszego miasta na zawsze będzie się kojarzyć z dramatycznym epizodem z 1954 r.

Wczesnym rankiem 11 listopada 1978 r. całe Świebodzice – niczym lot błyskawicy – obiegła kolejna tragiczna wiadomość. Tym razem rzecz dotyczyła **pożaru jednego z mieszkań, który wybuchł ostatniej nocy w trzypiętrowej kamienicy przy ulicy Towarowej**. W wyniku tego zdarzenia do miejscowego szpitala trafiło pięć mocno poparzonych osób, których stan lekarze oceniali na bardzo krytyczny. Niestety większości z nich nie udało się uratować. Jeszcze

⁵⁰ Traumatyczne wspomnienia Zofii Marzec-Nossel zostały już wcześniej opublikowane w: A. Rubnikowicz: *Świebodzice- dzieje miasta*, maj 2009, a także na stronie internetowej: www.Dolny.Slask.org.pl;

tego samego dnia, w wyniku ciężkich poparzeń, zmarł 16-letni Andrzej Stokłosa. W dwa dni później zmarły kolejne dwie osoby – właściciel mieszkania, 47-letni Stefan Stokłosa, a także jego 12-letnia córka Małgosia. W wyniku wizji lokalnej, którą w dniu tragedii przeprowadzili funkcjonariusze MO, w spalonym lokalu znaleziono kolejne zwęglone zwłoki, tym razem 17-letniego Heńka Stokłosa. Była to już czwarta ofiara tragicznej nocy z 10 na 11 listopada. Ale na tym nie koniec. Lekarzom nie udało się również uratować żony właściciela mieszkania – Janiny, która na wieść o śmierci swojego męża i trójki dzieci, dostała silnego wstrząsu psychicznego i zmarła w nocy z 29 na 30 listopada. Z rodzinnej tragedii udało się jedynie ocalić 83-letniej kobiecie, która była matką właściciela lokalu.

W wyniku przeprowadzonego śledztwa oraz zeznań jeszcze wówczas żyjącej Janiny, udało się bardzo szybko ustalić, że pożar w kamienicy nie był dziełem przypadku, lecz celowego podpalenia. Jak się później okazało, za całym tym zbrodniczym procederem stał sąsiad rodziny Stokłosów – Henryk Słowik, który w swoim życiu miał już niejednokrotnie zatarg z prawem. Był on wcześniej karany za napady, włamania oraz nielegalne posiadanie broni. Oczywiście po tragicznym pożarze, oskarżony o podłożenie ognia Słowik, przepadł jak kamień w wodę. W związku z tym rozpoczęły się jego poszukiwania. Już w grudniu 1978 r. na antenie TV można było w całej Polsce zobaczyć komunikat wraz ze zdjęciem poszukiwanego. Niestety nie przyniosło to pożądanego efektu. Oskarżony o spowodowanie groźnego pożaru w Świebodzicach i śmierć 5-ciu osób dość skutecznie się ukrywał, a funkcjonariusze MO nie mogli wpaść na jego trop. Sądzono nawet, że mógł zbiec za granicę. Wydawałoby się, że sprawa wyjaśnienia tragicznego epizodu w naszym mieście nigdy nie zostanie przeprowadzona do końca. Tak się jednak nie stało. W marcu 1980 r. został zatrzymany na terenie Bochni pewien mężczyzna, oskarżony o dokonanie włamania do jednego z budynków w tym mieście. W momencie zatrzymania nie posiadał on przy sobie żadnych dokumentów, dlatego władzom MO trudno było określić początkowo jego tożsamość. Tym bardziej, iż zatrzymany w ogóle nie przyznawał się do tego kim tak naprawdę jest. Z pomocą przyszła dopiero metoda określania linii papilarnych. Okazało się, że są one identyczne z odciskami palców pozostawionymi podczas tragicznego pożaru w Świebodzicach. Dzięki temu Henrykowi Słowikowi zarzucono nie tylko dokonanie włamania na terenie Bochni, ale również został on obarczony śmiercią całej rodziny Stokłosów.

Pomimo stawianych mu zarzutów, oskarżony nigdy nie przyznał się do winy, tłumacząc się tym, że w kamienicy musiało wtedy dojść do niekontrolowanego wybuchu gazu. Dziś już jednak wiadomo, że podłożem tamtego dramatycznego zdarzenia w naszym mieście był sąsiedzki zatarg między poszkodowaną rodziną a oskarżonym Henrykiem Słowikiem. Chodziło w nim o prawo do jednego z mieszkań przy ulicy Towarowej, które opustoszało po śmierci jednej ze starszych lokatorek tej kamienicy. Pomimo zabiegów, starań i interwencji obu stron, ówczesne władze miasta dość powoli i opieszale kwapiły się z załatwie-

niem spornej kwestii do lokalu. Tym bardziej, że w Świebodzicach od wielu lat panował tzw. „głód mieszkaniowy” i dostać wolny przydział od ręki graniczyło z cudem. Przyznać więc trzeba, że opieszałość władz miasta doprowadziła z czasem do sąsiedzkiego zatargu, który przerodził się w zbrodniczy samosąd i straszną śmierć 5 osób.⁵¹

Tragedia rodziny Stokłosów nie była jedynym wydarzeniem w czasach PRL-u, które zszokowało wielu mieszkańców naszego miasta. W latach 60-tych XX w. prasa donosiła o sensacyjnym **zatrzymaniu na terenie Świebodzic zbrodniarza wojennego** – niejakiego Michała Dmitrowicza. Ów Dmitrowicz miał w latach 1941-1944 służyć w oddziałach Schutzmannschafu – zmilitaryzowanej policji niemieckiej, która w okresie II wojny światowej zwalczała partyzantkę radziecką na kresach wschodnich. Dmitrowiczowi zarzucano wówczas m.in. mordy na Żydach oraz udział w pacyfikacji wielu białoruskich wsi. W 1944 r., w wyniku zbliżającego się frontu radzieckiego, został zmuszony wraz z innymi hitlerowcami do ucieczki. Po kapitulacji Niemiec, podając się za repatrianta wracającego z robót przymusowych, przybył na Dolny Śląsk i osiadł w Świebodzicach, gdzie z czasem został zatrudniony w jednej z tutejszych fabryk. W marcu 1964 r. Dmitrowicz został niespodziewanie aresztowany i postawiony przed Sądem Wojewódzkim we Wrocławiu.

Praktycznie od zakończenia ostatniej wojny, nie było dekady w historii miasta, która nie naznaczona była by poważnymi kryzysami w zaopatrzeniu w wodę. Pomimo, że sieć wodociągową Świebodzice otrzymały już w 1898 r., i którą sukcesywnie powiększano, to jednak nie zawsze mogła ona sprostać zapotrzebowaniu mieszkańców miasta i miejskiego przemysłu. Jeszcze przez wiele lat po zakończeniu wojny (aż do końca lat 50-tych), Świebodzice nie mogły osiągnąć przedwojennego poziomu produkcji wody. Poważne deficyty w jej zaopatrzeniu dotyczyły nas także potem. Chyba najbardziej krytyczna sytuacja w tym zakresie powstała na przełomie lat 60-tych i 70-tych XX w., kiedy pokrycie zapotrzebowania wynosiło tylko 20-25%. Mimo, iż podjęto kilka prób modernizacji i powiększenia sieci wodociągowej, nie przyniosło to oczekiwanych rezultatów. Również katastrofalna sytuacja z dostawą wody dla miasta była widoczna na początku lat 80-tych, co z czasem doprowadziło do kolejnej bolesnej tragedii w naszym mieście.

Tym razem zły omen upatrzył sobie świebodzicki szpital, który w 1981 r. przeżywał ogromne deficyty zaopatrzenia w zdatną, czystą wodę. Brakowało jej wszędzie na wszystkich oddziałach. Sytuacja doszła do tego, że bywały dni, gdzie woda w świebodzickiej placówce leczniczej pojawiała się w kranach tylko dwa razy dziennie (rano i popołudniu) i nie dłużej jak przez pół godziny na dobę. Brud zaczął powoli doskwierać wszystkim, doprowadzając z czasem do **epidemii i dużej śmiertelności wśród noworodków**.

⁵¹ Większość danych o tragicznym losie rodziny Stokłosów zasięgnąłem z artykułu Zbigniewa Mosingiewicza: *Sąsiedzki samosąd*, opublikowanego na łamach *Trybuny Wałbrzyskiej* w dniu 17 czerwca 1980 r.

4 czerwca 1981 r. odnotowano w miejskim szpitalu w Świebodzicach pierwszy przypadek silnego zatrucia przewodu pokarmowego u noworodka. Choroba objawiła się przede wszystkim silną biegunką, by potem wywołać także inne dolegliwości (zapalenie uszu, katar). Niestety, pomimo wszelkich starań włożonych w zwalczanie epidemii, jej skala pogłębiała się. Doprowadziło to z czasem do zamknięcia oddziału położniczego i noworodkowego w świebodzickiej placówce oraz przekierowaniem innych zarażonych chorobą noworodków do szpitali w pobliskiej Świdnicy i w Wałbrzychu. W celu zwalczania objawów epidemii lekarze postanowili zastosować bardzo silne i kosztowne w leczeniu antybiotyki. Niestety, zastosowane działania nie sprawdziły się. Bakterie wirusa zdołały się uodpornić na stosowane przeciwko nim leki. Nie pomogła również ani dezynfekcja oddziału położniczego w Świebodzicach, ani też jego generalny remont. Daremne i spóźnione okazały się także dostawy wody beczkowitzem do świebodzickiego szpitala. Wirus zdołał się już tutaj na tyle zadomowić, że z dnia na dzień powiększał swoje żniwo. W sumie na 58 urodzeń w tym czasie w świebodzickim szpitalu, odnotowano 42 przypadki wystąpienia zachorowań u noworodków, z czego 14 niestety zakończyło się zgonem.

XV

O **przełomie roku 1989** mogą sobie dzisiaj politycy, historycy, dziennikarze i publicyści, mówić i pisać co chcą, ale prawda jest taka, że wcale nie doprowadził on do zapowiadanego rozkwitu i dobrobytu państwa polskiego jak wielu by sobie tego życzyło. Społeczeństwo nie tylko samych Świebodzic, ale całej Polski musiało przejść ustrojową terapię szokową, która dla wielu ludzi okazała się bardzo bolesną praktyką życiową.

Wprawdzie poprzedni ustrój miał w sobie wiele wad i niedoskonałości, a nasza gospodarka wobec braku konkurencji rozwijała się bardzo słabo, to jednak potrafił on wykreować model państwa opiekuńczego, do którego przywykło wielu ówczesnych mieszkańców miasta. Natomiast po 1989 r. widzimy na terenie Świebodzic (i nie tylko) całkiem odmienną sytuację niż dotąd. Władza ogranicza swoją działalność opiekuńczą nie tylko na szczeblu lokalnym, ale i w skali całego kraju. Spadają wydatki na opiekę społeczną, oświatę, kulturę i naukę. Zamyka się szkoły, przedszkola i żłobki. Likwiduje się zakłady pracy (w Świebodzicach są to m.in. DFM, Silena, Rafio), zaczyna wzrastać bezrobocie. Zaczynają pojawiać się w życiu społecznym wcześniej nieznanne zjawiska i patologie tj. nędza, żebractwo, bezdomność, złodziejstwo czy bandytyzm. W prasie i telewizji coraz więcej mówi się o malwersacjach i nadużyciach. Rozrasta się krąg łapówkarstwa i korupcji.

Chyba najbardziej we znaki mieszkańcom Świebodzic po 1989 r. daje się wzrost bezrobocia. Zjawisko, które nigdy dotąd nie było znane w historii PRL-u, w naszym mieście przybiera wyraźnie na sile. Wraz z prywatyzacją i modernizacją miejskiej gospodarki, a także likwidacją niektórych zakładów i gałęzi

przemysłu, zaczyna w Świebodzicach przybywać ludzi pozbawionych pracy i środków do życia. To właśnie dla niektórych z nich tworzy się Ośrodek Pomocy Społecznej (1990 r.) oraz Fundację Pomocy Potrzebującym (1994). Powstaje też Powiatowy Urząd Pracy przez statystyki, którego w okresie pierwszych trzech lat transformacji przewija się blisko 3500 bezrobotnych świebodziczian. Miasto Świebodzice, które w latach 60-tych, 70-tych i 80-tych XX stulecia uchodziło za jedno z najbardziej uprzemysłowionych miast Polski, zaczyna powoli przeradzać się w małą, prowincjonalną gminę, w której wielu mieszkańców nie widzi raczej szans na poprawienie własnej egzystencji. Zaczynają się ruchy migracyjne w poszukiwaniu pracy i lepszych warunków do życia. Wielu młodych świebodziczian, nie mogąc znaleźć pracy po ukończeniu szkoły (często studiów) decyduje się na opuszczenie miasta. Ruch ten nasila się przede wszystkim po maju 2004 r., kiedy to Polska powiększyła struktury UE. Wielu młodych mieszkańców miasta zdecydowało się wtenczas na wyjazd (zapewne już na dobre) z granic naszego kraju. Szacuje się, że z samych tylko Świebodzic mogło wyjechać po 2004 r. do pracy za granicą około 3 tysięcy mieszkańców.

Jednym z największych błędów transformacji – jak przypuszczają niektórzy badacze – był sam program prywatyzacji wielkich państwowych przedsiębiorstw. Zbędne się tu okazały wszelkie plany produkcyjne, gdyż powszechnie uważano, że wolny rynek będzie regulowany przez tzw. „niewidzialną rękę” czyli swobodną grę praw ekonomii. Oczywiście na terenie Świebodzic proces ten był widoczny bardzo dobrze, gdzie wiele państwowych przedsiębiorstw zostało wówczas poddanych prywatyzacji. Niestety część z nich musiała upaść bądź zostać zlikwidowana, gdyż większość mieszkańców miasta nie stać było na wykupienie istniejących tutaj zakładów, które nie narzekały przecież na brak pracy i zamówień (przykład Dolnośląskiej Fabryki Mebli). Inne natomiast zostały sprzedane po zaniżonej cenie zagranicznym koncernom, które nie zawsze troszczyły się o zachowanie produkcji i zatrudnienia na dotychczasowym poziomie (przykład byłej Mera-Refy). Niewypałem w procesie prywatyzacji lat 90-tych okazał się też Narodowy Fundusz Inwestycyjny, którego celem miało być przekazanie Polakom znacznej części majątku narodowego (gł. państwowych przedsiębiorstw i zakładów pracy). Majątek ten, odpowiednio zarządzany, miał z czasem doprowadzić do rozkwitu gospodarki, wzbogacenia akcjonariuszy i zmodernizowania przemysłu. Tak się jednak nie stało. Pomimo, że blisko 26 milionów polskich obywateli wykupiło świadectwa udziałowe, cały program spalił na panewce. Brak rządowej kontroli spowodował roztrwonienie narodowego majątku, zaś część z ponad 500 spółek Skarbu Państwa, przeznaczonych do prywatyzacji, albo upadła, albo została postawiona w stan likwidacji.

Przejaw kilku lat transformacji, jaki po 1989 r. zaistniał zarówno w świebodzickiej gospodarce jak i w całym kraju, dobitnie scharakteryzował ekonomista prof. Kazimierz Poznański, który w swoim znanym dziele: *Wielki przekręt. Klęska polskich reform*, nakreślił i porównał obraz polskiej gospodarki czasów Leszka Balcerowicza i epoki Edwarda Gierka:

Choć minęło dziesięć lat – pisze prof. Poznański – mimo, że ponad połowa kapitału bankowego i przemysłowego została już wyprzedana, dochód narodowy Polski powiększył się bardzo niewiele (...) Otóż stopy wzrostu produkcji w obu okresach (z lat 70-tych oraz z lat 90-tych) są bardzo zbliżone. Stąd ten poziom, na którym znajduje się dzisiaj polski dochód narodowy – a tym samym płace indywidualne – można było właściwie osiągnąć bez masowej wyprzedaży za granicę. Co ważniejsze Balcerowicz nie przewyższa Gierka, gdyż za rządów tego ostatniego tempo ekspansji gospodarki było przynajmniej dwa razy szybsze niż tempo po 1990 r. To nie jest przy tym uczciwy wyścig, gdyż Gierek biegł z kulą u nogi – komunizmem. Balcerowicz biegnie już bez tej kuli, ma więc fory, ale na niewiele się to zdaje, nie pomaga nawet fakt, że ekspansja gospodarki po jego rządach wsparta została na nie mniejszych deficytach handlowych oraz długach niż te, na których wspierała się strategia Gierka. Dla tego prostego powodu, tak jak kiedyś gospodarka Gierka, tak teraz gospodarka Balcerowicza może się lada moment zawalić, a z nią i dochody ludności. Poziom życia może się łatwo cofnąć do punktu wyjścia transformacji, a wtedy z tymi płacami co przed prywatyzacją obywatele będą biedniejsi, gdyż zostaną już bez swego kapitału...

Za Gierka stworzono ponad dwa miliony nowych miejsc pracy, a za Balcerowicza zlikwidowano ponad dwa miliony; w latach Gierka budowano, zwłaszcza dla młodych ludzi wchodzących na rynek pracy, kilka razy więcej mieszkań, niż to się dzieje w dekadzie Balcerowicza (...) Lepsze wyniki Gierek uzyskał nie tylko bez wyprzedawania polskiego kapitału, ale też zaciągając mniejsze długi za granicą niż Balcerowicz...

Zadaniem transformacji postkomunistycznej – twierdzi prof. Poznański – jest przede wszystkim odtworzenie silnej własnej klasy kapitalistycznej, a nie samo odtworzenie własności prywatnej. Rekonstrukcja klasy kapitalistycznej wymaga zaś przeniesienia kontroli nad państwowym kapitałem z rąk państwa w ręce członków tej klasy. Ze względu na tę centralną rolę państwa w zmianie tytułu własności transformacja jest w zasadzie procesem politycznym. Tak rozumiane zadanie leży więc mniej w gestii ekonomistów, a bardziej w sferze polityków, pod warunkiem, że ci ostatni mają dostateczną wyobraźnię oraz poczucie odpowiedzialności za losy kraju.”⁵²

Oczywiście sam proces transformacji nie zawsze musiał się kojarzyć wyłącznie z negatywnymi zjawiskami, jakie wówczas dały się zauważyć w świebodzickiej gospodarce. Trzeba tutaj również podkreślić, że po 1989 r. znacznie poprawiła się stopa życiowa wielu mieszkańców naszego miasta. Zdecydowanie wzrosły warunki higieniczne i żywieniowe. Nastąpił również skok cywilizacyjny i techniczny społeczeństwa. Coraz więcej osób ma dziś dostęp do Internetu, telefonów komórkowych, telewizji satelitarnej czy też posiada własny samochód. Poprawiła się znacznie jakość świadczonych usług w różnych sektorach gospodarki (np. w bankowości). Po wejściu do UE wielu młodych ludzi skorzy-

⁵² K.Z. Poznański: *Wielki przekręt. Klęska polskich reform*, Warszawa (brak daty wydania);

stało z możliwości wyjazdu za granicę w celu podjęcia pracy czy kontynuowania dalszej nauki. W porównaniu z latami PRL-u znacznie też wzrosła przeciętna długość życia mieszkańców naszego miasta, co niestety objawiło się też wzrostem liczby emerytów i rencistów w stosunku do ludzi w wieku produkcyjnym. Jeszcze do niedawna (przed wielkim kryzysem finansowym lat 2008-2009) można było zaobserwować na terenie Świebodzic dość pozytywne zjawisko przenoszenia się ludzi młodych i wykształconych z wielkich aglomeracji miejskich (np. z Wrocławia), do naszego miasta, gdzie lokalne firmy i przedsiębiorstwa oferowały im lepsze warunki płacy i pracy.

Wraz z końcem pierwszej dekady XXI wieku cały niemal świat stanął w obliczu wielkiego kryzysu finansowego. Jak w tym okresie będzie rozwijać się przyszłość naszego miasta? – dziś trudno przewidzieć. Trzeba jednak być dobrej myśli i wierzyć w to, że ekipa rządzących (zarówno na szczeblu lokalnym jak i ogólnokrajowym) będzie umiała sprostać tym trudnym wyzwaniom i już wkrótce Świebodzice ponownie wejdą na nową drogę rozwoju, która dość pozytywnie wpłynie na całokształt życia mieszkańców tego regionu w kolejnych latach XXI wieku.

***TAJEMNICZE ZABYTKI
I MIEJSCA***

I

Wszelaka różnorodność etniczna, kulturowa czy obyczajowa, jaka przez stulecia przewijała się przez nasze miasto, pozostawiła po sobie dość okazały dorobek, w postaci licznych, do dziś zachowanych pomników architektury i sztuki. Wyrosłe na pograniczu słowiańskiej puszczy i obszarów rolnych Świebodzice, od samego początku były ośrodkiem handlowo – rolniczym, którego mieszkańcy utrzymywali się z lokalnej wymiany, rzemiosła i rolnictwa. Z tutejszego handlu wyrastał w średniowieczu i czasach późniejszych, społeczny dobrobyt, czego świadectwem są wznoszone tutaj od XIII w. wspaniałe budowle sakralne i świeckie, tj. kościoły, ratusz, zamek, domy mieszczkańskie czy systemy obronne. Zabytki te zachowały się do naszych czasów tylko w znikomej części. Trawione przez liczne pożary, zniszczenia wojenne, unicestwiane przez brak odpowiedniej opieki ze strony władz i mieszkańców miasta, do dzisiaj zachowały tylko częściowy blask swojej dawnej świetności, pamiętającej czasy gotyku, renesansu czy baroku.

Dzięki licznym wykopaliskom archeologicznym, prowadzonym w okolicach Świebodzic od przeszło półwiecza, możemy dziś poznać bogaty dorobek kulturowy naszych przodków, żyjących tu przed tysiącem lat. Znajdowane w sąsiedztwie miasta bogate skupiska zabytków archeologicznych (grodzisk, cmentarzysk, drobniejszych przedmiotów życia codziennego), obrazują wysoki, jak na owe czasy, poziom kultury materialnej dawnych Słowian. Dla archeologa czy miłośnika tych okolic, tego rodzaju odkrycia są niesamowitym przeżyciem. Świebodzice będące jeszcze do niedawna prowincjonalnym ośrodkiem, oddalonym od centrów wielkiego życia miejskiego, zachowało do dziś na swoim urbanistycznym pograniczu swoistą atmosferę czasów minionych, tak uchwytną i przyjazną przybyszom z wielkich miast i tak sprzyjającą wszelkim pracom archeologicznym i historycznym. Można by rzec za słowami polskiego, wybitnego archeologa – Zdzisława Skroka – że cała tutejsza, *pograniczna kraina oglądana w historycznej perspektywie, jest jedynym wielkim cmentarzyskiem. Gdziekolwiek pług rolnika zagłębi się w ziemi, tam ukazują się, nieraz pogruchothane już, starte na proch, kości naszych przodków – świadectwo burzliwych, wojennych losów lub też żywotów spokojnych, pokojowych.*⁵³

Kiedy jednak minęły dawne czasy słowiańskie, a Świebodzice zaczęły wyłaniać się powoli z otchłani dziejowej, przyszła wtenczas do nas z Europy Zachodniej, pierwsza, cywilizacyjna kultura, czerpiąca swój dorobek z bogatej tradycji Cesarstwa Rzymskiego. Mowa tu oczywiście o architekturze rzymskiej, która wprawdzie bardzo znacząco zapisała się w dawnych dziejach naszego miasta, to pomimo licznych zawieruszeń historycznych, niewiele po niej zostało w dzisiejszym krajobrazie architektonicznym Świebodzic. Poza resztkami prezbiterium przy kościele św. Mikołaja, oraz nieznaczących śladach w świątyni

⁵³ Z. Skrok: *Wykopaliska na pograniczu światów*, Warszawa 1988;

św. Franciszka z Asyżu, po dawnych wpływach romańskich na terenie naszego miasta pozostało zupełnie nic. A szkoda, gdyż styl romański był pierwszym odzwierciedleniem kultury materialnej, jaka w początkach XIII wieku zawitała na te tereny (pod postacią sieci kościołów parafialnych, jakie wówczas powstały w Świebodzicach, Pełcznicy, Olszanach czy Szymanowie).

Po ponad dwustuletnim panowaniu w architekturze europejskiej, styl romański ustąpił miejsca gotykowi, który czerpiąc swe natchnienie z dokonań swojego poprzednika, stworzył dzieła jeszcze bardziej wytworniejsze. Wyniosłe i strzeliste wieże kościołów oraz rozprzestrzeniające się użycie cegły, nadały gotykowi zasadniczy styl, który zmienił krajobraz architektoniczny ówczesnej Europy, odciskając przy tym swe piękną w samych Świebodzicach i jego najbliższych okolicach.

Rozprzestrzenianie się architektury gotyckiej, szło w parze z rozwojem ruchu budowlanego, w wielu europejskich miastach. Nowa sztuka znajdowała swoje odzwierciedlenie w budownictwie sakralnym i świeckim, w zakresie społecznym i prywatnym. Na szeroką skalę rozprzestrzeniło się użycie nowego budulca – cegły, która wypierając z dotychczasowego budownictwa popularne, romańskie „ciosaki” i „otoczaki”, nadała swoim architektonicznym dziełom całkiem odmienny charakter. Rozkwitła na nowo gotycka rzeźba oraz malarstwo ścienne, którego przykład można dziś podziwiać w kościele filialnym św. Franciszka z Asyżu (Ciernie). Liczne przebudowy ze stylu romańskiego na gotycki istniejących świątyń (Świebodzice, Pełcznica, Mokrzyszów, Olszany i inne), a także wznoszenie od podstaw nowych kościołów i zamków (Książ, Cisy), bardzo dołożyło do wpływu na tutejszą mozaikę architektoniczną.

W tym też czasie rozwijające się Świebodzice otrzymały wyniosłą wieżę kościoła św. Mikołaja, która od połowy XV w. przyciągała ze wszystkich okolic wielu handlarzy i rzemieślników do miasta. W okresie dojrzałego gotyku, nasze miasto spełniało – zarówno pod względem architektonicznym, jak i kulturalnym – podstawowe funkcje miejskiego ośrodka. Jako ośrodek rzemieślniczy, handlowy, komunikacyjny oraz religijny, Świebodzice należały wówczas do typowych miast Dolnego Śląska, w granicach, którego u progu ery nowożytnej, mieszkało już 1000 mieszkańców, cieszących się wolnością osobistą. Miasto posiadało już w swoich granicach ratusz i rynek (stanowiący wówczas rolę placu targowego), cechy rzemieślnicze (lub jeden cech wspólny), kościół, bramy miejskie oraz system obronny w postaci do dziś zachowanych murów miejskich. Również w tym okresie zaczął powoli klarować się w Świebodzicach stan mieszczański, złożony z trzech grup społecznych, tj. najbogatszego patrycjatu, pospólstwa i biednego plebsu.

U progu XVI stulecia dokonują się kolejne przeobrażenia w kulturze europejskiej. Napływająca z Włoch nowa ideologia i nowe prądy artystyczne, pozostawiły również po sobie odbicie w rozwijającej się sztuce dolnośląskiej. Wprawdzie styl renesansu występuje na Śląsku stosunkowo mniej obficie od pozostałych stylów (reprezentowany jest głównie przez budowle świeckie), to jednak

rodzące się wówczas zaczątki „odrodzenia”, nie bez znaczenia naznaczyły swoje ślady w świebodzińskiej architekturze. Zamożność miasta w dobie renesansu, można oczywiście poznać po jego zabudowie. Bogato zdobione kamieniczki z podcieniami w Rynku (do dziś niezachowane – strawił je pożar z 1774 r.) oraz mnogość rzemieślniczych kramów wokół świebodzińskiego ratusza, to świadectwo dawnej majętności mieszczan. Powstający wówczas w Świebodziach lokalny mecenat, tak dobrze prosperujący za pośrednictwem wspaniale rozwijającego się tu handlu, był także dowodem licznych fundacji świebodzińskich mieszczan i nie tylko (pamiętką tego są m.in. renesansowe elementy wystroju tutejszych świątyń – św. Mikołaja czy św. Franciszka z Asyżu, a także wystrój kościołów w pobliskim Dobromierzu, Mokrzyszowie czy Strudze).

Szczególnego znaczenia w tym okresie, przybrał również mecenat rodziny Hochbergów, właścicieli zamku Książ. Prowadzone przez nich prace adaptacyjne na Książu (XVI w.), przyczyniły się do szeregu nowych remontów na terenie zamku i jego podzamcza. Z ich też przyczyny powstał szereg różnych rozpraw naukowych i dzieł literackich, będących fundamentem pierwszej, mającej biblioteki w tych okolicach (1609 r.). Warto tu wspomnieć, że z polecenia magnackiej rodziny Hochbergów, zaczęto zakładać u schyłku epoki renesansu, pierwsze założenia tarasowe, które w późniejszym czasie bardzo znacząco upiększyły i urozmaiciły największą rezydencję Dolnego Śląska.

O ile jednak renesansowy mecenat dorównywał swymi wpływami wcześniejszym epokom, o tyle ustępował czasom baroku, które w okolicach Świebodzi pozostawiły po sobie bardzo bogaty dorobek.

*Choć architektura barokowa rozwinęła się na podłożu renesansu, to jednak zerwała ona z jego umiarem, ze spokojem; cechowało ją bogactwo dekoracji rzeźbiarskich i malarskich, obfitość złocień, marmurów, kolorowej kamieniarki. Na ziemi śląskiej architektura ta uwidoczniła się w pierwszym rzędzie w kościołach i pałacach, ale wpłynęła ona także na kształty budowli miejskich, jak ratusze, arsenaly czy nawet fortyfikacje, podobnie zresztą jak i na wygląd kamienic bogatszych mieszczan. Jeżeli zaś było miejsce, to obok pałaców zakładano parki, w których budowano różne fontanny, kaskady, pawilony, ustawiano liczne rzeźby. Lokalne widoki uległy więc sporym i istotnym zmianom.*⁵⁴ Bogaty dorobek epoki baroku jest również widoczny w Świebodziach oraz jego najbliższych okolicach. Znalazł on swe odzwierciedlenie przede wszystkim w budowlach świeckich tej epoki, głównie w barokowych pałacach, zachowanych w pobliskich miejscowościach (Ciernie, Witoszów Górny, Dobromierz, Struga) oraz innych budowlach (spichlerz w Lubiechowie, zabudowania gospodarcze w Olszanach, piece do wypalania wapna w Cieszowie i wiele innych). Również architektura i sztuka sakralna święciła wówczas swoje tryumfy, o czym może przekonać bogaty wystrój tutejszych kościołów w Dobromierzu, Cierniach, Ol-

⁵⁴ J. Janczak: *Człowiek i przyroda*, Wrocław 1985 r.;

szanach, Świebodzicach, Strudze czy Witoszowie Dolnym (gł. są to ołtarze, chrzcielnice, rzeźby, kamienne nagrobki, obrazy, organy itp.).

Odbudowa miasta po wielkim pożarze z 1774 r. zbiegła się z rozwojem kolejnego, wielkiego prądu w architekturze – klasycyzmu, który swoje dwa wiekowe dzieła (kościół św. Piotra i Pawła oraz miejski ratusz) pozostawił również w Świebodzicach.

Na rozwój architektury klasycystycznej złożyło się kilka znaczących epizodów, które swe piętno odcisnęły również na nowo rodzącym się kierunku w kulturze i sztuce (tj. przejście z okresu feudalnego do kapitalistycznego, powstanie nowej klasy społecznej i jej nowych potrzeb, nawrót do świata i kultury antycznej czy wreszcie rozwój nauk archeologicznych, odsłaniających piękno starożytnych cywilizacji).

W urbanistyce następuje zasadniczy przełom w kształtowaniu struktury miast. Ma to również doniosłe znaczenie dla rozprzestrzeniających i rozrastających się Świebodzic. Powstają i rozwijają się nowe założenia miejskie (place, parki publiczne, przelotowe arterie komunikacyjne), które w XIX stuleciu będą odgrywać coraz większe znaczenie w zagospodarowaniu przestrzennym śląskich miast. Sztuka klasycystyczna zajmuje w dorobku architektonicznym naszego miasta poczesną rolę. Jej bogata kompozycja w dzisiejszym krajobrazie miasta (w stosunku do niezbyt doniosłego dorobku sztuki śląskiej) sprawia, że Świebodzice zajmują poczesne miejsce na mapie kultury klasycystycznej Dolnego Śląska.

Dwa kolejne znaczące kierunki w XIX-wiecznej architekturze i sztuce – eklektyzm i secesja – nie reprezentują w okolicach Świebodzic zbyt ciekawych form. Jednak warto tu podkreślić, że również w tym czasie następuje nawrót do dotychczasowego dorobku architektonicznego, polegającego na kopiowaniu modnych wzorców historycznych w budowlach odtwórczych. Przykładem tego rodzaju budownictwa może być np. pałacyk „Caritasu” (wzniesiony w 2 połowie XIX w.), czerpiący swoje korzenie architektoniczne z XVI-wiecznego renesansu angielskiego, czy pałac neogotycki w Mokrzeszowie (XIX w.), który – jak sama nazwa sugeruje – był wzorowany na europejskim gotyku.

Druga połowa XIX i początek XX w. przynoszą istotne zmiany w urbanistyce i architekturze przestrzennej Świebodzic. Dalszy rozwój przemysłu oraz napływ ludności wiejskiej w granice miasta, powodują całkiem nowe rozwiązania architektoniczne w tutejszym budownictwie (głównie przemysłowo-gospodarczym). Zastosowanie nowych materiałów (betonu i żelbetu), a także nowych technik budowlanych, przyczynia się do rozwoju nowych układów urbanistycznych. Powstają nowe ulice (Kolejowa, Świdnicka, Strzegomska i inne) oraz zabudowania mieszkalne o trzy- i czteropiętrowej kondygnacji, wpływające na znaczny rozrost Świebodzic. Rozwijają się nowe osiedla – jak np. osiedle przy dzisiejszej ulicy Zamkowej (1940 – 1944). Miasto bogaci się o nową kanalizację, chodniki, bruki, wodociągi i sieć elektrycznego oświetlenia ulic.

Na terenie miasta uruchamiane są miejscowe inwestycje. Powstają tu kolejno: kąpielisko miejskie i ludowe (1906), sala gimnastyczna (1906-1907) oraz stadion sportowy (1911). Rozwija się także miejska kultura i szkolnictwo, czego przykładem może być powołanie do życia Wyższej Szkoły Realnej (1903) czy powstanie Biblioteki Ludowej (1935). Z kolei na przedwojennym Hindenburgplatz (obecnie Plac Jana Pawła II) wznosi się okazały Pomnik Zwycięstwa, symbol świebodzickiej rzeźby modernistycznej.

Kryzys okresu socrealizmu, łączącego całkowitą izolację kulturową, opierającą się wyłącznie na własnym dorobku i propagującym własną ideę polityczną (odsunięcie się od nowatorskich prądów zachodnich), przyniósł niezbyt okazałe i ciekawe rozwiązania architektoniczne. Mimo to w Świebodziach nadal rozwija się budownictwo. Powstają wielkopłytowe zespoły mieszkaniowe, na bazie budownictwa spółdzielczego (Osiedle Przodowników Pracy i Osiedle Piastowskie). Z funduszy miejscowych zakładów powstają osiedla: Metalowiec oraz Wilcza Góra. Buduje się nowe ośrodki rekreacyjne uprzyjemniające życie mieszkańcom miasta, tj: boisko do piłki ręcznej (1959), stadion piłkarski (1959), Ośrodek Sportu i Rekreacji wraz z kąpieliskiem miejskim (1968), salę gimnastyczną (1973) czy wreszcie kręgielnię sportową (1982).

Przełom 1989 r. przynosi nowe technologie w zakresie ekonomicznego i ekologicznego budownictwa, sprzyjające rozwojowi budownictwa jednorodzinnego (np. Osiedle Słoneczne). Powstają nowe wspólnoty parafialne: NMP Królowej Polski (1991) i św. Brata Alberta Chmielowskiego (1995), dla których buduje się nowoczesne świątynie. W tym też czasie rozwijają się inwestycje lokalne. Zaliczyć do nich można: gazociąg dla dzielnicy Ciernie (1994), nowy budynek SP nr 2 na Osiedlu Piastowskim (1993), wysypisko komunalne w Starym Jaworowie (1995), budowę hali sportowej oraz krytej pływalni przy SP nr 2, czy nawet szereg remontów, modernizacji i prac budowlanych przy świebodzickiej starówce.

II

Mozaika architektoniczna jaka przez stulecia przewinęła się przez Świebodzię, pozostawiła po sobie wiele doniosłych budowli. Część z nich - w wyniku różnych zdarzeń losowych - już dawno zniknęła z krajobrazu miasta. Niektóre natomiast przetrwały w formie szczątkowej lub fragmentarycznej. Są też i takie budowle, które zachowały się w stanie prawie kompletnym, jednak ze względu na brak informacji źródłowych, niewiele można o nich dzisiaj powiedzieć. Do takich właśnie zabytków zalicza się obecnie zespół średniowiecznych fortyfikacji miejskich.

Mury miejskie Świebodzi należą do najmniej poznanych i zbadanych obiektów zabytkowych tych okolic. Niemniej ich funkcje do jakich zostały stworzone – a więc zagwarantowanie bezpieczeństwa mieszkańcom miasta –

powodują, że od wielu stuleci uważane były za najważniejszy bastion obronny dawnych Świebodzic.

Rozwój miasta, szczególnie w czasach średniowiecza, nierozzerwalnie wiązał się z budową systemów obronnych (wałów, fos, murów kamiennych, zamków, bastei, itp.). Decydowały one w znacznej mierze o samej obronności miasta, jak i pozwalały na obronę bogactwa i dorobku mieszczan. Niemniej jednak nadmiernie rozbudowany system obronny ograniczał niekiedy możliwości dalszego rozwoju przestrzennego. Ściśnięta i zwarta zabudowa dawnych ośrodków miejskich, poprzecinana z rzadka wąskimi uliczkami, stanowiła sama w sobie istotne zagrożenie, zwłaszcza podczas szalejących żywiołów (głównie pożarów) i morderczych pomorów. Jednak rolę jaką przypisuje się fortyfikacjom miejskim, w dorobku architektonicznym miast dolnośląskich jest doniosła i niepodważalna.

Mury obronne miast były zazwyczaj wznoszone w interesie samego panującego (np. tak jak w przypadku Świebodzic), który chcąc podkreślić rangę miasta – jako ośrodka administracji, przyczyniał się do jego dalszego rozwoju, co z kolei sprzyjało osadnictwu miejskiemu oraz przyciągało kupców i handlarzy.

Budowa murów miejskich była przedsięwzięciem zaplanowanym z góry, długotrwałym, realizowanym przez kilkadziesiąt, a nawet kilkaset lat. Wznoszenie fortyfikacji zaczynało zazwyczaj od budowy wież obronnych (baszt), w których znajdowały się bramy wiodące do miasta. Bramy – podobnie jak w zamkach – były zamykane masywnymi, potężnymi furtami, bądź okutą drewnianą kratą, opuszczaną do dołu i zabezpieczaną dodatkowo zwodzonym mostem nad fosą. Wysokość takich bram była na ogół zróżnicowana i wynosiła od kilku do kilkunastu metrów.⁵⁵ Przykładowo: bramy miejskie Świebodzic wyróżniały się swoją wysokością wśród średniowiecznych zabudowań miasta. Swą sylwetką – wraz z takimi obiektami jak ratusz czy miejskie kościoły – górowały nad dawną zabudową architektoniczną Świebodzic.

Mury obronne, otaczające przed wiekami większość dolnośląskich miast, były budowlami masywnymi, budowanymi z budulca dostarczanego z pobliskich okolic (głównie kamień polny, łamany) i łączonego za pomocą zaprawy wapiennej bądź gliny. Swoją konstrukcją przypominały niekiedy mury ówczesnych zamków i ufortyfikowanych kościołów (np. ruiny kaplicy św. Anny na Pełcznicy), jednak były zazwyczaj od nich niższe. Ze względu na swoją długość, mury obronne były dzielone od strony zagrożenia miasta, na określone odcinki (segmenty) przedzielone basztami, których odległość między nimi wynosiła nie więcej jak odległość skutecznego strzału (tj. 40-60 metrów). Baszty były prostokątnymi występami muru, otwarte od strony miasta, niekiedy wyższe od pozostałych partii muru, a stanowiące obszar skupiający obrońców.⁵⁶ Często obronę określonego odcinka murów miejskich powierzano cechom rzemieślniczym, których zadaniem było uczestnictwo w działaniach mili-

⁵⁵ W. Krassowski: *Dzieje budownictwa i architektury na ziemiach Polski*, Warszawa 1990, t. II, s. 294;

⁵⁶ Tamże;

tarno-wojskowych i w okresach szczególnego zagrożenia miasta przez obce wojska. Zazwyczaj każdy cech posiadał własną basztę i odcinek murów miejskich, za który był odpowiedzialny, zarówno w czasach pokoju, jak i wojny.

Pierwotne umocnienia obronne Świebodzic składały się z drewniano-ziemnych obwarowań, które otoczone były prawdopodobnie fosą. W 1241 r. osada świebodzicka zniszczona została przez najazd tatarski, który uwidoczniał, że umocnienia te nie spełniają dobrej roli obronnej (?). W związku z tym zastąpione być muszą przez fortyfikacje nowszego rodzaju. W roku 1279 Świebodzicom potwierdzono prawa miejskie, co wiązało się z bogatym uprzywilejowaniem miasta. Od tego momentu Świebodzice stały się poważnym ośrodkiem gospodarczym w regionie. Jednak w dalszym ciągu – jak wynika z przekazów pisanych - miasto nie posiadało solidnych umocnień obronnych, które zdołałyby oprzeć się atakowi wroga.

XVII-wieczny kronikarz śląski – Nasos, podaje w swojej kronice, że mury miejskie Świebodzic miał wybudować książę świdnicko-jaworski Bolko I Surowy (1291), co budzi wśród badaczy wiele zastrzeżeń. Niektórzy historycy są skłonni przyznać, że budowę kamiennego systemu obronnego w postaci do dziś zachowanych murów miejskich, rozpoczęto w naszym mieście dopiero w XIV bądź nawet w XV wieku. Jednak należy tu podkreślić, że książę Bolko przeszedł do historii jako rozważny gospodarz i budowniczy, dbający o rozwój swojego księstwa i znajdujących się w nim ośrodków miejskich. Za jego panowania murami obronnymi otoczono m.in. Świdnicę, Strzegom, Dzierżoniów czy Bolków, toteż nie można dziś ostatecznie przekreślać i odrzucać wzmianki XVII-wiecznego kronikarza śląskiego.

Mury obronne Świebodzic zbudowane były z kamienia polnego w kształcie nieregularnego koła, tzw. elipsy i posiadały tylko jeden pierścień. Do miasta prowadziły trzy bramy. Na wschodzie znajdowała się Brama Świdnicka, po przeciwległej stronie, czyli na zachodzie umieszczone były dwie bramy: Strzegomska (zwana Dolną) oraz Bolkowska (Górna). Poza tym na całej długości murów rozmieszczonych było osiem niewielkich baszt. W bramie znajdowała się kuta krata, a czasami okute, drewniane drzwi, które w razie grożącego niebezpieczeństwa były opuszczane lub zamykane.

W roku 1345 mury naszego miasta przeszły swoją pierwszą próbę, która okazała się niedostateczna, gdyż Świebodzice zdobyte zostały przez wojska czeskie pod wodzą Jana Luksemburczyka – króla Czech. W 1 połowie XV w. Zostały one wzmocnione dodatkowymi wałami ziemnymi oraz fosą (około 1409 r.). Natomiast pierwszy, poważny chrzest bojowy przeszły podczas wojen husyckich. Legenda głosi, że w 1427 r. husyci dokonali trzykrotnego ataku na mury miasta, które zdołało się obronić.

W czasach nowożytnych, kiedy to rozpowszechniło się użycie prochu palnego oraz nastąpiły różne przemiany w organizacji wojskowej, wartość funkcji obronnych murów miejskich zaczęła powoli tracić na znaczeniu. Uwidocznili się to w wielu wojnach i zniszczeniach jakie w XVII i XVIII w. Przetaczały się

przez Świebodzice i okolice. Jeszcze w 1639 r. mieszkańcy ówczesnych Świebodzic zdecydowali się fortyfikacje miejskie nieco podwyższyć w południowo-wschodniej części miasta, ale już podczas wojen śląskich (1740-1763), miasto zaczęło przechodzić z rąk do rąk, co już wówczas uwidoczniło nieprzydatność murów obronnych. W latach 1745, 1759 i 1762 ostra rywalizacja pomiędzy Austriakami a Prusakami w okolicach Świebodzic przyczyniła się do znacznego zniszczenia murów i zabudowań miejskich. W roku 1774, podczas wielkiego pożaru miasta, mury Świebodzic, dzięki swej kamiennej konstrukcji, zdołały się oprzeć temu dramatycznemu epizodowi.

Na początku XIX w. do Świebodzic wkroczyły wojska francuskie i polskie, które zarządziły akcję rozbiórkową systemu obronnego, która jednak nie została do końca przeprowadzona, gdyż część z nich przetrwała do naszych czasów. W 1835 r. podupadłe i zniszczone wieloma działaniami wojennymi mury miejskie, dzięki sprawnej akcji organizacyjnej mieszkańców Świebodzic zostały częściowo odnowione. Wówczas to fortyfikacje miasta uznano jako pamiątkę z przeszłości i zaliczono do obiektów godnych uwagi i poszanowania.

Z dobrze rozbudowanych niegdyś reliktyw obronnych, do dziś pozostało niewiele. Natomiast jeszcze pod koniec lat 80-tych XX stulecia przeprowadzono remont tego cennego zabytku. Obecnie mury miejskie Świebodzic można zaliczyć do najlepiej zachowanych reliktyw tego rodzaju na Dolnym Śląsku.

III

Historia o niej zapomniana, jej sylwetka już dawno zniknęła z zabudowy naszego miasta, wspominają o niej jedynie stare kroniki i dokumenty z odległych lat. Mowa tu oczywiście o **kaplicy (kościółku) św. Jana**, która przed wiekami stanowiła jeden z głównych obiektów sakralnych dawnych Świebodzic.

Pierwsze wzmianki historyczne o kaplicy św. Jana pojawiają się już w początkach XV stulecia. Została ona ulokowana na tzw. Przedmieściu Bolkowskim, a więc poza obrębem murów miejskich, wytaczających granice starego miasta (okolice dzisiejszej ul. Sienkiewicza).

Z 1419 r. mamy informacje, że przy interesującej nas budowli znajdował się również cmentarz⁵⁷ oraz szpital miejski, któremu ówczesny właściciel zamku Książ, Janko z Chocienic, ofiarował łąkę i las nieopodal Szczawienka. Natomiast w 1439 r. tutejszy szpital wzbogacił się o kolejną darowiznę (czynsze), jaką przekazał mu szpital z pobliskiej Świdnicy na rzecz „obolałych i chorych” ze Świebodzic.

Niezbyt jasne są dalsze dzieje i losy kościółka św. Jana w naszym mieście oraz przyległego do niego szpitala i cmentarza miejskiego. Wszystko to wynika oczywiście z braku podstawowych informacji źródłowych na ten temat. Można

⁵⁷ Stąd, w niektórych źródłach można spotkać się z nazwą kościół cmentarny w Świebodzicach.

tylko się domyślać, iż przez kolejne dziesięciolecia kaplica służyła wiernie swą funkcją mieszkańcom Świebodzic.

Prawdopodobnie w XVII w. istotnego znaczenia nabrał teren grzebalny, rozciągający się przy kaplicy. To właśnie tutaj pochowano setki mieszkańców Świebodzic, którym nie udało się przeżyć okresu wielkich epidemii, jakie w latach 30-tych XVII w. trapiły nasze miasto.

Drugim tragicznym momentem w historii kościółka okazał się dzień 26 lipca 1774 r. Wielki pożar Świebodzic, najtragiczniejsze wydarzenie w dziejach miasta, nie oszczędziło również kaplicy. Spłonęła ona doszczętnie, a wraz z nią blisko 80% zabudowy miejskiej Świebodzic.

Wysiłkiem mieszkańców kościół św. Jana wraz ze szpitalem został odbudowany dopiero po kilku latach od tragicznego pożaru, zaś w 1787 r. nastąpiła jego konsekracja. O interesującej nas budowli wspominają również XIX-wieczne opisy miasta. M.in. statystyczny opis Świebodzic, przeprowadzony w 1830 r. wspomina wówczas o czterech budowlach sakralnych w naszym mieście. Oprócz kościołów: św. Mikołaja (katolicki), św. Piotra i Pawła (wtenczas ewangelicki) i św. Franciszka z Asyżu (filialny), oczywiście jest tu wymieniana również kaplica św. Jana (jako kościół szpitalny).

Kres istnienia kaplicy św. Jana przynosi połowa XIX w. Zachodzące wówczas przeobrażenia przestrzenne w sylwetce architektonicznej rozwijających się Świebodzic, przyczyniają się do tego, iż zarówno kaplica, jak i przyległy do niej szpital zostają rozebrane (1845). Dopiero nieco później – bo w 1874 r. – na ich miejscu rodzina świebodzickich przemysłowców (von Kramsta), ufundowała nowy budynek szpitalny (tzw. „Burgerhospital”).

IV

Dawny kościół cmentarny nie jest jedynym sakralnym obiektem w naszym mieście (oczywiście już nieistniejącym), o którym wiemy tak niewiele. Kolejne tajemnicze ruiny sakralnej budowli wznoszą się w centrum Pełcznicy. Mowa tu o **kaplicy św. Anny**, która przed wiekami była kościołem filialnym, podległym parafii św. Mikołaja w Świebodzicach.

Jednym z najistotniejszych zagadnień dotyczących dziejów tejże budowli jest sam fakt jej powstania. Praktycznie nikomu jeszcze nie udało się ostatecznie ustalić kiedy kościółek ten został wzniesiony oraz jakie były jego dalsze losy. Wszystko to oczywiście wynika z braku dokumentów źródłowych na jego temat.

Niektórzy badacze twierdzą, iż początków kaplicy św. Anny należy się doszukiwać jeszcze w wiekach średnich. Budowla ta miała być miejscem kultu nie tylko dla osadników z Pełcznicy, ale także dla wyrobników i służby dworskiej, zatrudnionych na zamku Książ. Być może kaplica ta powstała nawet z ich inicjatywy. Istniejące do dziś resztki murów świątyni dają się wskazywać na jej XV-wieczne pochodzenie, jednak brak detalu architektonicznego przyczynia się

do tego, iż trudno jest w dzisiejszych czasach wskazać dokładną datę jej powstania.

Z zachowanych fragmentarycznie murów kościoła można też stwierdzić, że był on przystosowany (tak jak wiele wiejskich świątyń w tym czasie) do pełnienia funkcji obronnych, służąc tutejszym osadnikom za schronienie podczas zbrojnego najazdu obcych wojsk.

Nieznany jest również sam fakt doprowadzenia budowli do stanu ruiny, jednak z zachowanego opisu, pochodzącego z 1666 r. wynika, że już w tym okresie kościółek był niezdatny do służenia wiernym. Legenda głosi, iż spłonął on od uderzenia pioruna i od tego momentu pozostaje ruiną.

V

W centralnej części Świebodzic, przy ul. A. Mickiewicza, wznosi się bez wątpienia najpiękniejszy zabytek współczesnego miasta - **okazały pałac „Caritasu”**. Zbudowany w stylu eklektycznym, czerpie on swoje korzenie architektoniczne z XVI-wiecznego renesansu angielskiego.

Pomimo 150-letniej historii pałac ten nie znalazł jednak poczesnego miejsca wśród najbardziej rozpowszechnionych zabytków naszego miasta. A szkoda, gdyż jego okazała sylwetka i ciekawa architektura sprawia, że i jego dziejom również należy poświęcić nieco uwagi.

Za pierwszego budowniczego pałacu uważa się hrabiego Hugona von Kramsta, przedstawiciela świebodzickiej rodziny przemysłowców, która w XIX stuleciu uważana była za najbogatszą rodzinę na Śląsku (stąd ich przydomek śląscy Rockefellerowie). Hrabia Hugo swoją rezydencję zaczął budować w 1858 r. (stąd też w literaturze możemy się niekiedy spotkać z niemieckojęzyczną nazwą pałacyku jako „Hugoschloss”, która to nazwa została przyjęta od swojego pierwszego właściciela), natomiast zakończył ją Robert Seidl, właściciel świebodzickiego browaru, który z czasem odkupił niedokończoną budowlę od rodziny von Kramstów. Seidlowie uważani wówczas za również wpływową rodzinę w mieście, byli wyznania ewangelickiego. Jest to o tyle ciekawe, że ich dwie córki (a w sumie mieli trzy) – Otylia i Robertyna, wstąpiły w późniejszym czasie do zakonu, wybierając zgromadzenie de Notre Dame we Wrocławiu.

Robert Seidl, posiadający również kilka innych nieruchomości na terenie Świebodzic, był wolnomularzem – prawdopodobnie członkiem Loży Europa – *„Masoni – jak pisze R. Stolarczyk – to bardzo tajemniczy ludzie, ale kierujący się w życiu zasadami głęboko moralnymi i chęcią codziennego doskonalenia się. Skoro głowa rodziny była masonem, nie pozostawało to na pewno bez wpływu na całe życie rodziny. Być może właśnie zasady wpajane dzieciom i praktykowane w życiu rodziny stymulowały późniejsze powołanie zakonne dwóch córek Seidlów”*.⁵⁸

⁵⁸ R. Stolarczyk: *Pałacyk Caritasu* „Goniec świebodzicki”, nr 7/68 z 1996 r.;

Zapewne za namową swoich dwóch córek-zakonnicek, Seidlowie przekazują w 1899 r. pałac siostrom zakonnym ze zgromadzenia de Notre Dame. Po przejęciu, obiekt pełnił rolę sanatorium i miejsca wypoczynku zarówno dla sióstr, jak i dla osób świeckich.. Tutaj też, aż do swojej śmierci w 1912 r., mieszkała pani Seidl, żona Roberta Seidla. W okresie dwudziestolecia międzywojennego pałac był własnością prywatną, prowadzoną przez siostry zakonne. W 1919 r. – dzięki staraniom siostry prowincjonalnej M. Annuncjaty – utworzono tu szkołę gospodarstwa domowego, kształcąca młode dziewczyny świeckie. Przy czym część pomieszczeń pałacu była w tym czasie przeznaczona również na hotel dla osób przybywających do naszego miasta.

Po wybuchu II wojny światowej w pałacyku planowano założyć szpital dla niemieckich żołnierzy, ale ostatecznie trafiła tu młodzież niemiecka wraz ze swoimi wychowawcami. Po zakończeniu wojny i wkroczeniu do Świebodzic wojsk radzieckich, pałac staje się obiektem wojskowym. Stacjonujące w nim dowództwo radzieckie, utworzyło tutaj szpital wojskowy. W tym też czasie wysiedlono z pałacu zdecydowaną większość sióstr zakonnych, zostawiając tylko te, które miały poprowadzić placówkę leczniczą.

W październiku 1946 r. pałac ponownie wraca w ręce zakonnicek, które zakładają w nim Dom Dziecka. Domem kierowała wówczas *„siostra Cecylia Turek – wspaniała pedagog, osoba uzdolniona artystycznie, wspaniale malująca (w kaplicy znajduje się namalowany przez nią portret założycielki Zgromadzenia) i uzdolniona muzycznie, która wszystkie swoje umiejętności przekazywała dzieciom. Wiele z tych dzieci to dziś ludzie dorośli i mieszkańcy naszego miasta. Siostra Cecylia w powojennych latach była osobą znaną w mieście, lubianą i szanowaną”*.⁵⁹

W 1955 r. placówka została przekształcona, za namową Wydziału Wojewódzkiego Oświaty we Wrocławiu, w Dom Pomocy Społecznej dla Dzieci – „Caritas”. W tym też czasie zmodernizowano wnętrza pałacu oraz zatrudniono nowe osoby świeckie. Natomiast w 1990 r. ośrodek stał się ponownie placówką prywatną, prowadzoną przez siostry ze zgromadzenia de Notre Dame. Jako ciekawostkę można tu podać fakt, że w tutejszym pałacu zatrzymał się we wrześniu 1956 r. Karol Wojtyła (późniejszy papież Jan Paweł II), który odbywał w tamtym czasie – jako ksiądz Diecezji Krakowskiej – wycieczkę rowerową po Dolnym Śląsku. Spędził on wówczas jedną noc na terenie „Caritasu”, gdzie również odprawił Mszę Św. w dniu 5 IX 1956 r.

Pałac otacza zabytkowy park, który przed laty został opisany w pracy *„Park pałacowy w Świebodzicach”*⁶⁰, autorstwa dr H. Urbanika, wieloletniego mieszkańca naszego miasta i miłośnika Świebodzic.

Początki założenia parkowego wokół pałacyku hrabiego Hugona nie są znane, gdyż większość dokumentów dotyczących rosnących tu drzew została zniszczona podczas ostatniej wojny lub zaraz po niej (nie wyklucza się, iż mogli tego

⁵⁹ Tamże;

⁶⁰ H. Urbanik: *Park pałacowy w Świebodzicach* „Rocznik dendrologiczny”, nr XXXI, 1978 r.,

dokonać stacjonujący tu żołnierze radziecy). Pierwotnie park łączył się z parkiem przy dzisiejszym Browarze (jako całość), jednak z czasem został przedzielony szosą prowadzącą do pobliskiego szpitala. Jako obiekt rozrywkowy, przeznaczony dla tutejszych właścicieli (tj. rodziny Seidlów), park był prawdziwą atrakcją rodzinną. Jako ciekawostkę można tu podać, że przed I wojną światową na jego terenie znajdowała się niewielka pieczara dla niedźwiedzi, w której były właściciel posiadłości – Robert Seidl, umieścił dwa białe niedźwiadki, przywiezione z Petersburga dla swojej małżonki. Poza tym na terenie parku były też zlokalizowane dwa niewielkie stawy.

Jak podaje w swojej pracy dr H. Urbanik „...w 1906 r. zasadzono w parku 21 drzew owocowych i 14 egzemplarzy drzew ozdobnych. W 1911 r. w miejsce wyciętych drzew posadzone zostały sosny i jodły „szlachetne”, a w 1928 r. „drzewa zagraniczne”. Brak jest późniejszych rejestrów, zarówno nasadzeń, które bez wątpienia miały miejsce, czy też prac pielęgnacyjnych, jakie się tu odbywały (...), jednak o wieku większości drzew można się tu dowiedzieć z ich pomiarów grubości. Wynika z nich, że są tu w przewadze drzewa około 100-letnie...”

W 1973 r. terenowe koło LOP oraz uczniowie świebodzickiego LO, zamieścili na obszarze parku tablicę pamiątkową – ku ochronie tutejszych pomników przyrody – z tekstem króla polskiego Władysława Jagiełły z 1423 r. Brzmi on tak: „Jeśliby ktoś wszedłszy w las, drzewa, które znajdują się być wielkiej ceny, jak cis albo im podobne podrąbał, tedy może być przez Pana, albo dziedzica pojman...”

Obecnie park pałacowy przy ul. Browarowej jest zaliczany do najcenniejszych i najlepiej zachowanych parków w tym regionie. A to wszystko – jak pisze dr Urbanik – „z uwagi na dobrze zachowany drzewostan i estetyczny wygląd krzewów (...), który należy przypisać Siostron Szkolnym de Notre Dame. Opieka ta może być wzorem dla innych właścicieli i użytkowników parków...”⁶¹

VI

Historia szubienicy miejskiej w Świebodziach, to dość ponura karta tych okolic. Niemniej nasze miasto już od dawien dawna rządziło się własnymi prawami, w tym również prawem wykonywania własnym katem wyroków śmierci na złoczyńcach i przestępcach.

Dzisiaj trudno powiedzieć kiedy tak naprawdę powstała **pierwsza szubienica w Świebodziach**, albowiem pierwsze wzmianki o tego rodzaju urządzeniu pojawiają się już w 1688 r. i mówią nam o odrestaurowaniu (odnowieniu) istniejącej już tu szubienicy. Wynika więc z tego, że taki obiekt musiał znajdować się na terenie naszego miasta już znacznie wcześniej.

Oczywiście posiadanie szubienicy musiało kosztować władze miejskie dość sporo pieniędzy. *Miasta budujące i remontujące szubienicę, oprócz zakupu od-*

⁶¹ Tamże;

powiedniej ilości materiałów budowlanych, musiały zatrudniać całe cechy rzemieślnicze (kowali, cieśli, murarzy, kamieniarzy, powroźników), a nie poszczególnych majstrów. Wierzono bowiem, że prace przy szubienicy przynoszą hańbę pracującym i ich rodzinom. Powszechną praktyką było zobowiązanie władz danego miasta do wykonania pierwszej, często symbolicznej czynności przed rozpoczęciem właściwych prac (jak np. w Bolkowie). Zanim przystąpiono do naprawy szubienicy, zgromadzeni przedstawiciele miasta zobowiązani zostali do wykonania pierwszej czynności remontowej. Wójt miejski i każdy z ławników musiał uderzyć trzy razy w ścianę obiektu młotkiem podanym przez mistrza murarskiego oraz położyć trzy kielnie zaprawy murarskiej. Tutejszy sąd również został zobligowany do powyższej czynności, którą wykonał na stojących obok szubienicy drabinach egzekucyjnych. Po wykonaniu przez cechy wszelkich prac, uroczystie obiekt przekazywano w ręce przybyłego kata.⁶²

Śmierć na szubienicy była dość hańbiąca dla złoczyńcy. Skazani na powieszenie rekrutowali się głównie z najniższego stanu społeczeństwa i byli to przede wszystkim mężczyźni (rabusie, złodzieje, buntownicy), ale zdarzały się też wyjątki wśród płci przeciwnej oczywiście. Przeważnie jednak kobiety karano poprzez zakopanie żywcem w ziemi.

Przed wykonaniem ostatecznego wyroku (tj. powieszenia), stosowano wśród złoczyńców również inne dodatkowe i wymyślne kary, jak np.: wleczenie końmi, chłostę, szarpanie ciała rozżarzonymi szczypcami i inne. Po zawieszeniu ciała skazanego wisiało zazwyczaj do następnej egzekucji, *aż zgniją ścięgna i rozluźnią się spojenia kości*. Miała to być przestroga i ostrzeżenie dla innych przestępców.

Pierwsze wzmianki historyczne na temat szubienicy w Świebodzicach pochodzą z 2 połowy XVII w. Dnia 5 lutego 1688 r. ówczesny właściciel miasta, Jan Henryk II Hochberg (1669-1698) polecił odnowić szubienicę w naszym mieście, po czym dzień później dokonano na niej dwóch pierwszych egzekucji. Stracono wówczas ogrodnika z Cierni, który skradł w Książu 200 talarów oraz 30-letnią kobietę, która oskarżona została o zamordowanie własnego dziecka. Obu egzekucji dokonano nie przez powieszenie, jakby się mogło wydawać, ale przez ścięcie mieczem.

Przez następne dziesięciolecia miejska szubienica dość niechlubnie służyła mieszkańcom tych okolic. Poza wyrokami śmierci wystawiano przed nią skazańców na publiczne potępienie oraz drwiny. I tak czytając w starych dokumentach można się dowiedzieć, że w 1682 r., w wyniku udowodnionego *kilkukrotnego cudzołóstwa świebodzicki sąd skazał obwinioną na 3 godzinne stanie pod pręgierzem a następnie obcięcie przez kata mieczem (...) palców i wygnanie na wieczne czasy z granic księstwa (...)* W 1718 r. *złodziejka, która jajka ukradła, na czas stania przy żelaznej kunie, ozdobiona została naszyjnikiem sporządzonym z pustych skorupki jaj (...)* zaś w roku 1733 *kobieta z Cierni, która rodziła*

⁶² T. Borówka, R. Parka: *Szubienice, kuny i klatki*, Dziennik Zachodni (strona internetowa);

*bez świadków, w wyniku podejrzenia, że pozbawiła swoje dziecko życia, ponieważ nosiło ono ślady zewnętrznego poranienia, wyrokiem cierniowskiego sądu stać musiała przez 3 godziny przy żelaznej kunie z przywiązaniem do piersi motkiem.*⁶³

Początkowo o sprawach straceń decydowali wyłącznie właściciele miasta (magnacka rodzina Hochbergów z Książa), i to właśnie na zamku Książ mieściła się siedziba tzw. sądu pańskiego wyższego, pod którego jurysdykcją znajdowały się również Świebodzice. Tak było bynajmniej do 1722 r., kiedy to Konrad Ernest Maksymilian von Hochberg (1698-1742) nadał radzie miejskiej w Świebodzicach pełne prawa decydowania o karze wymierzanej mieszkańcom miasta za dokonywane przestępstwa.

Dziś trudno oczywiście ustalić ile tak naprawdę wydano wyroków śmierci na podstawie, których dokonywano publicznych egzekucji w naszym mieście. Z zachowanych przekazów kronikarskich wynika, że egzekucje odbywały się tu raczej sporadycznie (m.in. w 1710, 1712 czy 1769 r.) Niemniej miejska szubienica niechlubnie służyła społeczności i władzom tych okolic przez kolejne 150 lat. Rozebrano ją dopiero latem 1836 r., a kamienie, z których została wzniesiona posłużyły do budowy ulic.

Ślady świebodzickiej zapadni nie zniknęły jednak bezpowrotnie z krajobrazu naszego miasta. Można je obecnie oglądać w okolicach tzw. „Ścieżki Zdrowia” (za stadionem „Victorii”), gdzie do dziś zachował się fundament po dawnej szubienicy.

VII

Przesłanki źródłowe z dawnych lat dostarczają nam bardzo ciekawych informacji o nietypowych kompleksach podziemnych, które niegdyś funkcjonowały w okolicach naszego miasta. Budowa oraz funkcje do jakich zostały stworzone, oczywiście nie są dzisiaj ostatecznie wyjaśnione, ale nie trudno się tu domyślić, że zostały one zbudowane do celów militarno-strategicznych oraz ze względu bezpieczeństwa.

Najstarsze informacje o **podziemnych przejściach w okolicach Świebodzic** pochodzą z 1 połowy XVII w. i są powiązane z zamkiem Cisy. Z zachowanych przekazów historycznych dowiadujemy się, że w okresie Wojny Trzydziestoletniej warownia na Cisach została otoczona przez wojska szwedzkie (1634 r.). Wówczas to jedynym wyjściem z oblężonego zamku dla Mikołaja von Czetryca (ówczesnego właściciela warowni) okazały się tajemnicze przejścia podziemne, którymi udało mu się szczęśliwie zbiec. W dowód wdzięczności za ocalałe życie i udaną ucieczkę przed Szwedami Mikołaj miał ufundować kościół w Dobromierzu.

⁶³ Świebodzice. *Dzieje miasta*, nr 3 (65) z marca 2003 r., s.3

Inne tajemnicze przejście podziemne (lochy) funkcjonowało niegdyś pod Starym Zamkiem Książ i miało ono prowadzić aż do samych Świebodzic. Geneza powstania tych podziemi nie jest oczywiście znana, ale nie da się tu wykluczyć, że ich początki można wiązać nawet z okresem wieków średnich. Zresztą podziemia pod Starym Książem stanowiły w XIX w. nie lada atrakcję dla rzesz turystów i kuracjuszy odwiedzających te strony. Jak podaje K. Jaworski: *właściciele Książa (Hochbergowie) dbali o to, by miejsce to wywoływało trwogę: przy mrocznych i wilgotnych ścianach znajdowały się bloki skalne i pnie z przytwierdzonymi łańcuchami, do których przykute były ludzkie kości ramion i nóg. Oprowadzający gości kasztelan ubarwiał pobyt w lochu niesamowitymi opowieściami i legendami (...) Z lochu rzekomo wiodło podziemne przejście do Świebodzic – pierwszy odcinek, liczący 50 kroków pokazywał kasztelan zwiedzającym.*⁶⁴

Znacznie inny rodzaj podziemnych budowli zachowanych na terenie Świebodzic, stanowią krypty grobowe magnackiej rodziny Hochbergów (linia katolicka) pod kaplicą grobową przy kościele św. Mikołaja. Kaplica ta ufundowana została przez Krzysztofa II Hochberga (1609-1625), właściciela zamku Książ. Krypty grobowe były wykorzystywane przez rodzinę Hochbergów aż do marca 1840 r., kiedy to w podziemiach kaplicy spoczęły szczątki Jana Henryka VI Hochberga (zmarłego w 1833 r. w Lutzen na Dolnych Łużycach).

Nie ma jednak wątpliwości co do tego, że największym kompleksem podziemnych korytarzy w okolicach naszego miasta jest zespół tajemniczych podziemi, wybudowany przez hitlerowców pod zamkiem Książ i w Górach Sowich w okresie II wojny światowej. Prace budowlane nad tym obiektem rozpoczęto wiosną 1943 r. i nadano mu kryptonim „Riese” („Olbrzym”), co może świadczyć o ogromie prowadzonych tutaj przedsięwzięć budowlanych. Roboty te prowadzono na obszarze 200 km kw., a ich budowa miała pochłonąć 28 tysięcy ton betonu i stali (wydatek rzędu 150 mln marek).

Dużą zagadką stanowi także docelowe przeznaczenie kompleksu „Riese”, toteż nic dziwnego, że opinie badaczy na ten temat są tu podzielone. Niektórzy z nich uważają, że zespół podziemnych sztolni pod Książem miał być przeznaczony na tajemnicze laboratoria, w których dokonywano eksperymentów z bronią bakteriologiczną. Inni z kolei twierdzą, że miało tu być wielkie laboratorium atomistyczne, w których dokonywano badań nad wydobywaną w okolicy Książa rudą uranową. Jednak najbardziej prawdopodobnym wydaje się fakt przeznaczenia tych podziemi na fabrykę zbrojeniową Luftwaffe oraz Kwaterę Naczelnego Wodza.

Budowa kompleksu „Riese” nigdy nie została przeprowadzona do końca. Przerwał ją koniec II wojny światowej i upadek III Rzeszy, a wiele śladów mogących się przyczynić do wyjaśnienia tajemnic jednego z najbardziej zagadko-

⁶⁴ K. Jaworski: *Zamek Stary Książ*; („Pielgrzymy’87”, Informator Krajoznawczy XXXII Ogólnopolskiego Rajdu Sudeckiego, Wrocław 1987);

wych przedsięwzięć inżynierskich II wojny światowej zostało starannie zatartych.

Warto tu na koniec wspomnieć, że podziemne przejścia pod Książem posiadały połączenia z najbliższą okolicą zamku, a jedno z tych połączeń biegło nawet do browaru w Świebodzicach. Niestety tunel ten dotrwał do naszych czasów tylko w znikomych fragmentach, gdyż jego znaczną część zasypano w trakcie budowy obwodnicy Wałbrzych-Świdnica w latach 80-tych XX w.

Ważniejsza literatura:

1. K. Amunts, A. Schleicher, K. Zilles: *Outstanding language competence and cytoarchitecture in Broca's speech region*, (*Brain and language*, volume 89, Issue 2, May 2004, pages 346-353);
2. F. Biały, B. Turoń: *Historia Świebodzic do końca XVIII w., (700 lat Świebodzic*, materiały z sesji popularno-naukowej w Świebodzicach, Świebodzice-Wałbrzych-Wrocław 1979);
3. T. Borówka, R. Parka: *Szubienice, klatki, kuny*, (POLSKA, Dziennik Zachodni),
4. A. Czubiński: *Historia Polski 1864-2001*, Wrocław 2002;
5. *Diakonisches Geld. Marie von Kramsta – ein schlesisches Lebensbild* (*Schlesischer Gottesfreund*, nr 3, Februar 2009, s.37);
6. O.D. Enersen: *Walther Carl Eduard Kausch*, (whonamedit.com);
7. *Emil Krebs, Walther Kausch, Kurt Priemel, Walter Flegel, Harmut Kilger, Otto Dornblüth, Hans Bluher, Reinhold Broske* (aus Wikipedia, der freien Enzyklopedie);
8. P. Grzyb: *Nasz geniusz*, (*Wiadomości świdnickie*, nr 37/841 z 2005);
9. K. Jankowski, S. Junak, B. Kułaga, S. Piątek: *Zamek Książ*, Piechowice 1994;
10. Z. Jaworska: *Świebodzice-zarys dziejów*, (*Rocznik województwa wałbrzyskiego 1989-1991*, Wałbrzych 1991);
11. K. Jaworski: *Zamek Stary Książ*, (*Pielgrzymy'87*, Informator Krajoznawczy XXXII Ogólnopolskiego Rajdu Sudeckiego, Wrocław 1987);
12. J. Kalarus: *Książ podziemny*, Nowa Ruda 1997;
13. S. Kotełko: *Pieniądzowi ulega wszystko*, (*Wiadomości świdnickie*, nr11/197);
14. W. Kozuszek: *Jan Mikulicz-Radecki 1850-1905. Współtwórca nowoczesnej chirurgii*, Wrocław 2003;
15. W. Krassowski: *Dzieje budownictwa i architektury na ziemiach Polski*, Warszawa 1990;
16. P. Kruszyński: *Podziemia w Górach Sowich i Zamku Książ*, Państwowe Muzeum Gross-Rosen 1989;
17. W. Kuśmierski: *Siedem wieków historii Świebodzic 1279-1979*, (*Nasze Miasto*, wydanie okolicznościowe jednodniówki ZAE „Mera-Refa”, Świebodzice 1974);
18. J. Lamparska: *Dolny Śląsk*; Wrocław 2002, cz. I;
19. J. Lamparska: *Tajemnice, zamki, podziemia*, Wrocław 1998;
20. J. Lamparska: *Tajemnice ukrytych skarbów*, Wrocław 1999;
21. A. Mroziuk: *Świebodzickie fabryki zegarów (Dawne i nowsze zegary w Polsce*, Toruń 2009, s. 83-100);

- 22.E. Nawrocki: *Z dziejów Świdnicy*, Świdnica 1998;
- 23.J. Rostkowski: *Zamek Książ-zapomniana tajemnica*, Warszawa 2009;
- 24.A. Scheer: *Szkic krajoznawczo-turystyczny gminy Świdnica*, (*Rocznik świdnicki* 88/89, Świdnica 1990);
- 25.R. Stolarczyk: *Pałacyk Caritasu*, (*Goniec świebodziński*, nr 7/68 z 1996 r.);
26. J. Szczepankiewicz: *Ostatnia Pani zamku Książ*, (*Pielgrzymy*'87, s. 20-29) ;
- 27.A. Szyperski: *ABC Zamku Książ*, Wałbrzyskie Towarzystwo Kultury, Wałbrzych (brak daty wydania);
- 28.Świebodzice-dzieje miasta, Kronika wydarzeń wydawana przez A. Rubnikowicza;
- 29.Świebodzice, zarys monografii miasta, pod redakcją K. Matwijowskiego, Wrocław-Świebodzice 2001;
- 30.H. Urbanik: *Park pałacowy w Świebodziarach*, (*Rocznik dendrologiczny*, nr XXXI, Warszawa 1978);
- 31.Walther Kausch (1867-1924), *Wegbereiter der Pankreaschirurgie*;
- 32.R. Wietrzyński: *Największe tajemnice Świebodziar*, Świebodzice 2005;
- 33.Z. Wiktor: *W sprawie narodowości Jana Mikulicza*, (*Polski Tygodnik Lekarski*, 1957, 12, 7);
- 34.W. Wojtkiewicz-Rok: *Jan Mikulicz-Radecki w opinii swojego niemieckiego mistrza i polskich asystentów*;
- 35.K. Wronecki: *Jan Mikulicz Radecki. Wielki chirurg wrocławski*, (*Zbliżenia Polska Niemcy*, Pismo Uniwersytetu Wrocławskiego i Uniwersytetu Opolskiego, nr 1 (13) 1996, s. 112-124);
- 36.J.F.E. Wurffel, G. Rieck: *Chronik Freiburg Schl.*, Świebodzice 1937.